

De. II 1
TOM CCLXXVI.

ROK 69.

SERYA 9.

ZESZYT 826.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1909.

TOM IV.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1909.

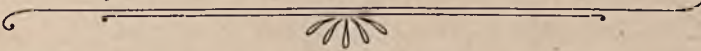
TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE, — przez <i>Z. Miłkowskiego</i>	1
2. IGNACY POTOCKI A KOMISYA EDUKACYJNA, — przez <i>d-ra Kazimierza Maryana Morawskiego</i>	27
3. KRYTYKA LITERACKA W CZASACH ROMANTYZMU, — przez <i>d-ra Tadeusza Grabowskiego</i>	38
4. POLSZCZYŻNA NA GÓRNYCH WĘGRZECH, — przez <i>G. Smólskiego</i>	81
5. NARODZINY OPERETKI WE FRANCYI, — przez <i>Wł. Günthera</i>	102
6. KASATA ZAKONU O. O. JEZUITÓW, — przez <i>Macieja Loreta</i>	145
7. ROZMAITOŚCI:	
„Nieznana odezwa Adama Mickiewicza w sprawie Szkoły Polskiej na Batignolles, — przez <i>Leopolda Méyeta</i>	156
„Dyskusya“	163
8. PIŚMIENNICTWO:	
DR. WŁODZIMIERZ BUGIEL: „Nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia, Józef Struś.“ Jego żywot i pisma. — „Józef Struś.“ Wykład wygłoszony 17 kwietnia na posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, — przez <i>H. M.</i>	167
FELIKS KOPERA: „Notatki do historii sztuki i kultury w Polsce,“ — przez <i>H. M.</i>	169
LEOPOLD STAFF: „Igrzysko,“ — przez <i>Henryka Gallego</i>	171
KĘTRZYŃSKI STANISŁAW: „O Królestwie Wielkopolskiem,“ — przez <i>I. B.</i>	173
DR. SEMKOWICZ WŁADYSŁAW: „Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskim,“ — przez <i>I. B.</i>	175
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Po Wystawie Częstochowskiej. — Początek roku szkolnego i wyjazd młodzieży zagranicę. — Projekt uzupełnienia Muzeum narodowego działami przyrodniczym, archeologicznym i etnograficznym	177
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	190

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 8.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Ogólnego zbioru Tom 276.



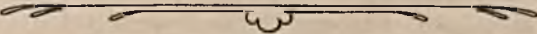
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1909. — Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1909.



De II 1.

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE.

(Kartki z pamiętnika).

IV.

O bitwie pod Temeswarem dużo było w swoim czasie sądów. To rzecz pewna i na to zgodzić się muszą wszyscy, że nie sprowadziły jej racye natury czysto militarnej. Działy tu pobudki inne. Jakież mianowicie?

W dniach pierwszych sierpnia sprawa węgierska znajdowała się w stanie krytycznym, ale nie rozpaczliwym. Akcja wojenna prowadzoną i doprowadzoną być jeszcze mogła, jeżeli nie do zwycięstwa, to przynajmniej do kapitulacji honorowej. Trzęsawiska Maroszy stanowiły oś operacji, które się same niejako narzucały. Rozdzielały one wojska nieprzyjacielskie; wojska zaś węgierskie, parte na północy i na południu, podążały do skoncentrowania się. Nic nie przeszkadzało i przeszkodzić nie mogło połączeniu się 50 do 55 tysięcy żołnierza doskonałego pod Görgeyem z 60 tysiącami pod Messaroszem, względnie, Dembińskim. Droga do Aradu do dnia bitwy pod Temeswarem stała dla nich otworem. Armie austriacko-rosyjska pod Haynanem i rosyjska pod Paszkiewiczem, pierwsza na lewej, druga na prawej stronie Maroszy, nie przechodziła każda oddzielnie siły 80 tysięcy głów. Można było w sto tysięcy zwrócić się na tę lub ową i pobiwszy jedną z nich, albo wojnę prowadzić dalej, albo też wytworzyć szansę zakończenia takowej na drodze układów. Ale trzeba się było skoncentrować w Aradzie. Był to warunek *sine qua non* postawienia się poważnie wobec okoliczności trudnych, była to droga zbawienia jedyna.

Któż drogę tę zamknął? kto armię z traktu bitego do Aradu zepchnął na trakt do Lugosza?

Gdyby był Bem bitwy pod Temeswarem nie stoczył!

Na cóż ją staczał?

Odpowiedź na pytanie to dotknąć każe smutnej, a tak popolitej historii zawiści, lęgnącej się w sercach ludzi, zajmujących stanowiska wysokie.

Wojna wyprowadziła na czoło narodów dwóch wojowników, w Węgrzech Görgeya, w Siedmiogrodzie Bema. Bem, przewagą liczebną sił świeżych przygnieciony, wołał o pomoc z Węgier. Rząd mu pomocy udzielić nie mógł; zażądał pomocy od niego: pomocy imienia, otoczonego aureolą i geniusza, znajdującego radę wśród trudności największych. Dla imienia i geniuszu postawiono Bema na czele młodej armii południowej. Na imieniu się nie zawiedziono. Amia przyjęła wodza tego z uniesieniem. Geniusz jednak?... I geniusz by się nadał, gdyby Bem nie wiedział, że po przybyciu do Aradu zetknie się z Görgeyem w charakterze współzawodnika o godność wodza naczelnego armij połączonych. Albo Görgey, albo Bem?... Dwoistość tę pytania usunąć mogła jeno bitwa wielka wygrana. Bitwa się nastęrczała właśnie. Bem uchwycił się sposobności tej bez względu na nic. Czy wierzył w gwiazdę swoją?... Zdaje się. Inaczej wytłómaczyć sobie nie sposób postawienia się do boju tyłem do fortecy nieprzyjacielskiej i bez amunicji zapasowej. Wygląda to na żakostwo militarne. Bitwa pod Temeswarem zakończyła wojnę zamachem jednym. Armia sześćdziesięcioletnia na raz sparaliżowaną została. Pozostał Görgey na czele 50—55 tysięcy ludzi, słabszy i od Haynana i od Paszkiewicza. Ułatwiło mu to złożenie broni pod Vilagosz; dało mu to pretekst do zakończenia wojny w sposób sromoty. Nie mógł, wobec sił przeważających, idących na niego z dwóch stron, wojny prowadzić dalej—to pewne. Mógł jednak—potargować się i, jeżeli Austria wisielców łaknęła, ofiarować jej na szubienicę siebie, zastrzegając bezpieczeństwo dla ludzi, co zaszczytnie nazwiska swoje na kartach historii węgierskiej i ogólnej zapisali.

Bez oburzenia głębokiego o czynie tym wspominać nie sposób. Poniża on ludzkość i wystawia Austrii świadectwo drapieżności, piętnującej ją w historii. Dodać wszelako należy, że gdyby nie przegrana pod Temeswarem, gdyby nie Bem, byłoby do tego nie przyszło. Zawiść wodza jednego sprzęgła się z małodusznością drugiego, na uilustrowanie karty jednej dziejów szubienicami. Na usprawiedliwienie Görgeya podają przekonania je-

go, przeciwne republikanizmowi Koszuta. Republikanizm nie tu do czynienia nie ma. W wypadku tym zachodzi kwestya ludzkości bez barwy politycznej.

Ściśle rzecz biorąc, Görgey do składania oręza bezwarunkowo, do oddawania się Austryi na łaskę i niełaskę, z zastrzeżeniem dla siebie życia i pensyi dożywotniej zmuszonym nie był. Armia południowa, acz dotkliwie zraniona, istniała jeszcze. Tłumy te, co przez dni dwa płynęły z pod Temeswaru do Lugosza, zawinęły i formowały się na wyznaczonych dla korpusu każdego punktach zbornych. Stawały bataliony, szwadrony i baterye — pierwsze przepołowione, drugie zdziesiątkowane, trzecie w całkowitości. Armia ta, osłabiona i uciezką bezładną zdemoralizowana, nie mogła sama przez się pod sztandary węgierskie sprowadzić zwycięstwa; posłużyć atoli mogła do kombinacji układów, jako militarnopolityczny argument. Dowodem tego jest to, że Austryacy po zwycięstwie nie ścigali jej — czemu? Czemu za biegnącymi w rozsypce rozbitkami nie wyprawili dywizyi, która by im w Lugoszu oprzeć się nie dozwoliła? Czy Austryacy — jak utrzymują niektórzy — o rozsypce tej nie wiedzieli? Wiedzieli; nie wiedzieć nie mogli o tem, na co oczy ich patrzyły. Ale się oglądali na Görgeya, który by się na nich rzucić mógł i który posiadał przytem jeszcze jeden sposób w ręku, a sposobem tym było: połączenie armii północnej z zachodnią w Lugoszu, to znaczy, zajęcie drogi odwrotu, na której dyktator (Görgey w chwilach ostatnich dyktaturę wziął) nie byłby zniewolony wydać kolegów w ręce oprawców.

Nie uczynił tego wszystkiego.

My w Lugoszu, nie niepokojeni przez nieprzyjaciela, pozostawaliśmy dni dwa. Żołnierze do szeregów ściągali się. Brakło wielu. W batalionach naszych szeregi zeszczupły ogromnie. W kompanii mojej, która przed bitwą znajdowała się w komplecie, stanęło pod bronią ludzi sześćdziesięciu zaledwie. To samo działo się z batalionami honwedów. Opanowało nas zniechęcenie, ale gotowość do pełnienia rozkazów nie opuszczała. Zapytanie jednak, co dalej będzie, było przedmiotem naszej troski i rozmów, które przybrały charakter niepokoju wówczas dopiero, gdy, niby piorun z nieba pogodnego, spadła na nas wiadomość o złożeniu broni pod Vilagosz.

— Koniec już, koniec!... — odezwał się głos ogólny.

Koniec ów atoli wyrazić się nie mógł w ten sposób, ażebyśmy i my broń złożyli i na łaskę i niełaskę się oddali, a to dla tej prostej i naturalnej racyi, że przedstawiała się nam możliwość usunięcia się z pod mściwego ramienia zwycięzcy. Swoboda czło-

wiekowi miłą jest. Droga do Turcyi stała przed nami otworem. Droga ta w oczach nam stanęła. Mówić o niej poczęliśmy głośniej, coraz głośniej, aż stała się przedmiotem obrady ogólnej, w której udział wzięliśmy wszyscy w obozie obecni. Wszyscyśmy się zgadzali, że nie pozostaje nam nic innego, jak skazać się, zamiast dobrowolnej niewoli, na wygnanie dobrowolne. Walkę dalszą uważaliśmy za niemożliwą i zdziwienie nasze było niemałym, gdy na podniesieniu jakiegoś — na beczce zdaje się — zjawił się sierżant kompanii mojej, Baczyński, i głosem donośnym wyraził opinię przeciwną. Według niego nie tylko walka dalsza, ale walka zwycięska możliwą jeszcze była. Przenieść ją należało do Siedmiogrodu.

— Upadliśmy skutkiem zdrady i niedołęstwa przewodników...—wołał.—Zdradzono nas... Zdradził Koszut, Görgey, Wysocki (do Wysockiego miał anse, więc go nie omijał, zdrajców wyliczając)... Zdradzili wszyscy!... Ale jest człowiek wielki, genialny, który nas z upadku dźwignąć chce i dźwignie... Jemu się oddajmy i gdzie on pójdzie za nim idźmy... Nie upadajmy, bracia, na duchu, kiedy na duchu nie upada Bem!... Precz z Koszutom, z Görgeym, z Wysockim: niech żyje Bem!...

Wykrzyknik ostatni odgłosu nie wywołał, pomimo że mówca wezwanie swoje wypowiedział z ogniem i przekonaniem. Krępa, barczysta, krótkka, duża, gęstą brodą ocieniona postać mówcy z podniesienia znikła. Wyjście do Turcyi zdecydowanem zostało. Co do mnie, byłem za niem i jako żołnierz zniechęcony, i jako człowiek przez febrę trapiący. Czułem się chory.

Do Lugosza dowłókiem się bez pałasza, płaszcza, torby i tłumoczka, w tem jeno, com miał na sobie. Żołnierz, co mi usługiwał, przyszedł i przyniósł te efekta, którem mu powierzył. Tłumoczek mój z bielizną i odzieżą, z notatkami i zapiskami rozmaitemi, przepadł. Posiadałem jednak w pugilaresie paręset reńskich banknotami węgierskimi i miałem za co kupić sobie konia z osiodłaniem do odbywania pochodu ku granicy. Huzarzy sprzedawali konie. Trafił mi się tegi, kary mierzyn siedmiogrodzki, którego za tanie nabyłem pieniądze. Do pochodu z batalionów poformowano kompanie, pozostałem przeto za szeregim, jako oficer nadkompletowy. Oficerów nadkompletowych znalazło się dużo. Do dowodzenia kompaniami stanęli ochotnicy. Ci uszczuplony legion poprowadzili, inni zaś pociągnęli przy kolumnie, trzymając się po kilku gromadkami, sformowaniami na podstawie tego powinowactwa moralnego, które ludzi do ludzi zbliża.

Gromadka, do której wszedłem, składała się z Franciszka Zimy, Ludwika Jastrzębskiego, Faustyna Dobrzyńskiego, Jana Zamoyskiego i mnie. Wszyscyśmy byli konno, jechaliśmy razem i stanowiliśmy towarzystwo pomocy wzajemnej w tej podróży, której powód był nam dotkliwie znany, cel zaś tonął w dali nie-dojrzanej we mgle zagadkowej. Byliśmy jednak młodzi. Z wyjątkiem Zamoyskiego, żaden z nas nie dźwigał na grzbiecie lat więcej, jak dwadzieścia pięć. Spoglądaliśmy przeto z ufnością w przyszłość zagadkową.

Droga prowadziła nas okolicą górzystą na Karanseberz, mimo Mehadii, do Orszowy. Orszowa leży nad Dunajem. Przeprawa jednak w miejscu tem nie zależała od władz tureckich ze względu na to, że na prawym brzegu Dunaj aż do ujścia Timoka podmywa posiadłości serbskie. Zachodziła więc tu trudność, któraby nam nie mało kłopotu sprawiła, gdyby nie usunął jej Władysław Zamoyski. Dzięki staraniom jego, rząd serbski udzielił nam pozwolenia przeprawy i przejścia przez terytoryum serbskie, pod warunkiem złożenia Serbom broni. Warunek ten nie obejmował oficerów. Układ dokonany został tak szybko, że, jak skorośmy do Orszowy przyszli, natychmiast rozpoczęło się przeprawianie najprzód piechoty, następnie jazdy. Żeśmy konie posiadali, czekać przeto musieliśmy na kolej naszą do późnej nocy. Brak statków przewozowych nie pozwalał przeprawę uskutecznić szybko. Jeden barkas wielki i para łodzi służyły do przewożenia nas partiami. Przewoźnicy Serbowie odbierali żołnierzom broń.

Spędziłem w Orszowie dzień cały, to po ulicach, to nad brzegiem się włócząc. Na ulicy zdarzył mi się wypadek oryginalny, świadczący o pospolitości fizyognomii mojej. Idę i widzę zdaleka nieznanego mi, typem ukraińskim nacechowanego ułana, który w miarę zbliżania się do mnie uśmiecha się coraz to uprzejmiej, wreszcie przemawia:

— Skądżeś się tu wziął?... Jak się masz!...

W objęcia swoje mnie bierze, całuje, do piersi przyciska, i nagle odpycha ze słowami:

— Tfu!... A przecie on na rękach moich umarł!...

— Kto?...—pytam.

— Postępski...—odpowiada.—Taki był do ciebie, kolego, podobny... Gdyby nie umarł... Ale umarł... na rękach moich...

— Skąd-że on był?...

— Z Podola... skąd i ja...

— I ja z Podola...

— No proszę...—ułan na to.—Jakże się nazywasz?...

Powiedziałem imię i nazwisko swoje.

— A ja, Józef Czajkowski...

W sposób ten z Czajkowskim, z którym się później zbliżyłem, zabrałem znajomość. Był on emigrantem z r. 1831; z Francji przybywał.

Nad brzegiem, wśród oczekujących na przeprawę wozów i wózków, wpadł mi w oczy Rulikowski. Podeszedłem do niego. Otaczali go żołnierze z pułku wozneseńskiego. Rozmawiał z nimi, a treść rozmowy stanowiły zapytania: czy się za Dunaj przeprawić, czyli też do pułku wracać? Żołnierze za powrotem byli i nalegali; nalegał szczególnie służący Rulikowskiego, chłopak ze wsi, z której on sam pochodził. Ten z płaczem, pana swego po rękach i nogach całując, zaklinał:

— Nie idźmy na czużynę...

Rulikowski, zoczywszy mnie, kazał żołnierzom i służącemu odejść i, usiadłszy ze mną pod wózkiem, który był wózkiem jego, o radę zapytał.

Odradzałem mu stanowczo. On mi ze szczegółami opowiedział sposób, w jaki przejścia dokonał.

— Czyż—zapytałem—żołnierzom wydaje się, że napadnięci zostali niespodzianie?...

— Przekonani są o tem i nie inaczej świadczyć będą przed sądem wojennym...

— Jakże się wytłómaczysz z tego, żeś się do legionu zaciągnął?...

— Przymusem... Tem, że mi do wyboru dano: legion, albo niewolę... Nie byłem zresztą na linii bojowej, ... nie biłem się...

Tłómaczenie to wydało mi się rzeczą śliską. Rulikowski myślał inaczej.

— Chociażby...—mówił.—W takim nawet razie, karą najsurowszą, jaka mnie spotkać może, będzie degradacya... Zdegradują mnie: cóż?... Posłużę lat kilka, jako prosty żołnierz, dosłużę się, odstawkę wezmę i do swoich powrócę... Emigracya przeraża mnie...

Usiłowałem przerażenie wyperswadować mu, przedstawiając, że gorszego spotkać go nie może innego nic, jak to co nas.

— Wszak—że się my na emigracyę nie wybieramy na wieki...

— Ale, kto wie, na jak długo...

Widząc, że wymowa moja nie przekonuje go, radziłem mu, ażeby się do Wysockiego udał i u niego rady zasięgnął. Posłuchał mnie—poszedł. W godzinę później do wózka jego powróciłem. Żołnierze konie zaprzęgali.

— Cóż— zapytałem — u Wysockiego byłeś?...

— Byłem...

— No?...

— Mówił to samo, co ty...

— Wybierasz się więc za Dunaj?...

— Nie... Jadę z powrotem... Zdecydowałem się... Żołnierze zdradzić mnie nie mogą, a ja się będę na sądzie trzymał... Dowodów przeciw mnie nie ma...

Wydania kartki przez sztab Gorgeya nie przewidywał. Wraciał z ufnością. Ufnością tą i mnie natchnął. Przy pożegnaniu serdecznem, poleciłem mu, ażeby rodzicom moim o mnie znać dał, ażeby im opowiedział, gdzie i jak mnie widział.

Kartka go zgubiła. Opowiadano mi, że, gdy mu na sądzie kartkę pokazano, zbladł, zmieszał się i przyznał. Prezydujący sądu insynuował mu zaparcie się pisania tego. W zmieszaniu nie zrozumiał i przy przyznaniu obstawał. Rozstrzelano biedaka.

Kolej przeprowadzania się na mnie nadeszła w nocy. Wszedłem na barkas, prowadząc konia za sobą i, jak skorom się ulokowałem, wnet zbliżył się do mnie Serb, żądając, ażebym mu pałasz oddał.

— Jam oficer... — rzekłem.

— Gdybyś był sam Bóg, to mi szablę oddać musisz... — odrzekł.

Rady nie było. Noc nie pozwalała na składanie dowodów. Pałasz odpiąłem i Serbowi wręczyłem. Ten sam los spotkał Zimę i wszystkich oficerów od piechoty, którzy, z powodu koni, za dnia się przepawić nie mogli i przepawali się po wszystkich, na ostatku samym. Upewniono nas, że pałasze reklamować będziemy mogli. Na brzegu przeciwnym wskazano nam obóz. Ulokowaliśmy się w takowym na chybił trafił i nazajutrz dopiero rozpatrzyliśmy się w położeniu.

Przeprowadzono nas pod miasteczko Tekich, położone nad Dunajem u stóp gór, towarzyszących biegowi rzeki. Obóz nasz rozciągał się na błoni, przylegającym do ogrodów, wśród których, pomiędzy rowami, prowadziła do miasteczka ścieżka. Rano rozdano nam żywność. Po przyjęciu posiłku wybraliśmy się po szablę nasze. W miasteczku Wysocki nam poświadczenie udzielił, i, na mocy poświadczenia tego, gruby, w stroju narodowym major, wyznaczony przez rząd do czuwania nad nami, odesłał nas do szopy, pod którą, na kupie, rzuconych było szabel seciny.

— Poznawajcie i weźcie sobie wasze...—rzekł do nas urzędnik przez majora nam dodany.

Odszukać swoje trudno było! Szukaliśmy więc nie swoich, ale najlepszych. Wybraliśmy, poprzepasywali się i do obozu wrócili. Zima nam nie towarzyszył. Dla sprawunku jakiegoś przystał w miasteczku i o mało tego życiem nie przepłacił, kiedy bowiem sam wracał, pomiędzy ogrodami, z poza rowu, wyskoczył Serb jakiś i, przykładając mu pistolet do piersi, przemówił tonem rozkazu:

— Oddaj szablę...

Zima w chwili napaści zdążył szablę obnażyć. Zapewne rzecz byłaby się tragicznie skończyła, gdyby słyszeć się nie dało silne gwizdnięcie, na które napastnik odskoczył i w ogrodach znikł. Na ścieżce ukazał się major na koniu.

Wogóle Serbowie nie okazywali nam życzliwości szczególnej. Ludność miejscowa krzywem na nas patrzała okiem i okradała nas niemiłosiernie. Przedmiot, na który przedewszystkiem łakomstwo się jej zwracało, stanowiły rzemyki ze sprzążkami. Jak tylko Serb rzemyk zwędzić mógł, nie omieszkiał tego uczynić. Rząd wydawał nam żywność regularnie i w ilości dostatecznej. Czuwał nad nami oddział zbrojny milicyi krajowej, który postużył nam za konwój w przechodzie przez Serbię do granicy tureckiej.

Oddział ten nie miał łatwego do rozwiązania zadania. Wsie, przez któreśmy przechodzili, nie wszystkie od razu przepuścić nas chciały. W miejscu jednym mieszkańcy wystąpili ze strzelbami i powitali nas ogniem, od którego koń jeden zraniony został. Ledwie nie ledwie dowódzcy oddziału udało się mieszkańców ułagodzić. Biada była maroderom. Jeden na gruszkę czy śliwę w polu wlaźł i z drzewa trupem spadł. Trzymaliśmy się też kupy.

Z Tekich wyszedłszy, przeciągaliśmy przez Nową-Orszowę, fortyfikację nadbrzeżną, która w czasach owych, równie jak naprzeciw leżąca ufortyfikowana wysepka na Dunaju, obsadzoną była przez garnizon turecki. Po raz pierwszy zdarzyło mi się widzieć Turczynki i wojsko padyśzacha. Turczynki ukazały się z daleka, na wysepce; w płaszczach różnobarwnych i zasłonach białych siedziały w kuczki rzędem długim—wyraźnie nam się przypatrywały. Żołnierzy widziałem z bliska. Uderzyło mnie i zadziwiło obuwie oficerów: pantofle na nogach. Nie przypuszczałem żołnierzy w pantoflach.

Przed Kładową przebywaliśmy las i w lesie na polanie ukazała się nam studnia, tryskająca wodą przezystą. Zatrzymaliśmy się przy niej gromadką naszą. Jam z wody skorzystał, celem picia chiny, której Szpaczek dał mi proszków kilka. Zażyłem, po-

piłem. W chwili tej podszedł do nas wieśniak Serb, niosąc czapkę pełną śliwek nawpół dojrzałych. Do śliwek tych poczułem pociąg nieprzeparty. Kupiłem. Zima mi uwagę zrobił, że, zajadłszy chinę śliwkami, mogę się na świat tamten wyprawić i okazał intencję przemocą mnie kupna pozbawić. Ale ja okazałem gotowość bronięcia nabytku mego ręką orężną. Zima mi ustąpił; jam śliwki co do jednej zjadł; zrazu nie czułem nic; wjeżdżając jednak do Kładowy, poczęło mi się robić słabo, coraz słabiej tak, że m się ledwie na siodle trzymał. Dojechaliśmy do kawiarni. Przed kawiarnią chciałem z konia zsiąść; lecz, jak tyłkom do zsiadania strzemień wypuścił i nogę podniósł, wnet mi się w oczach zaćmiło, przytomność straciłem i na ziemię runąłem. Przytomność odzyskałem na sofie, na ganku kawiarni, w otoczeniu kolegów, pomiędzy którymi znajdował się d-r Szpaczek. Ten ostatni zapytał mnie o powód zemdlenia.

— Zażyłem chinę, napiłem się wody i zjadłem czapkę pełną śliwek... — odrzekłem.

— Kiedy tak... — zawołał doktor gniewnie, ręką machnąwszy — giń-że, durniu!...

Obelgę tę przyjąłem i—nie zginałem. Zadeklarowało się mi rozwolnienie silne—febra mnie na lat kilka opuściła. Opuściłaby mnie może była bez śliwek. Nie wiem. Podaję fakt, jak się stał, nie wyciągając z niego wniosków lekarskich żadnych. Wątpię nawet, ażeby china, w połączeniu ze śliwkami nawpół zielonemi, skutecznem na febrę lekarstwem być miała.

W Kładowej postawiono nas na kwaterach. Mieszkańcy okazali nam życzliwość, wynagradzającą sownie tę niezyczliwość, jaka nas w Tekich i w górach spotkała. Stamtąd konwój doprowadził nas do granicy i puścił. Na gruncie tureckim zostaliśmy sami sobie zostawieni. Nikt na nas nie czekał, nikt nie spotkał i nikt nam nie przewodniczył. O drogę nawet do Widdynia dopytać się nam trudno było z powodu, że we wsiach, do których zachodziliśmy, nie znajdowaliśmy mieszkańców, rozumiejących przemówienia nasze. Okolica ta zaludnioną była przez Rumunów. Do Widdynia jednak doszliśmy i znaleźliśmy wszystko na przyjęcie nasze przygotowane. Ulokowano nas pod namiotami, nad Dunajem. Na pięciu dostaliśmy namiot jeden.

Pamiętnem pozostanie mi uczucie bezpieczeństwa osobistego, jakiego doznałem, gdy m się pierwszej nocy pod namiotem do snu układał. Na widnokregu łyskało, jak się to zdarza wieczorami w dniach gorących. Pierwsze łysknięcie wydało mi się błyskiem wystrzału działowego; oczekiwałem luku i gwizdu kuli. Prze-

świadczenie, że się omylił, sprawiło mi zadowolenie wielkie. „Możę noc tę przespać spokojnie”—pomyślałem sobie i dziwiłem się temu, że tak w rzeczy samej jest, że z połysku tego kula nie wyjdzie i na łeb mi nie spadnie. Od dziewięciu miesięcy noc pierwsza spokojna. Zasnąłem smacznie, o! jak smacznie.

W obozie pod Widdyniem, obstawieni wartą wojskową, przestaliśmy tygodni nie pomnę ile. Turcy dawali nam żywność w naturze: mięso, ryż, jarzyny, sól, chleb. Z ryżem nie wiedzieliśmy, co robić; zsypywaliśmy go do worka i w końcu czyniliśmy zeń domieszkę koniom do obroku. Wiktuwały inne kupowaliśmy za gotówkę, której u jednego było więcej, u drugiego mniej. Mienialiśmy banknoty węgierskie. Wprędce jednak nadszedł moment, w którym papiery te spadły do zera. Brać ich nie chciano. Znaleźliśmy się bez grosza. Przydały się nam wówczas konie. Posprzedawaliśmy je korzystnie i mieliśmy znów pieniądze na drobne wydatki, na które wyciągali nas przekupnie Bulgarowie, napełniający co rana obóz wołaniem: „mliaiko! raki! wino!” Przy sprawunkach tych obznajomiliśmy się z „pariczkami,” monetą turecką wartości pół centima, reprezentowaną przez blaszki, które z dłoni otwartej wiatr zdmuchiwał.

Widdyń napełniał się wychodźcami, przybywającymi codziennie. W obozie obok nas stanął legion włoski; w mieście zaś, na kwaterach, lokowali się mężowie stanu i generałowie węgierscy, których nie ogarnęła kapitulacja wilagórska. Zjawił się Koszut; przybyli Dembiński, Messarosz, Perczel, Kmeti i inni, wreszcie Bem, który z Ługosza udał się do Siedmiogrodu i z Siedmiogrodu, przez Małą Wołoszczyznę, dostał się do Widdynia.

Do miasta-fortecy chodzić nam wolno było. Warty, co obóz otaczały, stały dla formy tylko i nie sprzeciwiały się zgoła przekraczaniu przez nas łańcucha tam i na powrót. W mieście jednak, zaspokoiwszy ciekawość pierwszą oglądania ogrodu tureckiego, nie znajdowaliśmy nic, coby wzbudzało interes jaki. Ulice wąskie i puste, mury wysokie, osłaniające mieszkania o progach dla nas zakazanych, rynki i bazyry oryginalne, lecz pozbawione wystawności, nęcącej oko, meczety, których architektura nie przykuwa do siebie uwagi, kawiarnie, w których rozmowa się nie klei, dla umysłu strawy żadnej, książki ani jednej, gazety ani na lekarstwo: oto cośmy w Widdyniu znaleźli. Domyślaliśmy się wprawdzie tajemnic ciekawych, których odkrywanie zająć by mogło czas i wyobraźnię, ale nikt z nas do eksploracji tego rodzaju ochoty nie czuł. Owoc zakazany, jakim jest życie wewnętrzne tureckie, przyjmowaliśmy w znaczeniu owocu zakazanego, przez

sam szacunek dla zwyczajów i obyczajów narodu, który nas gościnnie przyjmował i przed mściwością zwycięzcy osłonił. W tajemnicach tych rolę intrygującą odgrywała pleć niewieścia. Patrzyliśmy na kobiety zdaleka, jak się przesuwwały w całunach ni- by: w niezgrabnych feredżijach, w osłaniających im oblicza jasz- makach, w klapiących na nogach pantoflach. Dla tego też do miasta zaglądaliśmy jeno, czas cały spędzając w obozie — na ni- czem. Pod niektórymi namiotami grano w karty. Do namiotu naszego karty nie weszły. Wysypialiśmy się przeto i wylegiwali za wszystkie czasy; część dnia upływała na przyrządzaniu jadła, część na rozmowach o tem co było i o tem co być może. Zima i Jastrzębski—Galicyanie, Dobrzyński—Wołyniak, Zamoyski—Kra- kowiak, ja — Podolak: mieliśmy do udzielania jedni drugim wiadomości o stronach naszych rodzinnych. Nastęrczały się przytem przedmioty zajęcia z zewnątrz z powodu, że pobyt nasz na grun- cie tureckim wywołał kwestyę dyplomatyczną. Gabinety wiedeń- ski i petersburski domagały się wydania nas.

Sprawa ta, która żywo zajęła była opinię publiczną w Eu- ropie, a publicystyce dostarczała przez ciąg kilku miesięcy obfi- tego nader materyału, u nas słabem odbijała się echem. Do Wid- dynia przybył generał austryacki (Hauslap, jeżeli się nie mylę, na imię mu było): przybył z wezwaniem do powrotu poddanych austryackich. Rozeszła się przez niego zapewne puszczone pogłoska, że ci, co dobrowolnie nie powrócą, wydani zostaną i losy ich smutne będą. Pogłoska ta rozeszła się i przebrzmiała... Haus- lap do powrotu zwerbował ilość pewną, ale ze znajomych moich, a, jak się zdaje, i z legionu polskiego, nikogo. O wydaniu, jako o żądaniu gabinetów, krążyła pomiędzy nami mowa. Żądanie wydawało się nam rzeczą naturalną. Byliśmy jednak o losy nas- ze spokojni — spokojni tak dalece, że na propozycyę przyjęcia islamizmu odpowiedzieliśmy milczeniem.

O propozycyi tej w swoim czasie rozpisywano się szeroko. Pozostały po niej ślady na kartach dziejowych, na których figu- ruje ona w przystrojeniu heroicznem. Czytałem o tem dużo póź- niej. Wówczas atoli, kiedy nas propozycya przechodzenia na wi- arę proroka spotkała, anim się domyślał, że nieprzyjęcie jej jest ze strony naszej czynem, na szczególne w dziejach zasługującym zanotowanie. Stało się to bowiem nie zupełnie tak, jak historia, wedle aktów dyplomatycznych, zapisała. Według aktów onych Turcyja, naciskana przez gabinety wiedeński i petersburski o wy- danie niedobitków z wojny węgierskiej, nie popierana przez ga- binety zachodnie, w Koranie szukała sposobu osłonięcia gości

swoich. Przyjęcie islamizmu odradza i przeistacza człowieka. Zostawszy mahometanami, przestawaliśmy być powstańcami węgierskimi. Wybieg ten prawny obalał żądanie wydania nas. Wysoka Porta postawiła nam jakoby alternatywę następującą: „Albo zostaniecie wydanyimi, albo przyjmiecie zbiorowo islamizm.“ Owóż, myśmy o tem nie wiedzieli. Historia notuje modły, odbywane w celu uproszenia u Najwyższego odwrócenia od nas plagi i wzmocnienia w nas wytrwałości w wierze przodków. Nie wiem, czy się modły podobne odbywały. Ksiądz Niewiadomski, kapelan pierwszego pułku ułanów, który w r. 1831 sam ułanem był, odprawiał msze, ale odprawiał je zwyczajnie, bez akcentu szczególnego: chodzili na nie ci, co się do nabożeństwa poczuli, inni nie chodzili; jam wiedział o nich ze słyszenia, nie słyszałem jednak o modłach, dotyczących się specjalnie sprawy zmiany wiary. Propozycja ta przyszła do nas pod postacią wezwania do służby w wojsku tureckim. Obiecywano nam podwyższenie stopni o jeden wyżej. Podporucznik przyjmowanym miał być w stopniu porucznika, porucznik—kapitana i t. d. Brałszy to w znaczeniu przynęty, na którą złakomiło się kilku, słabszych sercem i umysłem. Ogół w większości ogromnej nie złakomił się, nie z powodu przywiązania do wiary przodków, ale dla tej racji, że szeregi wojska tureckiego nie odpowiadały tym przekonaniom, za które walczył. Turcy byliśmy za użyzony nam przytułek wdzięczni głęboko; aleśmy ją z historii znali i wiedzieli o identyczności sprawy naszej ze sprawą podległych jej ludów. Ten był powód istotny, dla którego przynęta nie działała na nas. Co do mnie, ani mi w myśli powstało podobieństwo awansowania na kapitana w razie nawet takim, gdybym awansować miał, jako chrześcijanin i katolik. Chodziło nie o to, ale o to, że były to szeregi tureckie, ciężące zmorą niewoli na Serbach, Romiakach, Czarnogórcach, Bułgarach, Grekach. Odepchnęliśmy przeto w sposób milczący zmianę wiary, raz dla tego, że w zmianie tej nie tkwił żaden motyw zasadniczy we względzie samej wiary, powtóre dla tego, że przedstawioną ona była jako warunek awansu w szeregach, w których służba nie miała dla nas uroku najmniejszego. Woleliśmy ryzyko niepewnej, zagadkowej przyszłości. Zdaje się, sądząc wedle nastroju, jaki wśród nas panował, iżbyśmy propozycję odepchnęli byli w takim nawet razie, gdyby przedstawioną nam była pod postacią alternatywy, którą historia na rachunek heroizmu naszego zapisała. Ale — powtarzam — pod postacią tą propozycja przedstawioną nam nie była. Sprawa inaczej wygląda w aktach dyplomatycznych, inaczej w rze-

czywistości. O negocjacyach, jakie się z powodu tego pomiędzy gabinetami toczyły, wiedzieli zapewne Koszut, polscy i węgierscy generałowie; najlepiej poinformowanym być o nich musiał Wład. Zamoyski, który sam jeden wśród nas na wolnej pozostawał stopie i porozumiewał się bezpośrednio z agencją polską ks. Czartoryskiego (J. Czajkowski) w Konstantynopolu; ale my nie wiedzieliśmy o tem nic zgoła. Propozycję odrzuciliśmy tak prosto i naturalnie, jakby np. kowal nie przyjął wezwania do sporządzenia kamizelki. Z rzemiosłem naszym żołnierzy wolności nie zgadzały się islamizm i szeregi tureckie. W szeregach tych przeczylibyśmy sami sobie.

Z punktu tego zapatrywaliśmy się na renegacye, jakie się wśród nas zdarzały, nawet i na renegacyę Bema. Przy okazji tej doszła nas wiadomość o możliwości wojny pomiędzy Turcyą a Rosyą, kłującej się z powodu naszego. W sposób ten usprawiedliwiano przejście Bema na łono kościoła mahometańskiego. Inaczej — powiadano — nie mógłby dowództwa w armii tureckiej dostać. Nie usprawiedliwiało go to jednak w mniemaniu naszym. Przykład Bema nie pociągnął nikogo, pomimo że możliwość wojny nie była dla nas obojętną — przeciwnie. Podobała się nam ona i od momentu owego gotowiśmy byli udział w niej wziąć, ale — nie w szeregach tureckich, nie pod sztandarem księżycy, nie w charakterze żołnierzy sułtańskich. Charakter ów wstrętem nas przejmował i dla tego nie oddziaływał na nas ani rzucający się nam w oczy przykład bohatera z pod Ostrołęki i z Siedmiogrodu, ani doszły do nas na skrzydłach wieści przykład autora powieści kozacych. Staliśmy twardo w charakterze naszym, bez szczególnego ze strony naszej wysiłku. Przykłady dwóch osobistości wydatnych osunęły się po nas bez śladu i bez innej wśród nas propagandy, jak ta, która od nas samych pochodziła. Zmiana religii nie z przekonania, lecz dla interesu jakiegokolwiek, wydawała się nam rzeczą ohydną.

Przez czas cały pobytu naszego w Widdyniu, z generałów naszych nie widziałem nikogo. Mówiono o nich. Każdego z nich otaczało grono znających się z nimi bliżej. Każdy z nich miał sztab. Ze zaś żaden z nas pięciu do sztabu nie należał, trzymaliśmy się przeto zdala, bez styczności z Bemem i Dembińskim, a w styczności z Wysockim o tyle, że wobec władz tureckich pełnił funkcję naczelnika Polaków. Przez ręce jego przechodziły rachunki, tyżące się utrzymania naszego. Od niego dostaliśmy stany służby. Za jego wreszcie pośrednictwem Koszut ofiarował legionowi dwanaście dekoracyj, postanowionych przez sejm węg-

gierski. Z rozdawnictwem dekoracyj tych zaszła historia zabawna. Chodziło nie o to tylko, ażeby dać, ale i o to jeszcze, ażeby ochotników do przyjęcia znaleźć. Nie było to rzeczą łatwą z powodu, że legionistów przejmował surowy duch republikański, wedle którego dekoracje są to bawidełka dziecinne, a oraz znaki serwilistyczne. Ci przeto, którym je proponowano, odmawiali. Odnówiłem i ja. Byłem jak się pokazało ostatnim, którego propozycja spotkała, jako też ostatnią była dekoracja, która do dania była. Ten, co mi ją zaproponował, wyszedł z trudności w sposób następujący:

— Kiedy ty przyjąć nie chcesz, to wezmę ją chyba ja... — rzekł.

I pierś swoją krzyżem węgierskim przyozdobił.

W miesiącu października przeniesiono nas z obozu do miasta na kwatery.

Nam pięciu dostała się kwatera na przedmieściu, u Bulgara, trudniącego się garncarstwem. Rozdawnictwo żywności zmieniono na tak zwane „relutum,“ to znaczy, że wypłacano nam wartość porcyj i racyj w gotówce. Wypłaty otrzymywaliśmy z rąk Idzikowskiego regularnie i rzetelnie i musieliśmy sobie sami kupować wiktuały. Było to dla nas wygodniejszem z tego względu, że, zakładając menażę składkowe, czyniliśmy oszczędności, dzięki którym każdy mógł mieć po piastrów parę gotówki w kieszeni, ten na zaspokojenie potrzeb drobnych, ów na karty. Gra w karty rozwielała się w życiu próżniaczem, jakieśmy pędzili.

Życie to możeby mnie jeżeli nie do rozpacz, to do kart doprowadziło, gdyby nie nastąpiło mi się zajęcie, które umysł mój zaprzętnęło.

Zamieszkanie u Bulgara podniosło dla mnie koniuszek zastony, okrywającej tę narodowość. Zaciekawilem się do niej. Gospodarz nasz, człek prosty, posłużył mi do porównywania sfery, do której należał, ze sferą odpowiednią narodu naszego. W sposób ten wyraził się początek studyów moich nad Słowiańszczyzną południową. Zawiązały się one bezwiednie, bez powziętego z góry zamiaru i bez materiału przygotowanego innego, jak ten, który w Aradzie u Sawy Simicza zdobyłem, a z którego notatki wraz z tłumoczką pod Temeswarem zaginęły. I tamto przypadek i to przypadek. Ten ostatni nie rokował plonu bogatego, od garncarza bowiem nauczyć się i dowiedzieć mogłem bardzo nie wiele. Z rozmów z nim jednak uczyłem się po trosze języka, oswajałem ucho z akcentem mowy bułgarskiej, poczynalem ją rozumieć. Przytem porównywałem, a porównywałem szczegóły każ-

dy życia Bułgara ze szczegółem odnośnym życia mieszkańca ziemi mojej rodzinnej. Znajdowałem podobieństwa i różnice i notowałem je w umyśle. Na drodze tej w umyśle moim gromadził się nieznaczenie materyał, z którego użytek przedstawiał się mi pod postacią nie inną, jak ta, że kiedyś, gdy do domu powrócę, będę miał o czem swoim opowiadać. W celu tym czyniłem spostrzeżenia i spostrzeżeniami objąć się starałem horyzont coraz to obszerniejszy. Z punktu kwatery mojej obserwowałem przedmieście całe i z ciekawością szczególną włóczyłem się to po targowicy, gdy w dniu targowe zapelniała się przekupniami i przekupkami. Nic nie kupowałem, kupować bowiem nie miałem za co. Przypatrywałem się i przysłuchiwałem; łowiłem uchem dźwięki, okiem wyrazy oblicza, szczegóły odzieży, ruchy, gesty. Odkrywałem niejako świat nieznany, pociągający mnie ku sobie tem zwłaszcza, że znajdowałem w nim powinowactwo ze światem, ku któremu zwracałem się myślą i sercem.

W czasie jednej po targowicy przechadzki spotkałem ułana na kulach, tego samego, dla którego pod Temeswarem wóz zabezpieczyłem. Spotykałem go i przedtem, nie znałem się z nim, ale wiedziałem, jak się zowie. Nazywał się Włodzimierz Kozłowski. Chodził o kulach z powodu ran, nie pozwalających mu jeszcze o sile własnej chodzić. Jak skoro mnie na targowicy zoczył, wnet się do mnie z prośbą zwrócił:

— Kolego, ratuj!..

— Cóż to?...—zapytałem.

— Obroń mnie od przekupek, które mi spokojnie przejść nie dają...

Chodziło o to, że przekupki, przemocą prawie, wtykały mu w ręce ta owoce, inna jarzyny, owa jaja i inne artykuły handlu drobnego. Pochodziło to stąd, że, wedle zwyczaju miejscowego, kaleka każdy ma prawo do pobierania daniny. Jałmużna uważa się jako obowiązek. Cnoty ewangeliczne biorą (brali w czasie owym) Bułgarowie w znaczeniu literalnem i pełnią je względem tych, co na chleb sami zapracować nie mogą. Kozłowski wszedł na targowicę o kulach, przedstawiał się przekupkom jako kaleka, a więc przekupki dawały mu, co która miała; że się zaś od brania bronił, więc go do brania zmuszały, przemawiały do niego i krzyczały. Ramię mu podałem, z pośrodku bab litościwych wprowadziłem i o rany go zaczepiłem.

— Ano...—odrzekł—goją się... Niebawem będę mógł znów do bitwy stanąć i znów oberwać...

— Czy koniecznie?...—zapytałem.

— A bo ja mam taki pech... Staiałem do bitwy raz, oberwałem; wylizałem się, staiałem po raz drugi i znów oberwałem... Taki pech...

— A jam—odrzekłem—stawał razy piętnaście i nie oberwałem ani razu...

— Twój pech inny, mój inny...

Rozstaliśmy się. Widywałem go następnie z daleka, często w towarzystwie młodego Fredry (Jana Aleksandra), który sztabów się trzymał i którego z widzenia, z daleka znałem. Anim przeczuwał, że Kozłowski pchnie mnie na drogę karyery literackiej, nie zaznaczającej się wówczas zgoła.

Pobył nasz w Widdyniu zakończył się z końcem pory pięknej jesiennej. Jesień była przecudna. Taką ona zazwyczaj na przeczcu Dunaju dolnego bywa,

Nie przypominam sobie daty, w której opuściliśmy Widdyn. Nastąpiło to po dniach zadusznych, w Widdyniu bowiem jeszcze słyshałem *jaukanie* i *kukanie* kobiet na cmentarzu i oglądałem zwyczaj stawiania w miseczkach nieboszczykom jadła na grobach. Jadło to znika — psy je sprzątają; w przekonaniu jednak ludu, dusze zmarłych przychodzą i spożywają te dary. Po dniach przeto zadusznych rozdzielono nas. Włochów wyprawiono do Gallipoli: rząd piemoncki reklamował ich i zabrał; nas, to jest, Węgrów i Polaków, poprowadzono do Szumli.

Dzień wymarszu zapowiedział się dobrze. Poranek jesienny złociło słońce. Zebraliśmy się pod miastem, na błoniu, na którym miałem widowisko rzewne, dzięki obrazowi, jakie w wyobraźni mojej wywołało. Stał mi w oczach dawny, jakby wskrzeszony, hetman polski. Na dzielnym koniu, w suto szamerowanej czamarze, w aksamitnej, kipiącej, na prawe ucho przesuniętej, rogatej czapie, wyjechał Dembiński. Nos jego czerwony, mina nasępiona, brwi nachmurzone i broda siwa, przypadały jak raz, do odzieży i konia. Nie mogłem się dosyć napatrzeć szlachcicowi temu, odważnemu, jak Zawisza Czarny, a kłótliwemu, jak procesowicz zaściankowy. Przypatrywałem się mu, aż odjechał, a odjechał, kiedyśmy i my ruszyli. Pochodowi naszemu przewodniczył pasza, mający pod rozkazami swoimi dwa szwadrony jazdy, która nas konwojowała. Ruszyliśmy z miejsca bardzo porządnie, pomiędzy dwoma łańcuchami flankierów; oddział jazdy nas poprzedzał, oddział jazdy szedł za nami. Prowadzono nas, jak się prowadzi zazwyczaj jeńcy wojenni, faktycznie bowiem i prawnie, w sensie dyplomatycznym, pozostawaliśmy w niewoli tureckiej. Turcy nas pod wartą trzymała, w oczekiwaniu na rozstrzygnię-

cie kwestyi losu naszego, która, wywoławszy wmieszanie się gabinetów paryskiego i londyńskiego, stanęła na gruncie sprawy europejskiej. Zapewne przeto wymarszowi naszemu przypatrywać się musieli agenci dworów i zawiadomili władze swoje o porządku, w jakim nas Turcy poprowadzili.

Niechby jednak przypatrywali się byli wieczorem dnia tegoż samego. Z porządku śladu nie pozostało. Prawda, że trapił nas deszcz, który padać począł z południa, zasunął niebo chmurami i sprawił ciemność taką, żeśmy się porozrywali i pogubili.

Puściliśmy się w pochód ugrupowani w towarzystwa, które się przedtem dobrały. Oficerom sztabowym dawano podwozy; oficerowie subalterni garnęli się do nich, na wozy ich składali zawiniątka swoje i przysiadali się niekiedy. Nas pięciu przygarwał do siebie pułkownik Czernik. Obok woza jego szliśmy i z nim na kwaterach stawali. W dniu pierwszym, w czasie słoty, od towarzystwa mego oderwałem się i zgubiłem. Starłem się odszukać je, ale nadaremnie. Grzęznąć w błocie wyżej kostek, szedłem na oślep. Dobiełem się do wsi jakiejś, w której mi ciemność absolutna rozpoznać się nie dawała. Takich jak ja zbłąkanych było więcej. Kręciliśmy się tam i sam, szukając każdy swoich. Szukanie nadaremne doprowadziło mnie do tego, że, zmęczony i zmokły, pragnął dachu bodaj jakiego. Po omacku niemal natrafić mi się udało na coś, do wrót czy drzwi podobieństwo mającego. Wszedłem i spadłem. Wyleźć chciałem; lecz wpadnięcie nie wyżej jak po kolana i daszek jakiś nad głowę zachęciły mnie do pozostawiania i, za pomocą stąpania ostrożnego, rozpoznawania miejscowości. Po woni miarkując, wydawało mi się, że się znajduję w chlewie. Macając i posuwając się, dostałem się do drewnianej w zamieć ściany, pod którą uczułem pod nogami grunt suchy i słomę. Usiadłem pod nią w zamiarze spędzenia tam nocy. Po niejakiś czasie o uszy moje obły się głosy za ścianą prowadzonej rozmowy i, kiedym ku stronie tej oczy zwrócił, ujrzałem wydobywający się przez szczelinę smużek świetlany. Przyłożyłem do szczeliny oko. Za ścianą znajdowała się izba chłopska podziemna, służąca Bułgarom do ukrywania się w czasie przeciągu wojsk. Gdy wojsko nadciąga, wieś ludna pustoszeje nagle; mieszkańcy, w połowie zwłaszcza niewieściej, kryją się po katakumbach, maskowanych chlewami, oborami, zagrodami. Chałupa każda niemal, za czasów panowania tureckiego, posiadała taki niewtajemniczonym nieznanym schów. Katkow turecki nazwałby to intrygą bułgarską. Niewola uczy intrygowania w sposób podobny. W izbie tej dostrzegłem rodzinę całą, złożoną z kobiet, dzie-

ci i męczyzn. Nie zdradzałem obecności swojej. Przespałem się w chlewie i nazajutrz, odszukawszy Czernika, jużem się więcej w podróży nie gubił.

W podróży dalszej pogoda nam sprzyjała. Ciągnęliśmy na Plewnę, Łowczę, Tyrnowę i Dzumłę. Mieszkańcy obowiązani byli żywić nas i żywili bardzo dobrze. W domach wieśniaczych przyrządzano dla nas potrawy, o których chłop nasz pojęcia nie ma: potrawki z drobiu lub jagnięciny, pilafy, ciasta nakształt strudłów, zupy różne. Po miastach podawano chleb świeży; po wsiach do jedzenia każdego pieczono placki w popiele. Przyjęcie najwspanialsze spotkało nas w Łowczy, u mieszczanina Bulgara. Gościnnie gospodarz zastawił dla nas ucztę prawdziwą, obfitą, doskonale przyrządzoną i wyboremi winami uakcentowaną. Wyszędłem na niej źle, dzięki kolegom moim, którzy, z Czernikiem się znówiwszy, spoić mnie zamierzili, a to dlatego, że się chwalił, że w ciągu wojny węgierskiej nie byłem pijany ani razu. Dolewali mi wina; gdy zaś wino nie bardzo skutkowało, zmusili mnie do napicia się wódki grzanej. W Bulgaryi jest zwyczaj grzaną wódką zakrapiać jadło. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Na mnie, nie nawykłego do mieszania wina z wódką, połknięcie alkoholu ciepłego podziałało na kształt emetyku. Wytrzeźwiłem się odrazu. Koledzy zamiaru nie dokonali.

Tu i ówdzie zatrzymywaliśmy się na dniówkę. Dniówka w Tyrnowie upłynęła nam najmniej, z racyi przechadzki po okolicy prześlicznej i odwiedzin w monasterze, w którym mnisi, pokazując pamiątki i ciekawości różne, oprowadzali nas i gościnnie soczewicą i winem podejmowali.

Co się tyczy pamiątek, pokazywano nam w okolicy Łowczy krzyż na szczycie wysokiej, stromej a urwistej góry. Bulgar woźnica na krzyż ów uwagę naszą zwrócił. Był on osobliwością, przez to samo, że stał.

— Turcy go nie zrzucili?...—zapytałem Bulgara.

— Zrzuciliby, ale nie mogą...

— Czemu?...

— Matka Boska krzyż ten postawiła na znak, że wiara chrześcijańska silniejsza od muzulmańskiej...

I opowiadał, że Turcy krzyż ów zwalić usiłowali, z armat do niego strzelali, jest bowiem zapowiedź taka, że póki go nie zwałą, póty panowanie ich w kraju bułgarskim pewnem nie jest. I cóż? Krzyż się utrzymał; Turcy ustąpili. W czasie owym wiara w zapowiedź tę miała wszystkie charakterystyczne znamiona przesądu. Na wyzwolenie Bulgaryi nie zanosilo się zgoła.

Wiara w kierunku tym zmanifestowała się przed nami, w czasie pochodu tego, w tym jednym wypadku. Wszędzie indziej Bułgarowie zdawali się nie rozumieć prawa do bytu niezależnego. Ani myśleli o nim. Nas się z ciekawością dopytywali, co nas do Turcyi sprowadziło i, gdyśmy im o wojnie i powodach onej opowiadali, dziwili się temu mocno. Dziwiło ich to mianowicie, żeśmy poczynali bez króla. Wydawało się im, że wojny toczyć mogą tylko królowie pomiędzy sobą; że stanowi to specjalność ich. Wojna przeto węgierska była dla nich nowiną wielką. Słyszeli o niej, słyszeli o Koszucie i brali Koszuta za króla.

— Bre, bre... — odzywali się, głowami kiwając, gdyśmy im tłumaczyli istotę rzeczy.

Tłómaczenie nasze miało znaczenie siania ziarn na gruncie dziewiczym. Nie działało się to w intencji szkodzenia Turcyi; przychodziło samo przez się. Przedstawialiśmy się narodowi uciśnionemu, jako żywy przykład walki o wolność, jako podnieta aspiracyj zagłuszonych przez niewolę. Historyk dziejów odrodzenia się Bułgaryi zapominać nie powinien o fakcie przejścia Polaków z Widdynia do Szumli pod wartą turecką.

Warta owa nie dozorowała nas nader gorliwie. Od pierwszego noclegu jużśmy flankierów z boku nie widzieli, a i szwadrony maszerowały często drogą inną, aniżeli my. Regularnie jedno na mostkach, przez któreśmy przechodzili, oficerów kilku staowało i liczyło nas. Powtarzało się to razy kilka. Chodziło im o to, ażeby znać dokładnie, ilu nas jest. Liczyli przeto: za każdym jednak razem wypadała im cyfra inna. Skończyło się na tem, że liczeniu pokój dali.

Przed wkroczeniem do Szumli, powtórzyło się to, co przy wyjściu z Widdynia. Uszykowaliśmy się na drodze w kolumnę, oddział jeden jazdy wystąpił naprzód, drugi zajął nam tył, po bokach wyciągnęły się łańcuchy flankierów. W porządku tym wprowadzono nas do miasta i zakwaterowano w koszarach. Oficerowie sztabowi dostali kwatery w mieście.

W koszarach jednak kwaterowaliśmy niedługo. Nazajutrz po przybyciu naszym oficerom wszystkim, którzy tego chcieli, rozdano mieszkania prywatne. Myśmy się o takowe zgłosili i dostaliśmy u Bułgara izbę z kominem, z zaklejonemi papierem oknami i bez mebli innych, jak rogóżka na podłodze. Zainstalowaliśmy się tam, zaprowadziliśmy sobie *mangał*, to jest misę dużą, w której na popiele układają się węgle, służące do ogrzewania izb i gotowania jadła, kupiliśmy naczynia i zagospodarowaliśmy się. Koszary wszelako stanowiły dla nas punkt zborny do odbie-

rania relatum i załatwiania spraw. Ze spraw najpierwsza, jaka się nastęrczyła, tyczyła się wyboru naczelnika, albo raczej, przedstawiciela naszego wobec władz tureckich. Funkcyę tę pełnił dotychczas Idzikowski. Objawiło się jednak przeciw niemu niezadowolnienie jakieś, pochodzące nie odemnie, ani od przyjaciół moich. Nie wiem, o co to i komu poszło, dość, że się niezadowolnienie objawiło i Idzikowski, wezwawszy nas wszystkich, przemówił do nas w te słowa:

— Oto niektórzy niezadowoleni są ze mnie... Bóg widzi, że robię wszystko, ażeby wszystkich zadowolić... Ponieważ jednak niektórzy są ze mnie niekontenci, wybierzcie więc sobie naczelnika innego.

Myśmy na to milczeniem odpowiedzieli.

— Wybierajcie... no!... wybierajcie!...—nalegał.

— Wybierajcie!...—odezwał się Rudnicki, który Idzikowskiemu niby za adjutanta, niby za *alter ego* służył, człek miniasty i rezolutny.

Na wezwanie kilkakrotne, głos jeden z tłunu odezwał się: „Miłkowski,“ drugi: „Zima,“ trzeci: „Zima,“ czwarty: „Miłkowski“ i t. d. Dwa te nazwiska powtarzały się i powtarzały.

— A! co tam marudzić mamy!...—zawołał Rudnicki.—Niech będzie pułkownik Idzikowski!... Kto przeciw pułkownikowi ma co, niech wystąpi!... No?... Nie występuje nikt!... Więc pułkownik Idzikowski wybrany!...

Przeciw wyborowi temu protestacyi nie było. Niespodzianka, jaka pod postacią wywoływania nazwisk naszych na Zimę i na mnie spadła, nie zastała nas w usposobieniu przyjęcia zaszczytu tego. Przytem nikt do Idzikowskiego na seryo pretensyi nie miał i Idzikowski na seryo stanowiska się nie zrzekał. Przeciwnie, chciał, jak się zdaje, za pomocą wyboru, wzmocnić je i o mało—o mało nie wypadło inaczej.

Na kwaterze naszej dobrze się nam działo. Było nam i nie głodno, i nie chłodno. Zajmowaliśmy się kuchnią sami, urządziwszy pomiędzy sobą kolej. Kto się na kolei znajdował, powinien był nie tylko gotować, ale w izbie porządkować i czyścić. We względzie tym wytworzyło się wśród nas współzawodnictwo. Jeden sadył się nad drugiego; wymyślaliśmy potrawy i sposoby ich przyrządzania. Nie pomnę, który z nas kupił dwie kury, obiecując przyrządzić je po węgiersku. Chodziło jednak przedewszystkiem o zarznięcie kur. Żaden z nas nie chciał się operacyi tej podjąć. Nam, cośmy na bagnety uderzali, do uśmiercenia kur serca zabrakło. Po długich wreszcie wahaniach się, zdecydował się

na to Zamoyski: z nożem i kurami na ganek wyszedł, gardło poderzwał jednej i na śnieg ją rzucił, poderzwał drugiej i toż samo uczynił i — obie uciekły. Musieliśmy je łapać i Bulgarki o spełnienie nad nimi wyroku prosić.

Dokuczały nam nudy straszliwe, któreśmy odpędzali wszelkimi możliwymi sposobami: szyciem, struganiem, włóceniem się po mieście, odwiedzaniem kolegów, przyjmowaniem odwiedzin, wreszcie, redagowaniem dziennika. To ostatecznie, nie pomnę, któremu z nas pierwszemu na myśl przyszło, bodaj, czy nie Jastrzębskiemu, który o literaturze rad rozprawiał i wielkim był zwolennikiem nieznanego mi podówczas autora, Józefa Dzierzkowskiego. Jastrzębski znał utwory jego i bardzo je chwalił. On też, zdaje się, powziął myśl założenia dziennika, którego redakcja mnie się dostała. Wziąłem się tedy do pisania. Jam pisał, egzemplarz jeden całkowicie układał i następnie dyktował do kopiowania na ręk kilka. Skopiowanie kilkakrotne dawało w rezultacie egzemplarzy dwadzieścia do trzydziestu. Zamoyski podjął się kolporterki. Roznosił dziennik i sprzedawał, mieliśmy przeto stąd i zatrudnienie i dochodzik. Dziennik nasz, którego tytuł i treść artykułów z pamięci mi wypadły, sciągnął na siebie uwagę pełniącego przy nas funkcję obrońcy politycznego, Władysława Zamoyskiego, i ten nadsyłał nam materiały do wiadomości politycznych. Trwało to, nie pamiętam, jak długo — póty, pókiśmy na kwatery stali. Dzięki dziennikowi temu, wszedłem w stosunek z ludźmi, którzy mi, że się tak wyrażę, nadali na emigracji polskiej stanowisko.

Gromada nasza w Szumli składała się przeważnie z inteligencji, mieszczącej w łonie swoim przedstawicieli przekonani i prądów, jakie się w łonie społeczeństwa polskiego urobiły tak w kraju, jak na wychodźstwie. W większości swojej była ona szarą gromadą. W gromadzie tej atoli wydzielały się osobistości, nacechowane charakterem politycznym wybitnym, wyobrażające zasady, zamiary i cele. Jak w parlamencie, jak w zbiorowiskach wielkich, istniały w niej strona prawa, lewa i środek. Na prawicy stanowisko przewodnie zajmował przedstawiciel hotelu Lambert, siostrzeniec księcia Adama Czartoryskiego, hr. Władysław Zamoyski; na lewej rola ta przypadła Wysockiemu, członkowi Towarzystwa Demokratycznego polskiego, eks-członkowi Centralizacji. Wysocki jednak nie pełnił jej ze względu na położenie wychodźstwa w Szumli, któremuby pomocy najmniejszej nie przyniósł, gdyby je do zorganizowania się w Towarzystwo Demokratyczne powołał. Turcy zapewne nie patrzyliby na to okiem przy-

jaznem. Nie wypadło mu wywieszać sztandaru na gruncie niewoli, nacechowanej charakterem opieki. Nie poruszał przeto tej sprawy, jak ze strony swojej, dla powodów tych-że sanych, Wł. Zamoyski nie stawiał sprawy hotelu Lambert, nie zawiązywał Towarzystwa Trzeciego Maja. Względy te obowiązywały nas wszystkich, nie w takim wszelako, jak Zamoyskiego i Wysockiego stopniu. Ludzie na świeczniku nie stojący działać mogli w kółkach poufnych w duchu tym lub owym, bez narażania losów wychodźstwa.

Jakoż, jedno z kółek takich zawiązało się w sekcję Towarzystwa Demokratycznego polskiego. Zawiązali je Żarski i Franciszek Sokulski, emigranci z r. 1831, inżynierowie, ludzie wykształceni i bardzo zacni. Koło nich grupowali się młodszy. Kiedym do kółka tego wszedł, znalazłem już w niem Walentego Lewandowskiego, młodzieńca z sercem gorącym i szczerem, Konstantego Łękawskiego, syna księdza ze Stanisławowa, przezwanego Czarnym ułanem, Żabickiego, jeszcze kogoś i jeszcze kogoś. O Towarzystwie Demokratycznym miałem wyobrażenie niejakie, ale mętne, ogólnikowe. Sympatya mnie ciągnęła ku niemu. Gdym się przeto z kółkiem zetknął, gdym z Sokulskim i Żarskim znajomość zabrał, gdy mi oni zasady i cele Towarzystwa jasno wyłożyli, przyłgnałem do nich duszą całą. Inicyował mnie głównie Łękawski, człowiek, co pod pozorem dobroduszości i prostoty posiadał jasny na rzeczy pogląd i wiedzę rozległą. Był on odemnie o lat dziesiątek starszy i miał przeszłość: należał do robót publicznych w Galicyi przed rokiem 1846 wraz z Szajnochą, Bielowskim, Smolką, Ziemiańskim, Szmidtem Henrykiem i in. Łękawski mieszkał razem z Żarskim i Sokulskim. Chodziłem do nich często; dowiadywałem się o rzeczach, które mi były obce, a mianowicie: o stosunkach emigracyjnych, o osobistościach na wychodźstwie wydatnych, zwłaszcza o Heltmanie i Mierosławskim. Ten ostatni zajmował mnie szczególnie, jako żołnierz. Sokulski i Żarski zdolności jego podnosili wysoko. Koniec końcem do sekcji wstąpiłem — członkiem Towarzystwa Demokratycznego zostałem w Szunli r. 1849. Wytoczyło to dla mnie drogę na przyszłość; w terażniejszości zaś stało się lekarstwem na nudy i ochroną przed następstwami próżniactwa, które kolegów moich gromadami całymi zapędzało do kart i kieliszka. Gdyby nie dziennik i nie Tow. Dem., może bym się z nudów rozegrał i rozpił.

Pomiędzy tymi, co nas odwiedzali, osobistość jedna na osobną zasługuje wzmiankę. W r. 1846, w Krakowie, zamordowany został komisarz, czy sędzia śledczy, Zajączkowski, który się od-

znaczał szczególnie nieludzkiem więźniów politycznych traktowaniem. Sprawca morderstwa tego odszukany być nie mógł. Owóż sprawca ów, którego nazwiska, z powodu że zajmuje obecnie wśród obywatelstwa stanowisko poważne i o zdarzeniu tem sam nie mówi, ujawnić nie mogę, u nas bywał i, jak się rzecz stała, opowiadał. Był on wówczas studentem, mieszkał na stancyi, słyszał o znęcaniu się nad więźniami Zajączkowskiego i w oburzeniu powziął zamiar zastrzelić go. W celu dokonania zamiaru tego, kupił sobie pistolet, nabił i, z pistoletem w kieszeni, wieczora pewnego udał się do mieszkania sędziego, żądając widzenia się z nim. Zajączkowskiego w domu nie było.

— Kiedy przyjdzie?... — zapytał.

— Za pół godziny, za godzinę może... — odpowiedziano.

W oczekiwaniu na upływ godziny poszedł student na planty. Na plantach nikogo. Przechadzał się samotnie czas jakiś, aż w końcu przeciwnym alei dostrzegł światelko, które się ku niemu zbliżało. Szło dwóch ludzi: jeden z latarką przodem, drugi z tyłu. W tym ostatnim, idąc mimo, poznał student Zajączkowskiego. W chwili tej pistolet podniósł, strzelił i uciekł. Udał się pędem na stancję. Rozebrać się i do łóżka pójść było dziełem momentu jednego. Położywszy się jednak, zasnąć nie mógł, rozmyślał, i z rozmyślenia wyrodziło się zapytanie: czy zastrzelił, jeżeli zaś zastrzelił, to... nie Zajączkowskiego może? Po nocy mógł wziąć kogo innego za niego. Myśl ta dręczyła go do rana; gdy zaś dzień zaświtał, nie śmiał na miasto wyjść, ażeby się o omyłce nie dowiedzieć. Około dziesiątej wszedł do niego z kolegów jeden.

— Czy wiesz, co się stało?... — zapytał.

— Co?... — odrzekł sprawca głosem od wzruszenia wewnętrznego drżącym.

— Sprzątnął ktoś Zajączkowskiego...

— Zajączkowskiego!... — krzyknął, koledze się na szyję rzucając.

Czas na kwaterze upływał nam jako tako. Nie znaną mi jest racya, która spowodowała powołanie do koszar nas wszystkich. Musieliśmy się przenieść i urządzić sobie życie inaczej. W koszarach dawano nam jadło gotowe, przez kucharzy tureckich sporządzane; odpadła więc część zajęcia gospodarska. O redagowaniu dziennika ani myśleć było można. Sekcyja Tow. Dem. nie dostarczała zajęcia ciągłego. Zajęliśmy miejsca swoje w sali ogromnej, do której przylegała sala druga i trzecia, napełniona po brzegi eks-legionistami. Sypialiśmy pokotem na siennikach, na podłodze. Sienniki na dzień zwijały się i do siedzenia służy-

ły. Po środku miejsca było dosyć. Olbrzymie, miedziane maną-
gały ogrzewały sale dostatecznie. Pod względem materyalnym
nie brakło nam na niczem. Trapiły nas nudy—próżniactwo: brak
książek, brak strawy umysłowej. W salach tu, tam, owdzie, wszę-
dzie, dniami całymi w karty grano.

Karty stanowiły ucieczkę jedyną.

Niektórzy szukali rady na to.

Władysław Bentkowski napisał komedycę, dobrał aktorów,
urządził w koszarach teatr; sztukę jego grano razy parę: dostar-
czyło to rozrywki na wieczorów kilka i materyału do krytyki,
a zatem do roznów.

Idzikowski ogłosił wykłady sztuki wojskowej. Wykłady te
zrazu zajęły, wprędce atoli zobojętniały. Zaprzestano na nie cho-
dzić. Z powodu tego książdz Niewiadomski, który regularnie nie-
dzieli każdej mszę w koszarach odprawiał, w kazanie, wygłoszo-
ne wobec stojącego przed nim na czele nabożnych Idzikowskiego,
taki wsunął ustęp:

— Próżnujecie, w karty gracie, czas drogi marnotrawicie:
a czemu nie chodzicie na wykłady pułkownika Idzikowskiego?
Pułkownik Idzikowski wprawdzie sam umie nie wiele, zawsze
jednak więcej, niż wy...

Łatwo sobie wyobrazić minę pułkownika, gdy słowa te obity
się o uszy jego. Po kazaniu tem wykłady ustały. Próżniactwo po-
tęgowało rozkładające przymioty swoje. Oficerowie sztabowi, po
kwaterach stojąc, bronili się onemu łatwiej. Nam obrona przycho-
dziła z trudnością, z którą w dniu każdym walczyć trzeba było.
Tych, co w karty nie grali, nudy pędziły do szynków, utrzymywa-
nych przez Bulgarów. Krążące po mieście patrole tureckie spro-
wadzały od czasu do czasu eks-legionistę w stanie nietrzeźwym.

Razu pewnego w stanie tym przyprowadzono Baczyńskiego,
owego z Lugosza mówcę, co to Koszuta, Görgeya i Wysockiego
o zdradę oskarżył i do Siedmiogrodu legion wzywał. Nie było
to osobliwością żadną i niktby na to uwagi nie zwrócił, gdyby
stąd nie wywiązała się sprawa wielce drażliwa. Baczyński się
nie tylko spił, ale po pijanemu awanturę zrobił. I to jeszcze by-
łoby niczem. Lecz w spiciu się i w awanturze udział wziął wy-
znawca proroka, *milazim* (podporucznik) turecki. Patrol wraz
z Baczyńskim i milazima przyprowadził, jednego wpuścił pomię-
dzy nas, drugiego *mirataj* (pułkownik) odesłał na odwach i, gdy
się wytrzeźwił, kazał kijami obić. Po dokonaniu egzekucyi od-
niósł się do Idzikowskiego z żądaniem, ażeby i Baczyński kijami
obity został. Idzikowski myślał zrazu, że to żarty, wprędce jed-

nak poznał, że pułkownik nie żartuje, zapowiedział bowiem, że w razie, gdybyśmy żądaniu temu zadość nie uczynili, on każe Baczyńskiego przemocą wziąć i egzekucyę nad nim żołnierzom tureckim dokonać. Gdy ultimatum to do wiadomości naszej doszło, pomiędzy nami zawrzało.

Co tu począć?

Sprawą tą zajął się Zamoyski; zajęli się Wysocki, Dembiński, Koszut nawet. Udawali się do paszów, z których jeden był komendantem twierdzy, drugi gubernatorem. Zabiegów tych owoc był ten, że Zamoyski przyszedł do nas i oświadczył, iż starania wszelkie spełży na niczem.

— Pozostaje jeszcze jeden środek... — mówił. — Wybierzcie, panowie, z pomiędzy siebie delegacyę i udajcie się do generała Bema. Bem ma u Turków zachowanie; może interwencya jego, jeżeli się jej podjąć zechce, odwróci od nas tę sromotę. Gdyby i to nie pomogło, w razie takim nie pozostaje nam, jak pójść za przykładem Karola XII-go w Benderach... Zabarykadujemy się i będziemy się orężnie bronili...

Patrzałem na Zamoyskiego, gdy wymawiał słowa ostatnie. Postać jego wysoka i chuda, twarz pergaminowa, oczy szklane zajaśniały blaskiem chwilowym. W wyrazach czuć się dało ciepło. Człowiek ten, od którego chłodem wiało, przeistoczył się niby — wypiękniał. Przeistoczenie trwało niedługo. Powrócił do delegacyi i radził się z tem śpieszyć. Gdy odszedł, myśmy natychmiast do wyboru przystąpili. Postanowiono wybrać delegatów dwóch: ktoś wymówił nazwisko „Kozieradzki,“ ktoś drugi wymówił nazwisko moje — zostaliśmy wybrani przez aklamacyę.

Podczas kiedy się wybór odbywał, miałem przed oczami sprawcę kłopotu, Baczyńskiego. Ogolił brodę wspaniałą, spokojniat, miał minę pożałowanie wzbudzającą. Nawarzył piwa, którzyśmy pić musieli wszyscy.

Z Kozieradzkim udaliśmy się niezwłocznie do Bema. Po raz pierwszy stanąć miałem wobec tego człowieka znakomitego. Znakomitość jego olśniewała mnie niejako. Dla ludzi wielkich żywiłem kult wolałem jednak i dotychczas wolę patrzeć na nich zdaleka. Szedłem tedy do Bema w usposobieniu na poły bojaźliwym. Ośmieliło mnie atoli przyjęcie, jakiego nam udzielił.

Bem powitał nas bardzo uprzejmie i posadził na sofie obok siebie. Interes, który nas do niego sprowadził, był mu znany; uzna wstręt nasz do wydania kolegi pod kije i przyrzekł zrobić ze swej strony wszystko, co będzie w jego mocy, celem odwrócenia zasromocenia w Baczyńskim nas.

— Turkom się dziwić nie trzeba...—mówił.—Mają zwyczaje swoje i nie rozumieją naszych.

Po załatwieniu sprawy odchodzić chcieliśmy. On nas jednak zatrzymał, podać kazał zwyczajem tureckim kawę i fajki i wdał się z nami w gawędkę. Rozpytywał nas o służbę w legionie, o bitwy, w których braliśmy udział. Na wspomnienie moje o bitwie temeswarskiej i o tem, żem się na niego czas cały pozostawania jego na szosie patrzył, zaczął o bitwie tej mówić. Powiadał, że miał w niej pod dowództwem swoim wojska za dużo.

— Młodego...—wtrąciłem—nie ostrzelanego...

— To nic...—odparł.—Wojsko każde dobrze prowadzone dobrem jest... Ale go było za dużo...

Wykładał następnie, że siła wojska normalną jest tysięcy trzydzieści, że w tysięcy trzydzieści pokonać można przeciwnika trzy i cztery razy liczebnie silniejszego. Trzeba się tylko umieć ruszać. Należy, ażeby wódz wojsko swoje całe trzymał w garści i rzucał niem jak piłką. Mówił dalej, że w garści najłatwiej trzyma się korpusik czterotysięczny, korpusik bowiem taki dopuszcza najdokładniejsze zestawienie broni i posiada rzutkość największą.

— Dobry generał cudu na czele czterech tysięcy dokaże...—słowa jego.

Słowa te stosowały się do niego samego.

Mówił z ożywieniem i z akcentem takim, jakby miał przed sobą nie poruczników, ale oficerów wyższych. Wyraził nadzieję, że się wojna na Węgrzech wznowi, „jak skoro się huzary oporządzą“ i pożegnał nas obietnicą, że się sprawą Baczyńskiego gorliwie zajmie.

Zewnętrzność Bema nie zwiastowała tej żywości i potęgi ducha, jakiej był wcieleniem. Postać jego przedstawiała obraz nędzy cielesnej. Wzrostu średniego, chudy, mizerny, twarz miał brzydką i bliznami poznaczoną. Bliznę największą, mającą pozór plastra do policzka przyklepionego, pozostawiła mu próba z prochem. Nos mały, spiczasty, wyglądał, jakby wykąszony. Oczy nawet blaskiem nie świeciły. Skąd-że się w tem nędznem ciele brała energia taka? Żołnierze, co pod nim służyli, uwielbiali go — bezszczerem stawał się dla nich; na wezwanie jego wydobywali z siebie siły nadludzkie. Pozostawił też po sobie wspomnienia, które się w legendy zmieniły.

Przyrzeczenia Kozieradzkiemu i mnie danego dotrzymał. Sprawą się gorliwie zajął i odwrócił — od nas sromotę, od skóry Baczyńskiego plagi.

IGNACY POTOCKI

a Komisya Edukacyjna.

(1773 — 1788).

„Ale naybardziey ufam temu żniwu, które choć po moiey śmierci inszy zbierać będzie z mego iednak zasiewu, gdy przez poprawioną teraz dzieci Edukacją—znaydzie pod Ręką swoją kilkadziesiąt Tysięcy Obywatelów oświeconych, od przesądów oddalonych, y cale inaczey do wszelkiego użycia usposobionych, niżelim Ja ich zastał.“

(*Król Stanisław August do Oraczewskiego 2/8 1783*).

Nie bardziej nie mogło odpowiedzieć i dogodzić Ignacemu Potockiemu, jak „dyrektorstwo mądrości,“¹⁾ uzyskane na sejmie delegacyjnym w r. 1773, po kasacie zakonu Jezuitów. Działalność w Komisji Edukacyjnej postawiła go wysoko w dziejach kultury polskiej. Na jej pełną ocenę, niestety, za wcześnie, bo nie obejmiemy historii Komisji, jak to słusznie zauważył jeden ze znawców naszego szkolnictwa, tak długo, póki nie wyjdą na jaw najważniejsze materiały jej się tyżące. To, co wiemy, jest fragmentem i fragmentaryczną tylko może być ocena prac poszczególnych członków.

Ignacy Potocki był, rzec można, wypadkową postacią wszystkich głównych prądów kulturalnych, które nurtowały stanisławowski okres reformy. Wychowany w warszawskiem collegium bliz-

¹⁾ Z listu Katarzyny Kossakowskiej.

kiego sobie reformatora szkoły i sejmu z myślą o sukni duchownej—ruszył do źródła pijarskiej mądrości, do Rzymu. Tu i tam przejął się zapewne najmocniej dwoma naczelnymi postulatami pedagogii swego mistrza: jednym, osobliwie ważnym i płodnym w skutki na gruncie polskim, że szkoła, a mianowicie szkoła, w której się chowa klasa rządząca, ma być nadewszystko ćwiczeniem dobrych obywateli, klasycznym *seminarium honorum virorum*, zdrowych na ciele, a pośrednio na duszy, świadomych swej tradycji i powinności; po drugie, starał się nadać swemu umysłowi kierunek empiryczny, praktyczny, który pielęgnowali Pijarzy, dbając o rozwój nauk fizycznych. Na ten podkład zdrowych pojęć, związanych przeważnie z kulturą klasyczną i etyką religijną, przyszła uzupełniająca kultura filozoficzna angielsko-francuska, teoria Locke'a i potężny wpływ Rousseau'a. W kraju grunt był trochę przygotowany, uprawiony. Obok inicjatywy Konarskiego, szła równolegle inicjatywa Załuskich, wsparta zastępem ludzi, jak Mitzler, Minasowicz i Janocki. Ich spadkobiercą zostanie Potocki wraz ze swą prawą ręką na tem polu, Pijarem Kopeczyńskim, a biblioteka Załuskich siedzibą Komisji Edukacyjnej, edukacji narodowej, wyszłej z ducha Załuskich i Pijarów. Ale nie tylko Załuskich myśl i dzieło żyły w młodzieńcu, który najlepsze lata życia poświęcał tej edukacji. Przez żonę powinowaty, przez stosunki majątkowe sąsiad Puław, w ustawicznym zostawał zetknięciu także z tą metropolią sztuk i nauk. Wspomnienie planów i reform starych Czartoryskich nie skłoniło wprawdzie do wydatniejszych politycznych czynów ich potomka, dziedzica Puław, ale za to z prawdziwem zamiłowaniem formułował książkę Adam katechizm kadecki dla powierzonej sobie szkoły, układał dla niej i starał się o podręczniki, gromadził wokoło siebie uczonych i poetów. A wreszcie sama Warszawa stanisławowska niepoślednie stanowiła ognisko kultury towarzyskiej, w którym wnet dodatnim czynnikiem stał się, dzięki pozycji społecznej i zamiłowaniom intelektualnym, pisarz litewski, przyjaciel Krasickiego i Węgierskiego, towarzysz puławskich wczasów Karpińskiego i Książnina. Bywał na obiadach czwartkowych, a na jednym z nich (11 czerwca r. 1772) odczytał rozprawkę: „O ustanowieniu porządku w nauce prawa cywilnego y o założeniu zgromadzenia prawnych ludzi.“ Tak więc w uczonej atmosferze biblioteki Załuskich i wysoce kulturalnej Puław i dworu, rozwijał się i pracował przyszły przewodniczący Towarzystwa ksiąg elementarnych.

Bulla Klemensa XIV: *Dominus ac Redemptor noster* z dnia 21 lipca 1773 r., znosząca zakon Jezuitów, postawiła w Polsce na

porządku dziennym problem sekularyzacji szkoły. Na wniosek wojewody gnieźnieńskiego Augusta Sułkowskiego, podkanclerzego litewskiego, Joachima Chreptowicza i innych, ustanowiono w październiku 1773 r. Komisję Edukacji Narodowej, która oparła swoją działalność na funduszach pojezuickich. Prezesem jej został biskup wileński, Ignacy Massalski, człowiek nie bez oglądy, dobry znajomy Rousseau'a, ale osławiony przez swoje postępowanie podczas delegacji rozbiorowej, następcą jego inny członek episkopatu polskiego, wyżej od Massalskiego stojący, Michał książę Poniatowski. Obok Massalskiego, żywym przypomnieniem hańby rozbiorowej był współinicjator Sułkowski, dopełniali go na wspomniany już Chreptowicz, Franciszek Poniński, starosta kopanicki, krewny osławionego Adama; generalny inspektor wojsk koronnych, Jędrzej Mokronowski, przedstawiciel saskiego pokolenia; późniejszy sługa ambasady rosyjskiej, referendarz koronny Jacek Małachowski; starosta czerski, Franciszek Bieliński, późniejszy autor „Sposobu Edukacji w 15 listach opisanego,“ drugi Poniatowski—Stanisław, synowiec króla, ex-kanclerz Andrzej Zamoycki, Adam Czartoryski, Ignacy Potocki. Później wstąpili: Michał Mniszech, projektodawca muzeum historii naturalnej i fizyki, biskup Garnysz, Michał Radziwiłł, Szczęsny Potocki, Antoni Małachowski, Ignacy Przebendowski i nader czynny w sprawach edukacyjnych Feliks Oraczewski.

Wraz z Poniatowskim Michałem i wujem swej żony, księciem-generałem ziem podolskich, wspomagany znakomitą pomocą przyjaciela i domownika Piramowicza, który poza prebendą w Kurowie piastował sekretarstwo Komisji, stawał się stopniowo młody Potocki właściwym kierownikiem oświaty w Polsce po pierwszym rozbiore. Już współczesnych dziwić musiała przedwczesna pozycja dwudziestotrzechletniego panicza, skoro Piramowicz w pochwałę przyjaciela (w liście do przyjaciela Komisji Rzeczypospolitej na edukację narodową z Warszawy 6 listopada 1773 r.) używał zlekka apologizującego tonu: „Kiedy obierano — pisał on więc—ludzi najzdadniejszych do tego urzędu, nie mógł ten młody pan być ominiony, którego niezwyčajna gruntowność przyrodzonego rozumu, dojrzałość rozsądku, porę wieku dawno uprzedzająca, i obszerna biegłość w nabytych umiejętnościach, smak w naukach, pracowite niemi bawienie się, a z bardzo pięknymi serca przymiotami, szczerem obywatelstwem zjednoczone, w oczach ojczyzny na pociechę na wzór młodzieży wystawiać. Boję się, żeby kto nie posądził wiadomej wdzięczności i przyjaźni mojej ku temu panu, jakoby się mięszać miała w urząd sprawiedliwości, udzie-

lającej pochwały; wolno się jej o świadectwo u najobojętniejszych i u samych, jeżeli ich mieć może, nieprzyjaciół pytać.“

Przedewszystkiem powierzony mu został przez Komisję zarząd biblioteki Załuskich. Józef Załuski, biskup kijowski, nosił się, za przykładem brata swego Andrzeja, biskupa krakowskiego, z myślą zreformowania nauk w Polsce na wzór europejski i w tym celu proponował królowi założenie uniwersytetu w Warszawie na wzór turyńskiego i akademii na modłę londyńskiej. Uniwersytet taki miał być, według myśli biskupa, jedynym i centralnym na całe państwo i zastąpić—jak się w liście do króla wyrażał—szkielet krakowski, trup wileński, embryon zamoyski i lwowski poroniony płód. W „Poniatowińskiej wszechnicy,“ założonej przez króla, „Salomona sarmackiego,“ nauczałiby za ex-jezuickie fundusze mrućcy obecnie z głodu ex-jezuici, a tak uczeni, jak słuchacze, krystaliby z narodowej biblioteki imienia Załuskich, którą fundator z Paryżem, Londynem, Wiedniem i Watykanem zrównać zamierzał. Piękny projekt nie doszedł do skutku, skończyło się na tem, że biblioteka, jako narodowa, złączona została z Komisją Edukacyjną, a zarząd powierzony Potockiemu. „Będziesz miał tedy sposobność—pisał doń, dowiedziawszy się o nominacji brat, Stanisław—zadowolili swoje zamiłowanie w naukach, a z drugiej strony uradowany jestem, widząc, że tak piękny pomnik i jedyny może, jaki posiadamy w Polsce—zamiłowania prywatnego człowieka w literaturze, wychodzi z rąk mnichów (Jezuitorów), w których wszystko się niszczy i ginie.“ Zadaniem dyrektora było utrzymywanie i pomnażanie największej, 300,000 tomów dochodzącej księżnicy polskiej, za pomocą nieproporcjonalnie skromnego funduszu 3,000 złotych. Przybrawszy sobie do pomocy księżdz Kopyńskiego, podoływał mu wedle możności Potocki, a nadto czynnym był w urządzaniu i uporządkowywaniu bibliotek przy szkołach, rozsianych po kraju, i w sprawie spłacenia sukcesorów założycieli biblioteki Załuskich. Następnie zwrócił się pisarz litewski do obmyślenia „Edukacji i Instrukcji w Polsce ustanowić się mającej.“ W tej mierze zachował nam się cały projekt własnoręcznie skreślony, który zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Memoryał swój podzielił Potocki na trzy części: w pierwszej zastanawia się nad zawadami ze strony Rzplitej, rodziców i szkół istniejących. Domaga się tu dostatecznego wyposażenia ze strony państwa, przelania władzy Komisji rozdawniczej (funduszków pojezuickich) na Edukacyjną, pozostawienia jej samorządu co do nominacji komisarzy, wreszcie odmiany złych ustaw państwowych, niezgodnych z duchem czasu, a wpływających pośrednio na do-

mowe wychowanie. Przechodząc do określenia ilości i jakości nowych szkół, dzieli je na pierwiastkowe, wojewódzkie i główne. Pierwsze z nich ustanowione będą w parafiach, drugie, o ile się da, w każdym województwie, główne najwyżej w trzech miejscach. Domy rodziców uważa projektodawca za pierwszą klasę szkół pierwiastkowych. Co się tyczy fizycznej edukacji i wychowania domowego, poleca dzieła genewczyka: Ballexerd'a, a dalej Locke'a, Rousseau'a i Fenelon'a, na których ma się oprzeć odpowiednie dzieło w języku polskim. Elementarzy będzie trzy: jeden ma zawierać jaknajjaśniej zebrane powinności chrześcijanina i obywatela, drugi zbiór słów łacińskich i, jeżeli się zda, innych, potrzebniejszych dla Polaka z żyjących języków, trzeci—pierwsze arytmetyki początki, jakoteż sposób praktyczny rysowania i mierzenia geometrycznych figur. Oprócz tego, rodzice, mieszkający na wsi i nauczyciele w szkołach wiejskich, zawczasu przysposabiać będą dzieci do poznania rolnictwa. Szkoły wojewódzkie dzieli na trzy klasy: każda klasa trwać będzie dwa lata i mieć będzie dwóch profesorów. Pierwsza klasa „zacznie się przez gramatykę, ale nie na samej skończy się gramatyce.“ Autor gani dotychczasowe podręczniki szkolne, a nowym, mającym powstać, stawia za wzór d'Arnaud'a, Restaut'a i Mars'a. Razem z nauką składu słów zalecona jest nauka składu liczb (arytmetyka) i składu różnej rozłożystości (geometrya) i na nie szczególnie położony nacisk, przyczem nie została pominięta arytmetyka uniwersalna przez schemy, alias algebra. Jak arytmetykę i geometryę, tak i moralną naukę rozdziela Potocki na trzy klasy, obejmując tą nazwą prawo moralne, ekonomikę, politykę i generalną moralną naukę. Dni rekreacyjne szczególnie poświęcone będą historii i geografii. Druga klasa szkół wojewódzkich z nowych przedmiotów zawierać będzie logikę, retorykę i poezję. Te dwie ostatnie nauki ściśle są ze sobą związane i „poezyi ucząc się, uczyć się będą uczniowie wymowy.“ Nie radzi natomiast używać znanych poetyk Arystotelesa, Horacego, Vidy i Boileau'a, bo niebezpieczne to źródła w rękach nauczycieli miernych. Wierszy w łacińskim języku pisać uczniowie nie będą, w polskim bardzo rzadko i to dobrowolnie. Elementarna książka poezyi zapozna ich nie tylko z różnymi gatunkami poezyi, ale z najlepszymi poetami i piękniejszymi w każdym gatunku kawałkami i zwyczajami w liczbie rymów, sylab, t. j. mechaniką wierszopistwa. Trzecia klasa zajmie się chemią, mechaniką i potrzebniejszymi wiadomościami z fizyki ogólnej, przyczem uwzględnione będą najnowsze podręczniki, jak świeżo wydany kurs chemii profesora uniwersytetu parys-

kiego Béguin'a. Wogóle nacisk, położony na książki elementarne, świadczy o tej zapobiegliwości, jaka cechowała Potockiego na stanowisku prezesa Towarzystwa dla ich wydawania. Swoją drogą niezwykła erudycja na polu pedagogiki skłania do przypuszczenia, że czerpał on informacje bądź od *spiritus movens* prac organizacyjnych Komisji, Piramowicza, bądź może od innego współpracownika, Kopczyńskiego. Rdzeń jednak projektu był oryginalnym pomysłem młodzieńczym, dlatego nie brak w nim pewnych dziwactw, które rażą dzisiejszego czytelnika. W dalszym ciągu projektu przechodzi autor do reformy szkół głównych. Proponuje podział katedr na stany, to jest gospodarski, rzemieślniczy, żołnierski, duchowny, kupiecki, sądowy, gabinetowy (urzędniczy), naukę lekarską i ustanowienie przy każdej szkole głównej seminarium profesorów, do którego przechodziliby ci, którzy „przy niedostatku majątku, talentem i aplikacją w szkołach wojewódzkich zaszczytli się.“ „Przy instrukcyi albo późno, albo źle, albo wcale przedsięwziętej, miewają ludzie skazy i występki, którym zapobiedz przynależy.“ Za główną dźwignię uważaną jest wiara, ale „cała rzecz nie powinna przykrzyć długością i częstością obrządków. Wystarczy, gdy młodzież mszy codziennie słuchać będzie, raz w miesiąc, w dzień od siebie obrany, przystępować do sakramentów, kazań słuchać, byle nie owych wrzasków na ambonie, na świat, na ciało, na dyabła.“ Zabawy mają przypominać nauki i nawzajem; rekreacye mają być obrócone na rolnicze i żołnierskie prace i roboty, związane z nauką gospodarstwa, ogrodnictwa, geometryi. Dlatego potrzeba przy każdej szkole jednego żołnierza na ćwiczenia w mustrze i w razie wypadków podczas zabawy: cyrulika. Pozatem nasuną się tysiączne okazy do znoszenia zimna, pracy, bólu i niewygód. Nauczyciele powinni także wyszukać dla uczniów okazy do wykonywania cnót, np. dobroczynności, a nie psuć charakteru zbyt niemię pobudzaniem emulacyi. Profesorom, którzy się narazie głównie z ex-jezuitów rekrutować będą, przyznana będzie równa wszystkim pensya i ranga. Hierarchię szkolną składać mają rektor, prefekt i profesorowie. Nagrody mają, o ile możności, polepszać dalszy los uczniów, zwłaszcza ubogich. Odejmnować rekreacyj, zabaw, za karę nikomu nie będzie wolno. „Czas ten w próżnowaniu strawiony, staje się szkodliwym, obrócony na nauki: profesorów, szkoły, oświecenie sano, sprawia obmierzłe.“ Dozór wymaga raportów i lustracyj. Charakterystycznym jest, że uczniowie będą mieli prawo wręczać lustratorowi memoryały z zażaleniami. Nie zapomina memoryał o nauce rzemiosł, ani o edukacyi płci niewieściej; autor streszczonego

projektu wezwał pod koniec swego urzędowania w Komisji najznakomitsze panie polskie, aby, jak się to działo w Hiszpanii, zechciały się podjąć dozoru córek obywatelskich. Wolno przypuszczać, że projekt ten posłużył między innymi do ułożenia ustaw Komisji, ogłoszonych w r. 1783, a wypracowanych w październiku i listopadzie poprzedniego roku pod przewodnictwem projektodawcy.

Przygotowawcza praca Potockiego przy organizacyi Komisji Edukacyjnej, pominawszy mniej dojrzałe pomysły, które jednak nie weszły w życie, oparła się zatem na europejskich podstawach i świątłych, praktycznych zasadach, to samo da się powiedzieć o trudach i zabiegach na ściślejszem polu działania, jakie sobie zakresił w otwartem za jego sprawą (7 marca 1775 r.). Towarzystwie do ksiąg elementarnych. W skład jego wchodzili obok przewodniczącego: Kołłątaj, Kopczyński, Hołowczyc, Bogucicki, Piramowicz, Albertrandy, Wybicki, Poczobut, Piatoli, Łojko, Zabłocki i w. in. Na podstawie cennych, dorocznych sprawozdań publicznych Piramowicza, możemy nabrać pojęcia o pracach tego zgromadzenia w owocodajnym okresie, sięgającym Sejmu Czteroletniego, w przeciągu lat dwunastu wytrwałego przewodnictwa Potockiego, póki inne zajęcia nie przeszkodziły mu być duszą Towarzystwa. I tak zaraz pierwszego roku swego istnienia odznacza Towarzystwo ułożony przez generała-majora Rieul'a projekt botaniki, stosowanej do ogrodniczej i rolniczej nauki, projekt matematyki pióra genewczyka Lhuillier'a i elementarnej fizyki i mechaniki Hube'go, sekretarza król. miasta Torunia, później dyrektora nauk w korpusie kadetów. Odrazu więc znaleźli się ludzie, których Komisya zszeregowała do pracy pedagogicznej, częścią cudzoziemcy, częścią indygeni, natchnieni jednym duchem i jednym planem przez wytrawnych kierowników—Polaków: Potockiego, Andrzeja Zamoyskiego, Piramowicza. Potocki zwrócił się najpierw do Mably'ego, a potem do brata jego Condillac'a, z prośbą o napisanie logiki elementarnej dla szkół polskich, którą miał przetłómaczyć, a sam podał (1779) instrukcyę do napisania historyi powszechnej. Gramatykę łacińsko-polską oraz naukę czytania i pisania dla szkół parafialnych ułożył ks. Kopczyński, Pijar; dykcyonarz starożytności (t. zw. dziś realiów) oraz naukę obyczajową dla szkół parafialnych — ks. Piramowicz; słownik łacińsko-polski ks. Koźmiński, ex-jezuity; moralną naukę—ks. Antoni Popławski, Pijar; historycę powszechną — ks. Kajetan Skrzetuski; botanicę, według planu d-ra Pawła Czempińskiego, jak również zoo- i mineralogię—ks. Krzysztof Kluk; logarytmy—ks. Zabo-

rowski, Pijar; Czempiński opracowywał higienę. Ogromna przewaga autorów duchownych w łonie Towarzystwa do ksiąg elementarnych bynajmniej nie jest faktem obojętnym. Jak w średnich wiekach, ster edukacji *de nomine* znajduje się w rękach biskupów (Massalski, Poniatowski), a „głównymi przedstawicielami oświaty, napływającej z Francji, byli podówczas przeważnie księża (Konarski, Bohomolec, Naruszewicz, Krasiecki, Albertrandi, Staszyc, Kołłątaj), którzy już wskutek swego stanowiska nie mogli być zbyt skrajnymi i radykalnymi propagatorami nowych wyobrażeń.“ Prezesowi Towarzystwa, Potockiemu, który był pośrednikiem między nowoczesnymi prądami, a starszszlacheckiem społeczeństwem, dogadzała z pewnością suknia duchowna jego pomocników, która była poniekąd panczerem przeciw pociskom zaciefrzewionych Sarnatów.

Potocki, bawiąc w stolicy, gromadził Towarzystwo w swoim mieszkaniu, a kiedy wyjeżdżał do siebie w Lubelskie, nie tracił kontaktu ze sprawami oświaty, pełniąc funkcje wizytatora szkół lubelskich i wogóle całego wydziału małopolskiego. I na tem stanowisku złożył dowody zapobiegliwości, choćby w doborze profesorów. Nauczali pod jego zwierzchnictwem między innymi: późniejsze *lumina* wszechnicy krakowskiej—jej biograf Sołtykiewicz, świątły Józef Czech, tęgi przyrodnik Scheidt, profesor historii polskiej Januszowicz, z innych Chrościelski, który zastanawiał się nad stosowaniem do nauki lekarskiej elektryczności, literaci Girtler i Przybylski i t. p. Prawda, że wizytatorowi dopomagała okoliczność, że Lublin, jako miasto trybunalskie, mógł niemal Warszawie i Krakowowi dorównywać. Pozatem cieszyło się jeszcze opieką Potockiego Towarzystwo fizyczne, założone w r. 1777 przez Dubois'a, profesora szkoły kadetów.

System dydaktyczno-pedagogiczny Komisji nie jest jeszcze tak dokładnie zbadany, byśmy mogli czerpać z niego uogólnienia i wnosić stąd o tendencji kierujących ludzi; w każdym razie o Potockim możemy powiedzieć tyle, że łączył idee postępu i oświecenia z daleko idącą wyrozumiałością na silny opór i nieufność, jakie się zrodziły względem nowych urządzeń w starszszlacheckiem społeczeństwie, a których wyrazem są choćby listy jego ciotki, Kossakowskiej. I tak, kiedy wspomniany profesor szkoły kadetów, Dubois, wystąpił w dziele p. t.: „*Essai sur l'histoire littéraire de la Pologne*“ z obroną tolerancji religijnej i zbyt niechętnym poglądem na literaturę narodu, który nie zaznał reformacji (wyjąwszy epoki Kazimierza Wielkiego, Zygmunta Augusta i Stanisława Augusta), zwrócił się Potocki (w grudniu 1778 r.)

przeciw niemu w broszurze, zatytułowanej: „Exemplum litterarum Georgii Veridicini ad clar virum. Gregorium Veramantium occasione vulgati nuper gallice libri, qui specimen historiae polonae inscribitur,“ w której złożył dowody znacznej erudycji, wspomaganej materiałem, zawartym w podległej sobie bibliotece, i zapewne pomocą jej personelu. Następnego roku musiał odpowiadać na list, wystosowany do siebie pod imieniem Niesieckiego, tyczący się zamysłu ksiąg elementarnych „dla zapobieżenia mogących wyniknąć opacznych opinij u swoich i zagranicznych.“ „Niesieckim“ tym był Andrzej Alojzy Koźmian, sędzia ziemski lubelski, ojciec Kajetana. W liście, datowanym 12 grudnia z Lublina, zwracał się Koźmian do Potockiego, jako marszałka Rady Nieustającej i komisarza edukacyjnego, wizytatora szkół lubelskich a sąsiada—imieniem swoim i innych lubelszczyków. Atakował, jako prawy wychowaniec Alwara, przedewszystkiem nową gramatykę Kopczyńskiego i jej niezbędne nowotwory, a z upadku ulubionej gramatyki wnioskował niemal że przyszły upadek kraju. Potocki odpowiedział, co następuje: „Pozwól najprzód, abym W. Pana w poufałości zapytał się, czyś dał sobie pracę czytać gramatykę, o której mowa? możnaż jej zadawać nowość wyrazów? niemal wszystkie albo w Knapskim, albo w dawnych gramatykach polskich i słowiańskich znajdują się. Dzieła te ukryły nasze jezuickie i pijarskie gramatyki... Kiedy Pijarowie porzucili Alwar lat temu 40, Jezuici rozgłosili po kraju zgubę łaciny i ojczyzny. Dzisiaj, kiedy Komisya doskonalszą nad dawną wydaje gramatykę, ex-jezuici i Pijarowie toż samo wspólnie roznoszą. Wszystko to dowodzi ducha niesprawiedliwego partyi w rzeczach nawet szkolnych. Jeden jest tylko doskonały sposób uczenia, a ten, gdy w nauce przechodzimy od rzeczy wiadomych do niewiadomych... Uczyć dzieci niewiadomego języka nieznanym językiem, jest to błąd straszny, który nowa gramatyka poprawi. Jednocześnie naukę łacińskiego języka z ojczystym, naśladujemy Cicerona uczenia się sposobu, który nigdy nauki greckiego nie odłączał od łacińskiego. W Rzymie uczono się rzymskiej mowy... Gdybyś W-ny Pan miał czas czytać gramatyków łacińskich: Sactiusa, Sciopiusa i późniejszych w obcych językach, przekonałbyś się o wadach Alwara i pijarskiej gramatyki, a zapewniłbyś się o dobroci tej, którą zdajesz się naganiać. Ani rozumieć trzeba, iż starodawni Polacy, nauką i pisaniem łaciny wstawieni, uczniami byli Alwara i szkół starodawnych; wszyscy, uciekając prawie od nich, nauki swoje we włoskich odnowili akademiach... Co przodkowie nasi myśleli o szkolnym sposobie uczenia w kraju naszym, dojdiesz W. Pan

czytaniem o szkołach dzieł Modrzewskiego, Marcina z Pilzna, a w niedostatku onych—satyr Opalińskiego, z podziwieniem dowiesz się W. Pan, że Komisyja starodawne myśli przodków naszych przyprowadza do skutku. Opinia przeciwna gramatyce ze strony profesorów i dyrektorów, dowodzi dobroci gramatyki. Bo cóż jest w Polsce (małą liczbę wyjąwszy) mniej uczonego nad profesorów i dyrektorów? O poprawie i obmyśleniu nauczycieli należy być gorliwym obywatelowi troskliwemu, a tę troskliwość uprzedzi Komisyja i, jak inne zawady, zwycięży. W ogólności, co się tyczy Komisyji, gdybym w niej nie zasiadał, w sądzie o jej czynach Quintiliana trzymałbym się przepisu: *Modeste tamen et circumspecto iudicio de tantis viris pronuntiandum est, ne (quod plerisque accidit), damnent, quae non intelligunt.*“¹⁾ Z zestawienia tych dwóch listów osądzić można, po czyjej stronie była słuszność, już choćby sam język i styl Koźmiana, polszczyzna istotnie nie „z wytwornemi słowy,“ wydaje nań wyrok potępiający. W odpowiedzi zadziwia nas już po raz drugi erudycja gramatyczno-literacka pisarza litewskiego, która daje nam do myślenia, że sekundował mu znowu autor napastowanej gramatyki, oddany Kopeczyński. Spór głośnem echem musiał się odbić w kraju i nowe budził niesnaski, skoro w kilka lat później (13 kwietnia 1783 r.) pisze ziemianin z prowincyi do przyjaciela w Warszawie, krytykując Komisyję, między innemi: „A cóż dopiero mówić o dysputach, świeżo wszczętych między literatami, około słów dziwotwornych, nowych, których naród nie rozumie i autorowie samych siebie nie ze wszystkim rozumieją?... Gorszą mnie te latające po prowincyach listy, pełne dysput nad procedencyą słów.“

W każdym razie Potocki liczył się z opinią żywiołów zachowawczych w rodzaju sędziego Koźmiana, świadczy o tem następująca anegdota z Pamiętników syna sędziego, Kajetana: „Ignacy Potocki miał zmartwienie być zmuszonym jednemu z profesorów gorzkie uczynić wyrzuty. Jacek Przybyłski, profesor historii, a razem literat, wytlómaczył na język polski Kandyda Woltera, wydrukował i przypisał mu, ta nieroztropność jednej chwili mogła na długo popsuć najszcześniejsze początki zyskanej opinii. Gdy to dziełko oddawał Ignacemu Potockiemu, ten przeląkł się

¹⁾ Należy jednak wyrażać się o tak wielkich mężach skromnie i sądzić ich rozważnie, aby się nie potępiało, jak się to często zdarza, tego, czego się nie rozumie.

niespodziewanego prezentu, a godząc wielkim swoim rozumem delikatność dla uczonego, lecz mniej uważnego profesora, z bacznością na skutki, obdarzył tłumacza pierścieniem pod warunkiem, że mu wszystkie egzemplarze, które szczęśliwie jeszcze na świat nie wybiegły, odda.“

Niepośledniego wreszcie taktu trzeba było na rozjemcę w ciężkim zatargu Kołłątaja z biskupem i kapitułą krakowską w latach 1780—82. Nie moją tu rzeczą wchodzić w przyczyny i przebieg tego zatargu, ale podnieść wypada, że rozjemca umiał znaleźć drogę wyjścia, bo choć powinowaty i spółcześnie gorliwy rzecznik biskupa Sołtyka, wziął sobie do serca sprawę kołłątajowskiej reformy uniwersytetu i „wnosił, żeby to było jedno, co zepsuć dzieło, komu innemu dokończenie onego powierzać.“ To też po wielu latach, mimo późniejszych nieporozumień, wdzięcznie go jeszcze wspominał Kołłątaj, a mianowicie powstałe z tej okazji poema pióra pisarza na wzór Dunciad Palissot'a i Pope'a.

I nawet w wieku panegiryków mało kto tak młodo nazwany został „wspaniałym nauk ołtarzem, duszą uniejętności wielką, lecz nie dumną, i trwalszą od doryckiej narodu kolumną.“

DR. KAZIMIERZ MARYAN MORAWSKI.

KRYTYKA LITERACKA

W CZASACH ROMANTYZMU

(1818—1830).

I.

Pseudoklasycyzm i romantyzm. Krytyka romantyzmu.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że krytyka literacka za romantyzmu była zrazu wojującą, nim, pokonawszy ostatecznie słabego przeciwnika, zapragnęła stworzyć własną teorię, dać coś w rodzaju estetyki, odrębnej przecież biegunowo od dawniej. Tak jest gdzieś indziej, tak było i u nas, gdzie fale polemiki zachodniej odbijały się od czasu do czasu, by obalać stopniowo zasady, wyznawane ze ślełą wiarą przez przedstawicieli smaku w Warszawie i w Wilnie. Ta polemika wzbierała tedy z wolna, miała bowiem przeciw sobie tradycje dwóch literackich pokoleń, które dla literatury uczyniły zbyt wiele, by mogły pójść w zapomnienie bez żalu i walki. Owe tradycje miały zaś swą podstawę w ogólnych zasadach poznania, które należało obalić z niemi razem, by wznieść nową estetykę, opartą na nowej filozofii.

Podobny przełom nie mógł być więc sprawą lat kilku; on przeciągał się tem dłużej, im zadanie było trudniejszym do spełnienia. Przemiana jest zrazu jakby powierzchowną, potem sięga głębiej, by w dniach powstania osiągnąć szczyt napięcia najwyższy. Zrazu wydaje się wszystko spokojnem, pewne oznaki zmiany smaku, jak wystąpienie Wężyka z pochwałą Szekspira, przechodzą bez wrażenia. Ogół pisarzy zachowuje równowagę, cieszy się ustalonym porządkiem, dogmatyzuje z powagą i pewnością, która

jest kultem starożytności bez jej zrozumienia, bałwochwalstwem dla reguł poetyckich bez odczucia poezji. Starożytność tworzą sobie pseudoklasycy na podobieństwo literatury współczesnej; pojęcie sztuki mają raczej mechaniczne; sądzą każde zjawisko ze stanowiska mechaniki formalnej. Zagadnienie formy góruje w krytyce, z poezji czyni się rzecz sztuczną a nie podkreśla się jej wewnętrznej natury, lekceważy się jej samorodny czar, jej naiwność i prostotę wieków. Jak w towarzystwie, wychowanem na konwencyach codziennego życia, tak i w literaturze szuka się doskonałej konwencji, wytwornej miary, rezerwy i trzeźwości tonu, który poleca kodeks towarzyski. Salon jest niewątpliwie szkołą literatury od pół wieku co najmniej, jak niegdyś dwór za humanizmu.

Salon przytłumia sarmacką energię i pomysłowość rodzimego dowcipu, który niegdyś krzewił się bujnie za czasów Reja lub Potockiego; salon niweczy niedyskretne zwierzenia, myśli, silniejsze poruszenia serca takiego Karpińskiego, który jest najulubieńszym, jak stwierdzała do niedawna żywa jeszcze tradycja ludzi starszych, przed romantykami. Osoby, dekoracye, styl były poza naturą, poza prawdą, poza rzeczywistością, co odczuwać się daje jeszcze u Mickiewicza wcale nawet wyraźnie. Jak w literaturze, tak i w krytyce konwencya jest wszystkim. Jedcn smak panuje w społeczeństwie; krytyka jest raczej czynnością mechaniczną, która bada dzieło bez związku z twórcą, nie zwraca uwagi na czas i okoliczności, zadowalnia się oderwaniem, jako metodą, a idealizowaniem, jako zasadą. Filozofia i krytyka idą razem w jednym kierunku, unikają pojęć bardziej złożonych, mają coś geometrycznego w swych uogólnieniach, coś matematycznego w swem oderwaniu od życia i faktów. W atmosferze racjonalizmu literatura musi być też igraszką umysłową, którą regulują konwencye. System Condillaca stwarza podłoże pseudoklasycznego dogmatyzmu.

Nim zaś uniwersytety wprowadzą w organizm narodowy żywioły bardziej demokratyczne, w salonie króluje Osiński i z La Harpe'm śpieszy na katedrę. Filozofia i krytyka są w posiadaniu dogmatu niby wyższego nad wszelkie wątpienia; spokój powiewa nad społeczeństwem, które w swych dążeniach politycznych zdaje się być wstrzymane na chwilę, a przez swego największego dramaturga, Felińskiego, prosi o zachowanie anioła pokoju po tyloletnich bojach, którym jest król i cesarz Aleksander. Zdaje się, jakoby język nie miał już nic do zyskania, jakoby osiągnął stopień doskonałości, na którą składa się wytworność, miara, szlachetność niby bardzo uroczysta a w istocie mdła i jednostajna

ogromnie. To jest język racjonalistów, których czynności myśli są jakby algebra, słowa znakami oderwanymi. To jest język ideologów, który u Śniadeckiego imponuje czystością, ale traci stopniowo wszelką barwność, wszelką potoczystość i swobodę, tak świetną niegdyś i zależną od indywiduum. A tymczasem nawet z Francyi, której umysłowość jest wtedy naszą, nadpływają prądy inne. Nie chodzi tu już o rząd i wiarę, jak dotąd bywało, chodzi o nowy nastrój w społeczeństwie, o nowe idee w literaturze, wiodącej naszą na pasku.

Więc stan moralny naszego społeczeństwa poczyna podlegać zmianie. Jego spokój mąci się, zamienia w rozdrażnienie nie tylko pod wpływem prądów literackich. Na Litwie liberalizm ściiera się z obskurantyzmem, mistycyzm występuje również w szranki przeciw liberalizmowi, który w Warszawie ma w Potockim najotwartszego szermierza. Wnet i w sferze krytyki zawrze od sporów, gdy na razie Potocki wywołuje salwy śmiechu obrazami ciemnogrodzkiego świata, który pogardził filozofią, odrzucił moralność a „dla docieczenia rzeczy, których dociec jest niepodobna, zamieczywał łatwiejsze do wyświecenia, a w rzeczy użyteczniejsze.“¹⁾ Nauki przyrodzone—mówił Potocki o obskurantach—odsunęło ciemnogrodzkie społeczeństwo ze wstrętem, tonęło w marazmie ogólnym, którego broniło środkami inkwizycyjnymi. Tu dowód, że w spokojnem na pozór społeczeństwie odbywały się starcia podobne do dawniejszych, gdy równocześnie zaogniała się z roku na rok opozycja przeciw rządowi, który wprowadzał najrozmaitsze ograniczenia konstytucyi liberalnej. Środki ciemnogrodzkie uzyskały w rzeczywistości pełne uznanie rządu, co wywołało robotę podziemną młodych, mniej oględnych od starszego pokolenia i zmuszonych kryć się z tem, co myśleli i czuli.

Na pozór wszystko jednak okazywało równowagę, choć stan moralny społeczeństwa uległ głębokiej odmianie, a w romansie nastąpił też przełom, którego wtedy nie zauważono nawet. Zwracał się ten romans nie tylko do przeszłości, jak to czyniono za Niemcewiczem, ale zagłębiał w duszę ówczesnych ludzi. Czy samotnie snująca się w blaskach księżyca Malwina, która marzy tkliwie o rzeczach mogących zatrzeć pamięć osobistego nieszczęścia²⁾, nie

¹⁾ *Podróż do Ciemnogrodu* przez autora Świstka krytycznego, w czterech częściach. Część III. Warszawa, 1820. Str. 19—20.

²⁾ *Malwina*, czyli domysłność serca. Edycya trzecia poprawna. T. I, w Warszawie, 1822. Str. 23.

była już zapowiedzią nowego zwrotu? Ale i bohaterki Karpińskiego lub Bernatowicza stanowiły dowód, że przeciwstawiono zinnym rozbiorom Krasickiego intuicyę uczucia, odkryto w sercu i w wyobraźni nowe źródło poezyi.¹⁾ Filozofia pesymizmu Wertera mało godziła się z sentymentalnością, wpływ Rousseau przeważał niewątpliwie nad oddziaływaniem mało znanego u nas Goethego.²⁾ Nim mickiewiczowski Gustaw użyje dyalektyki pesymisty Wertera,³⁾ wejście w siebie stanowi już hasło rozsądzające przedmiotowość klasyczną, a wprowadzające indywidualizm, który zapanuje w literaturze za romantyzmu. Ten indywidualizm zerwie z filozofią, która opierała się wyłącznie na rozumie; ten indywidualizm odrzuci rezerwę i powściągliwość, zalecaną dotąd bezwarunkowo. Historia duszy, to główny pierwiastek rousseauizmu, pozwalającego nawet na wyśmiewany przez liberałów, typu Śniadeckiego, mistycyzm, jeżeli on pochodzi z serca.

I nowę pokolenie poczyna wchodzić w siebie, daje się oczarować, jak Malwina, swem marzeniem, nie umie w końcu wyjść poza siebie. Gdy Śniadecki powołuje się na rozum, Mickiewicz zwraca się do uczucia, argumenty uczucia czyni prawdami filozoficznymi. Uczuciem żyć poczęto wyłącznie, uczuciem dokonano przemiany literatury. Rozum zbyt wyjąłowił twórczość, nie do wierzał uczuciu, odsunął wyobraźnię. Rousseauizm zaprotestował tedy przeciw rozumowi, stworzył filozofię serca, gdy starszy Dmochowski radził czerpać tylko z rozumu.⁴⁾ Prawda nie ma być pojętą, ale odczuta, sądził Gustaw za Rousseau, który zwraca go do życia duszy, godniejszego badań nad wszystko inne. Uczuciowość staje się więc zasadą twórczości, natchnieniem poezyi, czerpiącej nie z gotowych formuł, ale z wrażeń bezpośrednich i ze wzruszeń doznanych. Ta uczuciowość dobywa też z dusz religijność, która tkwiła na ich dnie a wydobyła się pod formą mistycyzmu, wierzącego w duchy Gustawa. Zimna i oschła ironia niedowiarstwa Potockiego, filozofizm, unikający przecież ostateczności, Śniadeckiego, ustąpiły miejsca spirytualizmowi, który wyjawiał się

¹⁾ D-r Konstanty Wojciechowski: *Werter w Polsce*. Lwów, 1904. Str. 43, 52.

²⁾ Tamże, str. 62.

³⁾ Tamże, str. 110.

⁴⁾ *Sztuka rymotwórcza*. Poema w czterech pieśniach. W Warszawie, 1788, str. 5:

Wiele jest dróg do błędu, lecz jedna prowadzi
Do prawdziwych piękności. Tą rozum iść radzi.

otwarcie ze swą tęsknotą za światem nadzmysłowym i który odsunął rozum filozofa wieku Encyklopedyi. Przewaga uczuciowości nie dawała się długo określić programowi. Wszystko było wyrwane z równowagi, wszystko wahało się między ostatecznościami, jakby zawieszono między entuzjazmem Mickiewicza a zwątpieniem młodego Słowackiego. Ale poezya, która wyrosła z uczuciowości, oddziała czarująco i zaraźliwie na pokolenie, dotknięte racjonalizmem jedynie powierzchownie, obudzi w niem moce ukryte, które rozpłonęły w pożar.

Poczęto marzyć, jak nigdy za czasów pseudoklasycyzmu; w marzeniu na tle czarującej przyrody szukano wątku poezyi. Czy nie postępuje tak choćby Gustaw, gdy na łąkach zamiast w las spogląda w obłoki i w samotnej kniei widzi w jasnej mgle promień oczu i uśmiech oblicza kochanki? Do marzeń skłaniają rousseauistów samotność, cisza, przyroda, z oczyma zwróconymi ku niebu żyją życiem, którego nie znali ich poprzednicy. W porównaniu z pseudoklasykami, którzy odsuwali wszelki spirytualizm i posługiwali się sarkazmem, gdy chodziło o objawy uczuciowości, dla życia wewnętrznego i przyrody uczucia nie mieli zupełnie, romantycy byli apostołami odmiany filozoficznej i moralnej przewrotu w zakresie estetyki, nie dość zrazu określonego, ale wyraźnego. Deizm nie wystarczał teraz, choć i zwrotu do katolicyzmu, jak gdzieindziej, nie było w istocie. Był zwrot do wiary, którą pojmowano raczej filozoficznie, do dania w życiu moralnem przewagi uczuciu, którego nie znają ludzie bez serc i bez ducha, tropiący zwierzynę w lesie a nie marzenia, rozbierający wszystko sceptycznie, a nie wierzący niczemu poza rzeczywistością zmysłową. I oto zaczyna się zwrot, którego nie zapowiada zrazu nic, choć poglądy pani de Staël znane są u nas od początku wieku, a to, co dzieje się nad Sekwaną, obwieszczają czasopisma już w kilka tygodni po wypadku.

Słusznie zaś zauważono, że wiek filozofów zostawił następnemu rodzaj wiary w postęp, która przeszła też do programu romantyków.¹⁾ Byli oni poniekąd dziećmi tego wieku, choć wyrzekali się go niejednokrotnie. Uczuciowość, to też spadek odziedziczony po przodkach w rodzaju Karpińskiego, spadek ogarniający też dziedzinę wiary, która jest dość nieokreślona i daleką od fanatyzmu, spadek, ogarniający też dziedzinę patryotyzmu, którego

¹⁾ *Le mouvement littéraire au XIX siècle* par Georges Pellissier. Paris, 1900, str. 43.

nie brakło chyba lirykowi tego typu, co Książnin lub Karpiński. Uczuciowość ma dziwną intuicyę, umie wiele zrozumieć, umie stworzyć piękno wyższego rzędu i napełnić życiem to, co życia już nie miało albo z niego wiele utraciło. Było tak z wiarą, którą trudno odczuć często u pseudoklasyków, było tak z patryotyzmem, który u starszego zwłaszcza pokolenia był nieco oportunistyczny. Potrzeba było odnowienia także w dziedzinie form i języka, który u Śniadeckiego celował prostotą i czystością, ale któremu brakło ciepła, malowniczości, temperamentu. Język ideologów musiał upaść pod wpływem odmiany, którą wprowadzała w świat pojęć moralnych uczuciowość, którą wносиło w świat pojęć artystycznych zamiłowanie natury. Peryfrazy i figury, kryjące myśl, ogólniki, zacierające prawdę rzeczy, miały zgubić się bez śladu, by ustąpić miejsca wyrażeniu właściwemu, rodzinnemu, miejscowemu nawet, by zaznaczyć odrębność, różnorodność, indywidualizm grup i jednostek.

Obraz jest teraz wszystkim, jest stylem niejako, który wchodzi do języka uczonych i wchodzi na zawsze. Wielbiciel Dalembera, Śniadecki, ubolewa nad psuciem języka,¹⁾ choć zapomina, że najwięcej zubożył go wiek Stanisława Augusta. Obcy, jak jego mistrz, sztuce i poezji, mało pojednawczy i oschły w swym rozumowaniu, nie rozumiał, czym jest styl obrazowy, nie odczuwał, że celem języka romantyków jest zastąpienie słowa oderwanego wyrazem, wywołującym rzeczywistość zmysłową. W jego języku nie było obrazów, umiarkowańsi nawet od niego, jak Dmochowski młodszy, oburzali się już nie na obrazy, których wartość umieli ocenić, ale żyzniali się na krymskie namazy i chylaty. Wedle Śniadeckiego język winien być jasny, prosty, dostatni, bo inaczej wpadnie w moc literackiego jakobinizmu; język potrzebuje być zależnym od nauki, by ująć przed zamachem literackich nietoperzy. Dlatego artysta musi być też mężem nauki, rozsądek i rozważa znaczą bowiem więcej dla języka, niż wyobrażenia i uczuciowość, które zbliżają nas do stanu dzikości i sprawiają, że język dzikich ludzi jest zawsze poetyczny.²⁾ Ideałem języka był tedy dla Śniadeckiego francuski, który stanowił wzór dla polskiego od półwieku conajmniej, który teraz, o czym nie wiedział zacietrzewiony pseudoklasyk, ulegał również odmianie gruntownej. Inaczej mówiła pani de Staël, która rozumiała, że z przeobrażeniem się

1) *Pisma rozmaite Jana Śniadeckiego*. T. III. Wilno, 1818, str. 19—20.

2) Tamże, str. 41.

społeczeństwa nadchodzi i zmiana w literaturze. Stare formy muszą upadać, uczucie, entuzjazm, nowy ideał piękna biorą górę nad dotychczasowym kierunkiem. Za odnianą wewnętrzną musi pójść zaś odmiana języka.

Duch północny, jak nazwano wpływ literatury niemieckiej, przenikał do literatury nie tylko pod wrażeniem dytyrambów na jej cześć pani de Staël, ale i pod bezpośrednim działaniem szkoły. Nie jest ona bez znaczenia, skoro jej uczniem jest zwolennik Schillera, Andrzej Brodziński, skoro rektor poznańskiego liceum, Kaulfuss, radzi wcześniej od innych studium literatury francuskiej dla jej treści i formy, myśli i piękna, moralności i demokratyzmu. W ten sposób dojdzie się do zeuropeizowania narodów, na co jednak odpowiedziano ze strony pseudoklasyków w tonie, dowodzącym zupełnej nieznamomości tego, co działo się o miedzę od nas.¹⁾ Znaczyła ta odpowiedź zarazem, że wpływ pani de Staël, mimo jej znajomości u nas, ograniczał się do minimum, że jej filozofia literacka nie przeszła w mózgi, nie zastąpiła wartości dawnych. Zbyt była wogóle rewolucyjną, by mogła być przyjętą odrazu, zbyt podkopywała geometryczny ideał sztuki, by zgodzono się na nią bez zastrzeżeń i ograniczeń.

Na negacyę odpowiadała bowiem negacyą, chciała natury, indywiduów, rozluźnienia więzów, zamiast przepisów, marynetek heroiczych, dogmatyzmu estetycznego. Chciała, by osądzano dzieła wedle wrażenia, gardziła tem, co poprawne i regularne, nad które przekładała genialność, choćby rozwichrzoną i nieporządną. Uczuciowość wstępowała w niej na miejsce logiki, naiwność na miejsce sztuki, świadomej konwencji i efektów. Znikała mechanika, wschodziła filozofia, której pierwszym dogmatem było pożądanie czegoś, co jest istotnym instynktem natury ludzkiej, niezaspokojonym i nienasyconym.²⁾ Romans metafizyczny, jak nazywał Śniadecki podobne dociekania, wydawał mu się obrazą rozumu, który nie pojmuje niczego bez pośrednictwa zmysłów. On potępiał właśnie szukanie tego, co „jest pojęciu naszemu od przyrodzenia zakazane i co musi być dla niego wieczną tajemnicą.“³⁾ A romantycy widzieli właśnie cały czar sztuki w pożądaniu tego, co jest poza rzeczywistością zmysłową, pragnęli tego, co stało się

¹⁾ *Historja literatury polskiej* Piotra Chmielowskiego. T. III. Warszawa, 1899. Str. 102—105.

²⁾ *Le mouvement littéraire au XIX siècle*, str. 47—48.

³⁾ *Pisma rozmaite Jana Śniadeckiego*, T. IV, str. 43.

potem pożądaniem ogólnem. W ten sposób wchodziła do nas nie tylko nowa krytyka, ale i filozofia, która stała się podstawą tamtej. W ten sposób dokonana się też przemiana krytyki pseudo-klasycznej w romantyczną.

Jej pierwszym momentem jest podniesienie wartości samodzielnego natchnienia osobistego i narodowego przez Brodzińskiego, które odsuwało wszelką formalistykę i konwencję, gdy drugi, opierający się na pierwszym, stanowi nie już potępienie dogmatyzmu estetycznego, ale ogłoszenie wolności w sztuce, którą krytyk wyjaśnia tylko i określa wedle cech w niej zawartych. Trzecim będą poglądy nie tyle Mickiewicza, który idzie torem utartym, ile Grabowskiego i Tyszyńskiego. Ci ostatni boją się skutków literackiej anarchii i chcieliby z dawnych konwencji uratować choćby jedność utworów i jakąś nader liberalną estetykę. Nie lubią zaniedbania formy i żądają, jak Tyszyński, od krytyka rozległej wiedzy i doświadczenia życiowego. Było to już przejście do formuł okresu następnego. Mimo mnogości krytyków, którzy program romantyczny kształtowali, nie da się zaprzeczyć, że był on w głównych liniach już w tym, który go u nas pierwszy określił, że to, co stało się później komunalem, on wyraził zrazu najgłębiej i najjaśniej. I dlatego był Brodziński Wergiliuszem, prowadzącym naszą literaturę wśród zamętu pojęć do romantycznego raj; dlatego w chwili najwyższego napięcia prądu wyrzekł o nim Mochnacki, że on pierwszy zaczął „mądrze, głęboko rozmyślać o poezji i ujrzeliśmy pierwszego krytyka, pierwszego estetyka w Polsce.“¹⁾

II.

Poglądy Brodzińskiego. Stanowisko Wilna.

Brunetièrre zauważył, że pierwszy Rousseau kazał zwątpić o swej nieomyślności. Podniesienie wartości pierwiastku osobistego w literaturze podziało i na krytykę, która odsunęła wzór, proceder, reguły sztuki. Przestano wierzyć w bezwzględność zasad tworzenia, głoszono z całą otwartością i naiwnością, że rozum nie stworzył nic znakomitego, gdy za Stanisława Augusta

¹⁾ *O literaturze polskiej w wieku XIX.* Poznań, 1863, str. 114.

wierzono w niego niezachwianie. Pierwiastek osobisty stał się miarą wszystkiego, względność zapanowała w dziedzinie, gdzie dotąd górował dogmat. Poglądy pani de Staël przenikały z wolna do umysłów, dla których La Harpe przestawał być końcem mądrości. Od początku wieku czasopisma zamieszczają ustępy z jej książki, której naczelną myślą było, że postęp myśli idzie równo z postępem sztuki. Ona szuka tego, co jest odrębnem, wewnętrznem, oryginalnem w literaturach, co nie zmieściłoby się w ramach pseudoklasycznej estetyki, co różni się smakiem od uznanego ogólnie, a wynika z różnic obyczajów, praw, religii.¹⁾ Powstawała stąd trudność dla dogmatyków, wynikał stąd wniosek, że sąd nie może być wynikiem prawideł ustalonych, ale czegoś, co jest poza niemi.

A do jej wpływu mieszał się inny, który rozszerzał również pojęcia i zadania krytyki. Pragnął on usunąć sprzeczność między mytem pogańskim, który panował, zwłaszcza w poezyi, a wewnętrznem wierzeniem poety, pragnął rozszerzyć zakres widzenia poza granice nowożytnej kultury, która dzieliła nas od średniowiecza, zwrócił uwagę na życie i barwy otaczającego nas świata, który wszędzie przedstawia się inaczej. Głosił te idee Chateaubriand, a jeżeli poszła za nim sztuka, poszła i krytyka, by wniknąć raczej w piękno, a nie w wady utworu.²⁾ Odnowienie krytyki dokonywało się na podstawie odnowienia uczucia religijnego, którego dokonywał właśnie znany u nas już w pierwszym dziesiątku wieku Chateaubriand.³⁾ Myśl polska wstępuje na nowe tory, odrodzenie religijne czyni także wyłom w szaniach dawnej estetyki. Zrazu dokonywa się to nieśmiało, fale reakcyi katolickiej wynosi jednak na jaw protest ks. Trzczińskiego przeciw filozofii, którą jest dla światłego człowieka tylko religia,⁴⁾ potem pożądanie religijnego pierwiastku w poezyi, która z chrześcijaństwa wyrosła,⁵⁾ wreszcie pragnienie wprowadzenia chrześcijańskiej maszyny cudownej do poezyi.⁶⁾ Dokonała się więc w krytyce przemiana, którą musiano odczuć u nas tem bardziej, że po-

¹⁾ Brunetière: *Evolution des genres dans l'histoire de la littérature française*. Paris, 1889, str. 166.

²⁾ Tamże, str. 183 — 184.

³⁾ D-r Maryan Szyjkowski: *Génie du christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej*. Lwów, 1908, str. 93.

⁴⁾ Tamże, str. 97.

⁵⁾ Tamże, str. 195.

⁶⁾ Tamże, str. 199.

pierały ją zjawiska literackie, ¹⁾ spostrzeżone dawniej już w Anglii i Niemczech.

Od przeszłego wieku wyrobił sobie już prawo obywatelstwa Ossyan, teraz zdobywały je romanse historyczne, których rozgłos wzmagał się stopniowo. Nie chodziło tu już o twory fantazyi, które mogły rozbudzić tę samą ciekawość, co praktyki Mesmera, widzenia Swedenborga, cuda Cagliostro, urojenia Cazotte'a, ale o dzieła, w których kult przyrody, zamiłowanie tradycyj narodowych, siła uczucia religijnego stały w sprzeczności z tem, co czytało się i pisało u nas. Tego uczył Ossyan, tego uczył i Walter Scott, by podkopać ufność w dotychczasowy ideał sztuki zbyt obcej naturze, uczuciu, indywidualizmowi narodowemu. Narodowość w literaturze,—oto żądanie, mające pojawić się wnet wszędzie, by znaleźć odpowiednie uzasadnienie i określenie pod piórem najpierw krytyków, a potem twórców. Literatura zdawała się zaś właśnie tracić wszelką samorodność, skoro Koźmian wyobrażał liryzm w odach, w których widniały tylko wysiłek i deklamacya, urągająca wszelkiej prostocie i natchnieniu, skoro epika Woronicza była ciężką retoryką bez zdolności wnikania w dusze i malowania słowem, którą to słabość dzielił i Niemcewicz uczuciowy w dążności, ale dziwnie mdły i bezbarwny w wykonaniu. Piękne wiersze tragedyi Felińskiego nie mogą zakryć wad wspólnych całej literaturze pseudoklasycznej, nie stworzą z poważnych i mądrych tyrad tragicznego obrazu dziejowego, o który przedewszystkiem chodziło. Szekspira, którego począł chwalić Wężyk, odsunięto nie bez lekceważenia, choć teatry grały go w łagodzącej i banalnej przeróbce Ducisa; melodramat, który był literackim surogatem, tolerowano zaś tem chętniej, że odsuwał w cień dramaturga, który sprowadził niegdyś w Anglii upadek pseudoklasycyzmu.

Z romantyzmem łączono jednak głównie odmianę pojęć filozoficznych i uczuć religijnych, które były obce starszemu pokoleniu. Niema wątpliwości, że z ogólnem wzmożeniem się uczuciowości szukano w idealizmie, mistycyzmie, wierze, wzruszeń i nadziei, nieznanych do niedawna. Ale dokonywało się to zwolna, zwrot do spirytualizmu nastąpił może prędzej w cichej a gorącej duszy litewskiej, niż w bardziej żyjącej na zewnątrz i skorej do przeczenia polskiej. Reakcyja w duchu, ośmieszonym przez Potockiego, reakcyja tyrańska i nawskroś dogmatyczna, nie miała zaś

¹⁾ *Historja literatury polskiej*, Piotra Chmielowskiego. T. III, str. 34—35.

u nas podstawy. Przeciwnieństwa były jednak dość krańcowe, a wolnomularstwo, skupiające w swych lożach najtęższych ludzi czasu, było wyrazem liberalizmu, który zwalczał dążenia wrogie oświeceniu.¹⁾ Wyobrażał je zwłaszcza ks. Surowiecki, przeczący wogóle nauce, pomawiający literatów o skażenie dusz,²⁾ o niszczenie wiary i moralności.³⁾ Zwracał się on nawet do rządów, które pokonały Napoleona, z wezwaniem, by wzięły się do reform w duchu reakcyjnym, nazywał ideały liberalne szaleństwem,⁴⁾ a swego programu bronił zacięciem.⁵⁾ Wreszcie i mistyka, która przedzieraa się do nas wcześniej od filozofii idealistycznej, skoro mieliśmy już Grabiankę, Poszmana, Lachnickiego, Oleszkiewicza, zdawała się iść w pomoc reakcyi. Popierały ją bowiem najwyższe sfery w Rosyi i u nas, a mesmerysta warszawski, Baudouin de Courtenay, głosił wyniośle, że niweczy ona właśnie „dążność wieku, chcącego wszędzie uważać materję i poniża dumę pewnej klasy, chępiącej się nieomylną posiadać prawdę.”⁶⁾

Mesmeryzm, mówił ten sam mistyk, usposabia do filozofii, pobudza moralność. Mesmeryzm jest stanem, w którym dusza, uwolniona z więzów ciała, w ściślejszy związek z umarłymi wstępuje.⁷⁾ Mesmeryzm rozwija zmysł wewnętrzny i zwalcza materializm tem dzielniej, że reguluje go wola jednostki, że zależy on od mocy indywidualnej, która rozstrzyga o wszystkim. Uczuciowość epoki tryumfowała niejako w tym tryumfie indywidualizmu, dla którego nic nie zdawało się sprawiać trudności, który chętnie godził praktyki magnetyczne z wiarą. Nie wiara tryumfowała teraz głównie, ale religijność, ujawniająca się w szlachetnej trosce o świat inny, niedostępny zmysłom, pełen duchów i siły

1) Piotr Chmielowski: *Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi*. Warszawa, 1898, str. 20.

2) *Przypisek na książkę* pod tytułem: „Cudowny zabytek osiemnastego wieku.” B. m. 1815, str. 13.

3) *List prowincjonalnego do filozofa*. W Wilnie, 1817, str. 11.

4) *Światał warszawski wyświatany*, czyli uwagi krytyczne nad warszawskim romanssem. Podróż do Ciemnogradu. W Prawdogradzie, 1821, str. 49.

5) *Antidot ascetyczny*, czyli niezawodne lekarstwo religijne na umysłową truciznę. W Warszawie, 1823, str. 47.

6) *Głębsze uważanie mesmeryzmu*, czyli część teoryi praktycznej magnetyzmu zwierzęcego, opartej na fizyce mesmerowskiej, czyli systemie wzajemnych wpływów ciał świat składających. W Warszawie, 1821, str. 2.

7) *Dokończenie mesmeryzmu*, czyli tajemnice magnetyzmu zwierzęcego. W Warszawie, 1821, str. 5.

pędzącej, jak mówi Gustaw, umarłą bryłę świata do ruchu. Rousseauista, czytający z Marylą na wzgórkach romans genewski, nie mógł oczywiście nie odczuć potrzeby wiary czystej, świętej, nie zepsutej formułami i obrzędami, o której mówił Rousseau. Religijność pokolenia objawi się nawet zwątpieniem, przeważnie jednak uważaniem uczucia religijnego za najwyższą formę myśli ludzkiej, a mistycyzmu za doktrynę, obcą tak dobrze religii urzędowej, jak i niedowiarstwu szyderczemu i ironicznemu.

Nim pojawi się literatura, która źródeł natchnienia poszuka we własnym sercu, wierzącym tak, jak i naiwna dziewczyna z ludu, zabiera głos krytyka. Wyobraża ją człowiek, bliższy może Potockiemu, niż obskurantom. Wolny mularz, jak tamten, hołdujący filozofii przeszłowiecznej, jak wogóle starsze pokolenie, estetyk raczej, niż krytyk w smaku pseudoklasycyzm, liryk czuły i poważny w swym natchnieniu, obejmującym naród ze wszystkim, co go stanowi, był Brodziński, jako poeta, niby odmianą Karpińskiego, ale bardziej skupionym i głębszym, spokojnym i wyższym umysłem, ale nie artystem. Nikt dotąd nie był takim erudytem poetyckim, nikt nie miał tego odczucia poezji. Uczucie biło z jego stylu, który wyrażał myśli eklektyka bardziej jednak zdecydowanego w swym dążeniu do określenia istoty poezji, niż to potrafił najbliższy niego stojący Euzebiusz Słowacki. I słusznie zauważył najlepszy jego znawca, Chmielowski, ¹⁾ że jego formuła poezji była ogromnym rozszerzeniem jej u nas pojęcia, choć nie zadowolniła nikogo, jako zbyt odległa od pojęć pseudoklasyków, a nie dość odpowiadająca pojęciom romantyków. Czy ci ostatni istnieli jednak wtedy w istocie? Nie. Cały spór był dopiero w stadium przygotowawczym, gdy Brodziński występuje z poglądem, który stanowi niewątpliwie datę, ale który nie jest przełomowym. To pogląd przejściowy, który wyraża myśli pokolenia, nie wychowanego już w wieku bezwzględniego kultu francuszczyzny, które nie jest jednak pokoleniem romantyków.

Poglądy zarania wieku są jego poglądami. On nie wyprzedza nikogo, jest tylko pełną świadomością dążeń czasu, który miał duszę polską do dna. Dzieciństwo samotne, spędzone jakby w odosobnieniu i pozbawione zwykłych radości tych lat, wytworzyło z niego temperament, żyjący poniekąd własnym światem. Uczuciowość epoki uczyniła go ideologiem, mającym tylko umysł

¹⁾ *Studia i szkice z dziejów literatury polskiej*. Serya II. Kraków, 1886, str. 139.

nieskończenie rozleglejszy od Karpińskiego. Czudy, jak tamten, idealista prawdziwy i nie zrezygnowany, gdy chodziło o sprawy narodowe, demokrata z instynktu i dążności, jest Brodziński bliższym niewątpliwie tym, którzy do literatury wejść mieli, niż elicie, omawiającej po salonach romantyczne dążenia młodych. Zbliżony do ludu bardziej, niż bezpośredni wzór jego, Reklewski, ¹⁾ witał Brodziński romantyzm, jako wschód ludowości w literaturze, co napełniało jego serce miłośnika ziemi i ludu najwyższą radością. Nie indywidualizm pociągał go do romantyzmu, ale liberalizm, który pochodził z serca, a nie z głowy. Był on liberałem z przekonania, które w tej duszy czystej i czulej, przemieniło się w pożądanie szczęścia ogólnego. Wolnomularstwo jest tylko formą jego liberalizmu. Utylitarysta w pojęciu literatury szedł w tym razie nie za indywidualistami, którzy poza sobą nie widzieli nic, był raczej człowiekiem wieku minionego, niż tego, który miał rozpocząć. On ma wiarę w doskonalenie się ludzkości, jest przekonany, że nadejdzie chwila osiągnięcia zupełnej doskonałości, która pozwoli żyć swobodnie i naturalnie. ²⁾ Jest w nim zapał moralisty, dobroć filantropa, szlachetność humanitarysty; uczuciowość epoki, wiara w doskonałość, żądza oświecenia, pozostała po wieku minionym, odnajdą się w nim, jak u pani Staël, za którą idzie w swych uwagach krytycznych.

Rozumiał Brodziński, że romantyzm jest bądź co bądź zwrotem do natury, więc cenił go nad konwencye pseudoklasyków, choć rozszerzał znacznie pogląd pani de Staël, gdy uwzględniał literatury wschodnie i obejmował poezję ludową. Nie chciał ani francuzczyzny, ani niemczyzny, choć łączył myśli pani de Staël z poglądami Herdera. Nie pragnął panowania, ani przesądu dawnego, ani mody nowej, szedł naprzód pełen wiary w konieczność odnowienia w duchu narodowym. To myśl pani de Staël, którą oparł tylko, jako większy od niej erudyta i nie dyletanta, na szerszej podstawie, gdy ona znaczenia ludowości nie pojmowała, jako osoba z towarzystwa i żyjąca bez związku z ludem. Brodziński dawał swem założeniem podstawę krytyce, która oceniała dzieła w ich związku z otoczeniem, wchodził pierwszy na tory herderowskiego krytycyzmu, który chciał i umiał wżyć się praktycznie, jako tłumacz, a teoretycznie, jako krytyk, w duchu ka-

¹⁾ *Kazimir Brodzinskij i jowo literaturnaja diejatielnost'*. Izsledowanije kand. K. J. Arabazina. Kijew, 1891, str. 248.

²⁾ *Historia literatury polskiej*, P. Chmielowskiego. T. III, str. 132.

żdego narodu i każdej poezyi. Przebiegliśmy z nim jakby odrazu drogę, którą torowali Lessing, Winckelmann, Hamann, w dodatku polski Herder okazał się równie dobrym dyalektykiem, gdy chodziło o obronę narodowości w literaturze, jak i pełnym wewnętrznych przeczuć i subtelności estetykiem i wytwornym krytykiem. Zgodnie z Herderem, głosił on, że poezya jest zwierciadłem każdego wieku i narodu, wynosił jej znaczenie, radził czerpać z siebie i z natury. A potem charakteryzował literaturę starożytną i średniowieczną, przytaczając nawet dosłownie panią de Staël i starając się za nią dotrzeć do określenia samego romantyzmu.

I zgodnie z nią określał romantyzm, jako literaturę uczucia i myśli, badających naturę i ducha wieków, unosił się nad poezją wschodnią i północną, które, jak ona, wywodził z rycerstwa i chrześcijaństwa. I wygłaszał dytyramb na cześć Szekspira i poetów niemieckich, zaznaczając raz pierwszy u nas, że nie myśli być apostołem romantyczności, ale chcąc sprawiedliwie ocenić czyje przymioty, musi wejść w grunt jego serca i usposobienia.²⁾ To już krytyka historyczna, która wnika w nieskończoność dążeń romantyki, która stara się ją zrozumieć, choć nie podziela jej kierunku. Jej przedstawiciel u nas nie podzielał poglądów niemieckich idealistów filozoficznych, uznawał jednak, że rzeczywistość mało odpowiada naturze człowieka. Tu widać jego charakter eklektyka, który nie chce bądź co bądź być obcym niczemu, pragnie zrozumieć wszystko i wszystkich. On sądzi, że romantyzm dąży do wyrażenia nieskończoności, co jego umysłu filozofa jednak nie odstrasza, choć na świat patrzy oczyma innej epoki. Zastrzega się tylko, że nie pochwała anarchii w sztuce, ale nie może nie uznać, że nieskończonością w poezyi jest „odsłonięcie pola do wyobrażeń duszy, albo potrącenie uczucia, to jest kiedy poeta nie stara się wymownie przeświadczać o stanie uczuć, ale obraz tylko jego wystawi, abyśmy je z nim dzielili.“³⁾ Dzieli w tym względzie zapatrywanie pani de Staël, że literatura musi

¹⁾ August Koberstein: *Geschichte der deutschen Nationalliteratur vom zweiten Viertel des achtzehnten Jahrhunderts bis zu Goethe's Tod.* I Theil, Leipzig, 1872, str. 432. Siehe deine Natur und Geschichte, deine Götzen und Welt, deine Denkart und Sprache; nach diesen bilde dich, um der Nachahmer dein selbst zu werden.

²⁾ *Pisma Kazimierza Brodzińskiego.* T. III. Poznań, 1872, str. 37.

³⁾ Tamże, str. 41.

opierać się na filozofii,¹⁾ a nie na regułach zewnętrznych, idzie też za Herderem, który radzi oczyma filozofii patrzeć w ducha, przenosić się w każdą epokę duchem, by zrozumieć jej ducha.²⁾

To samo mówili Schleglowie, gdy wykładali o znaczeniu filozofii w poezyi.³⁾ Brodziński żałuje niewymownie, że jego literaturze brak pieśni, któremi szczycą się inne narody, ale szuka cech rycerstwa i chrześcijaństwa choćby w literaturze zrodzonej z humanizmu, stosuje tezę pani de Staël, że literatura winna być wyrazem społeczeństwa, do twórczości współczesnej, którą chciałby mieć najwięcej rodzimą. Boleje, że ta narodowa latorośl była zagłuszona obcymi wpływami, pragnie, by myśl polska była jasną i czystą, by uczucie czerpało wątek w szlachetnych czynach przeszłości i naśladowało prostotę, tkliwość, naturalność, praktyczność przodków. On skłania się wyraźnie do tego rodzaju poezyi, którą w wierszu i romansie dał poznać Walter Scott. Ten rodzaj, zwrócony cały do przeszłości, czerpiący z niej pokarm dla współczesności, którego mistrza nie wymienia wprawdzie Brodziński, ale którego lubi pewnie bardzo za rozsądek i równowagę, jest całkiem w duchu upodobań polskiego etyka.

W ogólności Brodziński idzie głównie śladem pani de Staël, choć nie obcy mu są: Herder, Sismondi, Schleglowie, Schiller. Idzie za nią też w żądaniu dobrego smaku, który nie może pozwalać sobie na zбочzenie a jest, wedle jej zdania, tak konieczny, jak dobry ton w towarzystwie.⁴⁾ On stoi blisko niej tem, co mówi i czego każe się domyślać. Jego sfera zamiłowań nie objęłaby boga romantyków, Dantego lub Calderona; fantastyczność odrzuca on dla świata idei, które nie znoszą cudowności i mistyki. On ma przyzwyczajenia klasyczne, choć marzy o sztuce nowej, czystego artyzmu nie chce, a boi się odstępstwa od trzeźwości i równowagi. Jak umiał godzić wolnomularski deizem z uczuciami chrześcijańskimi, tak pragnąłby godzić dwa prądy, dwie sztuki. Pociąga go nowa dlatego, co jest w niej wyrazem wyzwolonego

¹⁾ *Oeuvres complètes de mad. la bar. de Staël-Holstein.* T. II. Paris, 1861, str. 197.

²⁾ U Kobersteina, str. 445.

³⁾ *Friedrich Schlegel's Sämmtliche Werke.* II Band, Wien, 1822, str. 315. Einige sind der Meinung gewesen, das Studium der Philosophie sei ihm schädlich gewesen, auch für seine Kunst. Allein in Zweifeln befangen war er schon früher; und die innere Befriedigung eines solchen Geistes muss doch immer als des erste gelten, und ist wichtiger als alle äussere Kunstübung.

⁴⁾ U pani de Staël, str. 78.

temperamentu narodowego, odsuwa od niej to, co obraża jego poglądy moralisty, filozofa, artysty, rozumiejącego bezużyteczność reguł, ale nie chcącego oddać twórczości na łup kaprysów wyobraźni. Gdy Chateaubriand potępiał dawną sztukę z niechęci do wieku XVIII, Brodziński tego wieku nie nienawidził, był z nim w zgodzie pod wielu względami i nieco ciasną teorią otwierał szeroką drogę. Mimo wpływów niemieckich, był przeniknięty jednak duchem krytyki francuskiej, której wymagania, jak jasność, porządek, kompozycja, trzeźwość, moralność były i jego wymaganiami. Podmiotowym nie był, nie stał się też chorążym nowej szkoły, która przez swego mistrza Mickiewicza odnosiła się do niego nawet nieprzychylnie. Ale jej krytyk oddał mu sprawiedliwość, gdyż rozumiał wielkość i znaczenie zmiany, jakiej wystąpienie Brodzińskiego z rozprawą o klasyczności i romantyczności w r. 1818 było powodem.

A tymczasem tam, skąd miało nadejść unarodowienie literatury, nie zdawało się zapowiadać zmiany. Ale ta zmiana dokonywała się przecież nie tylko pod wrażeniem myśli, wypowiedzianych z katedry przez Euzebiusza Słowackiego, które ogłoszone następnie drukiem długo miały uznanie w stronach litewskich i ruskich, ale i jego następcy, który również nie szedł ślepo utartym szlakiem, ale śmiało wchodził na nowy. Chmielowski trafnie określił znaczenie Borowskiego. Streszcza się ono w potępieniu naśladowania, w zalecaniu unikania zboczeń romantycznych niemieckich i pójscia drogą narodową.¹⁾ Było to stanowisko nader cenne, gdyż zbliżało Borowskiego z jednej strony do Brodzińskiego, z drugiej przygotowało grunt pod myśli, jakie niebawem wypowie Mickiewicz. Nie był profesor wileński reformatorem, ale nie szedł przeciw prądowi czasu tak w teorii, jak i w praktyce wykładów; popierał dążność do odmiany tam, gdzie duch zachowawczy starej szkoły zwalczał ostro nowe dążenia. Ten duch zachowawczy, który pragnął postępu i rozwoju na innych polach w przeciwieństwie do obskurantów, ten duch zachowawczy, który zaciekle zwalczał wszelki mistycyzm przeciwny rozumowi i prawdzie,²⁾ szedł w pojęciu sztuki ślepo za wiekiem poprzednim. Chciał utrzymać tradycje dawno gdzieindziej zaniechane, odsuwał badanie istoty sztuki w duchu estetyków niemieckich, uważał wy-

¹⁾ *Dzieje krytyki literackiej w Polsce* przez Piotra Chmielowskiego. Warszawa, 1902. Str. 141—143.

²⁾ *Wiadomości brukowe* z r. 1817. № 1, str. 20.

jaśnianie wytworne i trzeźwe reguł i stosowanie ich w tworzeniu za postulat nieodwołalny.

Borowski nie należał do tych, którzy ograniczali przymioty sztuki do poprawności, roztropności, mądrości umiarkowanej i dyskretnej.¹⁾ Nie zamykał się w nieruchomym podziwieniu dla klasyków francuskich, z których najslabszych nawet podziwiano u nas; nie chciał dogmatyzować, jak Śniadecki, w próżni i narzucać więzów, których nie umiałby usprawiedliwić. Dość przejrzeć ówczesne czasopisma, by przekonać się o marności smaku ludzi, którzy uważali się właśnie za jego obrońców. Ulubionym poetą jest liryk, którego ody nie miały ani uczucia, ani bezpośredniości, ani obrazowości. Rozum górował w całej tej robocie na zimno, rozum mający tylko znajomość techniki formalnej, rozbioreczy i krytyczny nawet w chwilach, gdy był wcale nie na miejscu. Całą ozdobą tej poezji była napuszoność, twardość, retoryka, daleka od języka powszedniego i od poezji. Taka poezya rosła tylko w atmosferze racjonalizmu, kiedy to sprowadzono poezję do form sztucznych, do figur, do wiersza. Jan Baptysta Rousseau uchodził tedy w takiej epoce za liryka. A jednak i teraz przedostawały się wiadomości o poetach innego typu, głównie za pośrednictwem tłumaczonych od czasu do czasu ustępów z historyka literatur południowych Sismondiego i tutaj świeciła zorza nowych poglądów, skoro stawano w obronie praw wyobraźni, której nie potrzebowali, czego nie zanedbano zaznaczyć, ludzic miary Newtona.²⁾

Mówiono tedy o literaturze, jak ślepy o kolorach, skoro utożsamiano jej istotę z treścią i celami nauk ścisłych, a podnoszono natomiast wysoko talent salonowego poety Gilberta. Znaczyło to, że skoro znużono się pompą ód, przerzucano się do igraszek wierszowanych, nie podlegających krytyce. Podobne zamiłowania do wódnie wskazywały, że pseudoklasycyzm zamierał na prawdę. Ludzie, wśród których Voltaire uchodził jeszcze za poetę, tracili wszelki związek ze sztuką, a dla poglądów przeciwnych mieli tylko szyderstwo. Było ono słusznem, skoro kierowało się przeciw wadom społecznym i obskurantyzmowi, ale stawało się ciasną pedanterią, gdy chciało rozprawiać o poezji. Borowski był w takim środowisku rodzajem erudyta poetyckiego, którego obchodziły najrozmaitsze typy poezji, a co do przyszłości sądził, jak największy wtedy znawca dawnej historii literatury, Ossoliński, że

¹⁾ U Pellissiera, str. 20.

²⁾ *Dziennik Wileński* z r. 1819. T. I. Str. 333—334.

umysły do narodowości przywiązywać potrzeba, gdyż to obezna nas z duchem przodków i wskaże, czegooby nam jeszcze do dzisiajszej z innych doskonałości brakować mogło.¹⁾ Nie można wątpić wreszcie, że i historia literatury, która stawia wtedy, dzięki Bentkowskiemu i Ossolińskiemu,²⁾ pierwsze kroki, umacnia Borowskiego w tem przekonaniu, które staje się przekonaniem myślącego ogółu. Odnowienie narzucało się niejako samo, szczegółowe badania przeszłości dowodziły bowiem odrębności literatury, uważanej dotąd za wyzwoloną dopiero za Stanisława Augusta.

Przestaje się upatrywać poezję w czystej wirtuozyi, choć na razie unika nazwy romantyzmu. Krytyka staje się coraz więcej historyczną, gdy przestaje być stosowaniem reguł, rządzących twórczością i formuł, ustalających naprzód charakter każdego rodzaju niezależnie od czasu i środowiska. Gdy chce tłumaczyć już dzieła, jako obraz społeczeństwa, wchodzi i w Wilnie na nowe drogi. Celem sztuki jest tedy, wedle Borowskiego, dogodzenie duszy, oczarowanej dziwami przyrodzenia, odtwarzaniem tych dziwów mocą wyobraźni, uczucia, dowcipu. Zjawiska sztuki mają wogóle cechy wspólne, których poznanie ułatwiło zadanie twórcy i krytyka. Jest ono rzeczą czasów nowszych, gdy odrzucono obowiązujące dawniej zasady, streszcza się w zagadnieniu, czem jest sztuka, wyrażona słowem i objawiająca się w całym szeregu wzorów. Czucie i wyobraźnia działają w niej samorodnie, potem dopiero rodzi się teoria, która rozdziela złączone pierwotnie z sobą poezję i wymowę. Po takim wstępie Borowski rozpatruje kolejno literatury wschodnie, starożytne, północne, nowożytne, w których starożytność kłóci się z wyobrażeniami chrześcijańskimi. Wyjaśnia, że smak podniósł się pod wpływem starożytności, choć wstrzymał postęp zwłaszcza we Francyi, gdzie wcale poezyi nie ma. Wynikła z tego zastoju prozaiczność i formalistyka, gdy literatura wykwita na prawdę z pnia narodowego. Nie znamy przecież naszej, dawniej i dziś podkopujemy naszą odrębność i wolimy „niedbale stosować się do naszego wieku, w którym światło filozofii spędziło błogi urok poezyi, i na wzór innych usiłujemy śpiewać dla czystego rozsądku.“³⁾ Język nasz nie stracił jednak siły,

¹⁾ *Dziennik Wileński*, rok 1820. T. I. Str. 4.

²⁾ *Historia literatury polskiej w zarysie* Al. Brücknera. Warszawa, 1903. T. II. Str. 42.

³⁾ *Uwagi nad poezją i wymową* pod względem ich podobieństwa i różnicy z ćwiczeniami w niektórych gatunkach stylu. W Wilnie, 1820. Str. 84.

stać się może podstawą odrodzenia, które jest pożądanem. Przekładami z Miliona, Lessinga, Parny'ego, oraz kilku wzorowymi rozbiorami zamyka się rozprawa, mająca charakter więcej akademicki, niż Brodzińskiego, a stanowiąca poniekąd też echo tamtej.

Zwiasztuje ona bliskość walki, odrzuca to, co chlubiło się dotąd szlachetną harmonią i wymownym rozumem. Rozumie zjawiska oddziaływania środowiska na twórczość, wpływu indywidualnego na dzieło. Rozgląda się po literaturach, które ówcześni historycy uprzystępnili krytykom, nie ignoruje żadnej, jak to czynił Śniadecki. Uwzględnia historię, wprowadza żywiący porównawczy, odnosi się sympatycznie do każdej literatury. Borowski nie jest więc pseudoklasykiem, ma zrozumienie bystre i liberalne piękności, rozważa literaturę nie dla formy tylko, ale i w jej związkach z otoczeniem, którego jest wyrazem. I tutaj pani de Staël otworzyła drogę, Borowski dał tylko swe studia, które weszły w ramy teorii. Apostolstwa tu nie było, za mało też położono nacisku na pozytywną stronę programu przyszłości. Jak zaznaczył Chmielowski, opierał się estetyk wileński głównie na Bouterweku czyli szedł za prądem, który twórczość zwracał do natury, stosunki ich uwydatniał, wszystko określał filozoficznie a piękno, za największym estetykiem minionego wieku, wyprowadzał z ducha ludzkiego, mającego swe własne prawa a nie ogólne psychologiczne i logiczne zasady.¹⁾ Na tem stanowisku Baumgartena stał już Euzebiusz Słowacki, gdy budował swą teorię smaku; tu było tylko więcej zrozumienia poezji dawnej i nowej, bardziej wyraziście określona była różnica między poszczególnymi zjawiskami literackimi. Uwagę zwracają zachwyty nad poezją hebrajską, które były wynikiem znajomości krytyki angielskiej, a zwłaszcza Lowtha, który w drugiej połowie poprzedniego wieku nauczył wyprowadzać poezję z otoczenia; uderzają też poglądy na poezję starożytną, do której zbliżył Borowskiego Lessing i Winckelmann. Hagedorn dał mu poznać lepiej Ossyana, Herder nauczył rozważać literatury w ich początkach i pochodzeniu.

Z estetyków nietylko Kant, ale i działający wtedy jeszcze jeden z przedstawicieli jego szkoły, Bouterwek, wchodzili w zakres erudycyi Borowskiego. Znajomość literatur obcych oswobodziła umysł od przesądów, profesor wileński stawał się przez nią rodzajem literackiego liberała, który nie był jednak rewolucjonistą. Nie stanąłby na czele ruchu, podziwiał wszystkich, ale w swej

¹⁾ U Kobersteina, str. 334.

śmiałości był umiarkowanym. Od Bouterweka przejął widocznie charakterystyki poszczególnych literatur,¹⁾ wstęp jest jednak streszczeniem całego rozwoju myśli o poezji i wymowie, począwszy od Baumgartena i jako taki—znacznej wartości. Borowski stroni od metafizyki, na której opiera się Bouterwek, kocha tylko piękno, a różne jego typy nauczyła go poznawać pani de Staël. Stara się wniknąć w nie, choć w spekulacye estetyczne się nie zapuszcza, woli księgę dziejów, niż subtelności działów i poddziałów, teoryj i kategorii niemieckich. Z Bouterwekiem podziela zdanie,²⁾ że piękno wypada odczuwać, że pięknem jest to, co wszyscy za takie uznają, że poezya i wymowa muszą działać uszlachetniająco. Na ogół jednak program wileński był ciaśniejszym od warszawskiego, był poglądem liberalnym ale w miarę, choć czynił z krytyki naukę społeczną, wyjaśniał twórczość przez otoczenie, odsuwał absolutyzm pseudoklasyczny, a przynosił głęboką i delikatną znajomość literatur.

Zrozumienie ich było dobrem, brakło tylko śmielszej inicjatywy, do której satyryk z humorystycznego czasopisma wileńskiego nie był zdolnym. Krytyka nasza nie zasługiwała jednak odtąd na nazwę ignorantki, krytyka oparła się na historii a nie na konwencji. Borowski zna język angielski, Milтона przekłada wiernie i zachowuje świetnie lekkość i skrzydlatość jego hymnu do wesołości, wytworną powagę hymnu do melancholii. Jest wszędzie u siebie, nie gardzi nawet słodkim Delille'm, choć z wyraźną sympatyą odnosi się do Walter Scotta i Byrona, gdyż obaj gardzą prawidłami, których poczucie piękna nie stworzyło. Czemu jednak nie wyprowadził z tych przesłanek wniosków samodzielnych? Wszakże miał smak wyrafinowany niepoślednio, miał i śmiałość sądu, skoro potrafił przeciwstawić go Śniadekiemu. Około niego kupiła się młodzież literacka, on wydawał się jakby przeznaczonym na zapasznika w walce z tym, który stworzył z literatury mechanikę słowną i pragnął odgradzić twórczość polską od europejskiej. Śniadecki zwalczał nietylko pierwiastek mistyczny romantyzmu, uważał też odstępstwo od konwencji odrzuconych wszędzie za koniec sztuki, a prawidła uważał za owoc najwyższej kultury. Utożsamiał romantyzm z mesmeryzmem, w czem tkwiło nieco prawdy, widział w nim zwrot ku ciemności i anarchii,³⁾ co dowo-

¹⁾ *Geschichte der Poesie und Beredsamkeit seit der Ende des dreizehnten Jahrhunderts* von Fr. Bouterwek. Göttingen I Band, 1801, str. 1—40.

²⁾ *Aesthetik* von Fr. Bouterwek. Göttingen, 1815, str. 18.

³⁾ *Dziennik Wileński* z r. 1819. T. I, str. 2—27.

dziło jednostronności tem przykrzejszej, że pochodziła od człowieka, jednego z najtęższych umysłem i charakterem.

By pokonać takiego przeciwnika, trzeba było nie Borowskiego, ale krytyka o znacznym talencie dyalektycznym i dużej erudycyi filozoficznej. Brodziński milczał, Śniadecki narzucał zaś teorię, którą uważał za najdoskonalszy twór umysłu ludzkiego. Nie czuł, że przemiana jest możliwą, poza swą doktryną widział tylko upadek. Jego krytyka była krytyką oporu, była krytyką powagi, która zwracała się nie tylko przeciw literaturze, ale i kierunkowi filozoficznemu jej towarzyszącemu. Nowa estetyka wydała mu się tem niebezpieczniejszą, że opierała się na metafizyce. Była to krytyka brutalna, gdyż olśniewała ignorancją, oburzała ślepem przywiązaniem do konwencji. Sama w sobie opierała się również na filozofii, spór literacki stawał się tedy sporem o treść, idee, światopogląd. A wśród młodych nie brakło teraz nawet nieprzyjaciół nauki, w której obronie stawał Śniadecki. Czy byłoby to echo kierunku, który podnosił w Niemczech słabość czystego rozumu, a pojęcie ludzkie uważał za hipotezę? Poznanie rzeczy samych w sobie, mówili idealisci wkraczający i do nas, jest niedostępne, da się zrozumieć tylko zmysłem wewnętrznym, który widzi rzeczywistość bytu. Wschód takiej filozofii wydawał się więc Śniadeckiemu, jako wychowankowi wieku oświecenia, początkiem upadku. Stary sensualista obudził się w nim; zamiast zwrócić się do Kanta, jak pani de Staël, wołał zalecać Condillaca, dla którego operacje myśli były rodzajem algebry, której słowa są znakami, a poezya tylko grą wyrazów, rządzoną prawami logiki i konwencją, raz rozumem ustalonymi. Między zwolennikiem Encyklopedystów a entuzyastami uczucia w duchu idealizmu romantycznego nie mogło być odtąd porozumienia ani ideowego, ani formalnego a rozłam pogłębił się i groził walką.

III.

Mickiewicz jako teoretyk. Odpowiedź pseudoklasyków.

Nie od dzisiaj wiadomo, że romantyzm wileński był raczej owocem pracy młodzieży niż urzędowej nauki uniwersyteckiej. Zgromadzenia filomatyczne były rozsądnikiem myśli, które nie tylko biegunowo różniły się od tych, jakie wypowiadał Śniadecki, ale też odbiegały znacznie od pojęć Borowskiego. Tu Mickiewicz

zaznajamiał kolegów z ruchem literackim zachodnim, który śledził sam najpilniej ze wszystkich; tu zjawiały się pierwsze brzaski poezyi, nim padły i na społeczeństwo oddzielone od zgromadzeń głęboką tajemnicą. Czy jednak otwarcie nie wydobywała się myśl nowa tam, gdzie romantyzm potępiono najbezwzględniej? Nie można zaprzeczyć, że czasopisma wileńskie były echem tego, co mówiono i pisano za granicą, że nie pielegnowały wcale tej ciasnoty pojęć, która cechowała choćby pseudoklasyków francuskich. W nich widzi się zwłaszcza zmaganie się ze sobą dwóch prądów filozoficznych, z których jeden popiera Śniadecki, drugi ma zdolnego przedstawiciela w chwili, gdy na katedrze zjawi się Gołuchowski. Istnieją wprawdzie wątpliwości, czy Śniadecki był wistocie sensualistą. Ale ten, który je podniósł, uznał, że grunt jego sposobu myślenia był wspólny z Encyklopedystami i że z natury rzeczy był rektor wileński bliższym sensualizmu, niż filozofii niemieckiej.¹⁾ Walka, którą wypowiedział Kantowi, była walką przyrodnika, który za swą nauką nie widział prawd; była walką sensualisty, który potępiał nieufność w świadectwo zmysłów, wystawianie sobie duszy bez zmysłów, hipotetyczność pierwszych zasad, zawziętość podziałów i nomenklatury.

Oburzał się na tych, którzy w filozofii upatrywali początek przewrotu społecznego, widział go w niesprawiedliwości, którą rozświeciła prawda filozoficzna, choć teologowie, przez których rozumiał zapewne ks. Surowieckiego, nazwali tę prawdę niedowiarstwem.²⁾ Widział Śniadecki właśnie w teologii tamę dla rozwoju myśli, ze szczególnem zaś upodobaniem bronił swego mistrza Dalembert'a,³⁾ który odznaczał się wprawdzie prawością i niezależnością charakteru, ale był jednym z najzawziętszych nieprzyjaciół religii. I Montesquieu'go bronił zapalczywie, choć wiadomo, że był on sceptykiem, uważającym religię za narzędzie państwa i obcym zupełnie jej istocie, jak sztuce i poezyi. Tu była sprzeczność, której nie wytknięto Śniadeckiemu nigdy, chociaż w wywodzie rozwoju inteligencji ludzkiej był on wyraźnie zwolennikiem sensualistów, nazywał system Kanta wskrzeszonym platonizmem, satyrą na rozum ludzki, czemś w rodzaju mesmeryzmu, który zwalczał bezlitośnie w organie szubrawców.⁴⁾ Sądził na-

¹⁾ *Jan Śniadecki*. Jego stanowisko w dziejach filozofii przez M. Straszewskiego. Kraków, 1875, str. 201.

²⁾ *Pisma rozmaite Jana Śniadeckiego*. T. IV, str. 45—7.

³⁾ Tamże, str. 65.

⁴⁾ *Wiadomości brukowe* z r. 1817, № 7.

wet, że wszelkie potrzeby umysłu ludzkiego zaspokoiłi Encyklopedyści, choć ukrywał zapewne rozmyślnie, że wielbiony przez niego Dalembert uznawał w naturze tylko konieczność, nie widział prawdy poza umiejętnościami ścisłemi, wierzył jedynie w rozum, który doprowadzi do prawdziwej filozofii i rozproszy mgłę zabobonów. Filozofia, która gruntuje się na hipotezie, jest podstawą mistycyzmu, jest filozofią romantyczną.¹⁾ A pani de Staël wprowadzała do nas właśnie kult wszystkiego, co niemieckie, wносиła nietylko teorye literackie, ale i kult idealizmu filozoficznego, dając wyraźnie wskazówkę,²⁾ że tajemnicę natury ludzkiej odkrył dopiero Kant.

Pani de Staël broniła właśnie Kanta od zarzutu powtarzania starych rzeczy, odsłaniała niejako świat obcy zmysłom, rachubie, ironii, szyderstwu.³⁾ Intellektualistka ożywiona uczuciem i wzmożona wyobraźnią osłabiała i u nas wiarę w świadectwo zmysłów, zaznaczała istnienie warunków poznania w umyśle ludzkim, podkreślała wolność woli, duchowość duszy, nieśmiertelność, jako wynik logiczny tego systemu filozoficznego. Komentowano żywo jej zdanie, że nowa filozofia czyni rozum sędzią tylko w sferze rzeczy zmysłowych, że uczucie, które było wszystkim w literaturze od czasów Rousseau, stanowi podstawę poznania prawd nadzmysłowych. Niezmienna jaźń duszy stanowi źródło poznania; istnieje tylko jedna filozofia, dla której nawet natura nie jest granicą ani tamą. Wszystko jest jednością, którą rozwiązuje uczucie, jednością duchową nawet pod formą materji. Sztuka nie jest zaś mechanizmem, ale wynikiem jaźni niezmiennej i wewnętrznej; sztuka winna odtwarzać to, co jest w tej jaźni najtajniejszego, zwracać ją do nieskończoności, której była i jest wyrazem. To, co się nazywa dziś błędem lub zabobonem, jest może wynikiem nieznanych praw bytu, którego mocna strona musi być też zrozumiana. Filozofia odnawia się przez uczucie, religia odnawia się przez filozofię. Wiara i zwątpienie zwalczają się w duchu ludzkim; dogmat i nietolerancja są przeciwnikami wiary, której tajemnicę odgadnie dusza, wzniesiona nad zmysły, oswobodzona z więzów materji. Tylko mistycyzm otworzy drogi do nieznanego, bo opiera

¹⁾ *Histoire de la langue et de la littérature française des origines à 1900.* T. VI, Paris 1898, str. 374.

²⁾ *Oeuvres complètes de mad. le bar. de Staël-Holstein*, Paris 1861. T. II, str. 181.

³⁾ Emile Faguet: *Politiques et moralistes du XIX siècle.* Paris 1899, str. 152.

się na doświadczeniu wewnętrznem serca, na wyzwoleniu woli, która odnawia życie i wskazuje mu właściwe cele.

Te poglądy myślicielki francuskiej i wkraczających za nią idealistów niemieckich były w najbliższym związku z tem, co głosili mistycy typu Lachnickiego lub Baudouina de Courtenay, których wyśmiewało stale starsze pokolenie w znanym organie szubrawców.¹⁾ Głosić je będzie wnet w Wilnie schellingianin Gołuchowski, który widzi w człowieku rozwiązanie zagadki natury, uznaje jedność bytu, wierzy w magnetyzm, którego zjawiska uważa za niewyjaśnione, choć zależą one od warunków indywidualnych.²⁾ Wiara, wedle niego, jest też rodzajem swobodnej czynności rozumu, gdyż jaźń ludzka nieskończoność bytu przeczuwa i jej pożąda, co głosiła już wcześniej poezya mickiewiczowska. Sceptycyzm, który pozostawił po sobie w spadku wiek filozofów, doprowadził młode pokolenie do stanu, w którym pożądanego jakiegokolwiek wiary. Było ono zawieszono między dogmatyzmem, którego obrońcy, jak ks. Surowiecki, objawiali silne zapędy reakcyjne, a sceptycyzmem, który trzymał się ślepo swego systemu i nie myślał o żadnym kompromisie.³⁾ Chateaubriand znany ze swej reakcyjności i okrzyczany, jako taki, po dziennikach, mało przemawiał do serc i znany był mniej, niż na to zasługiwał. Nie on też dawał początek naszemu romantyzmowi, który rozwijał się u nas raczej pod działaniem mistyków obcych i swoich, przez wpływ literatury niemieckiej, przesiąkniętej duchem idealistycznym i mistycznym. Lata spokoju pozwoliły wejść niejako w siebie, z tego wejścia w siebie wyjdzie poezya odrodzonego uczucia religijnego przodków pod formą mistycyzmu. To odrodzenie cechowało zresztą romantyzm francuski, objawiało się nawet w szyderstwie Byrona. Wzywało się Boga, w którego się nawet nie wierzyło; na tem tle wybijały indywidualizmy, których nieustannem zagadnieniem było zagadnienie nieskończoności.

I jak u romantyków niemieckich, podrażnione uczucie tego, który miał wieść naszą poezję na nowe drogi, znalazło ukojenie w rozważaniu zagadek bytu. Jego poezya była wyrazem pożądania nieskończoności, do której wiodły ją czucie i wiara. A i czasopisma przyczyniały się dzielnie do przewrotu w dotychczasoso-

1) *Wiadomości brukowe* z r. 1817, № 14.

2) *Dumania nad najwyższymi zagadnieniami człowieka*. T. I, Wilno 1861, str. 38, 56.

3) *Gazeta polska* z r. 1828, str. 958.

wych pojęciach. Najpoważniejsze z nich poświęcało wprawdzie lwią część naukom ścisłym, dawało jednak wyjątki z Sisinondiego, zdobywało się na artykuł o Walter-Scocie i Byronie, który łączy harmonię wiersza z wielkością i pięknnością myśli.¹⁾ Śniadecki ucierał się tu z jakimś lwowskim przeciwnikiem sensualizmu, który zwalczają też połoccy Jezuici, oskarżający literaturę ówczesną o bezbożność i uleganie ślepe filozofom przeszłowiecznym. W poezyi górują wprawdzie pseudoklasycy nader małego kalibru, ale spotyka się i Byrona, jest wzmianka o Lamartinie.²⁾ Z krajowych sław występuje poczciwy, ale słaby Górecki, niewypowiedzianie melodyjny i świeży Zaleski, dalej Mickiewicz i idący za nim w ślady Odyniec, nawet przyjaciel młodziutkiego Słowackiego, Spitznagiel. Bardziej interesująco przedstawia się czasopismo, które wydaje blizki filomatom Lelewel. Tu góruje historia, gdy tam przeważają nauki ścisłe. Szekspir znajduje tu wcześniej wielbicieli, choć Śniadecki ma go wkrótce potępić bezwzględnie i żałować, że geniusz angielski nie czytał pseudoklasyków francuskich. W czasopiśmie Lelewela zgromiono przeciwie Ducisa za to, że zepsuł Szekspira, gdy dostroił go do konwencji francuskich.³⁾ Kładziono nacisk na potrzebę pierwiastku narodowego w literaturze, co popierano ustępami z pani de Staël. Filozofię sensualistów zwalczano tu ostro,⁴⁾ choć zaznaczano, że filozofia chroni od fanatyzmu a strzeże także od ateizmu.

Horyzont literacki jest szerszy, gdyż i literatury wschodnie znajdują tu miłośników, daje się też miejsce pieśniom ludowym. Szczególną opieką cieszy się poezya, w której przodują wprawdzie pseudoklasycy, ale zjawiają się i młodzi, jak Korzeniowski, niesmacznie drwiący z Napoleona, którego szczęście się wyrzekło, a wielbiący pompatycznie jego pogromcę okrzykiem, że

To Bóg łaskawy północy,
Co wyrwał z zniszczenia mocy
Naddziadów naszych siedliska.
Już się ojcem ludów mieni,
A w wielkiej świata przestrzeni
Już gwiazda pokoju błyska,⁵⁾

1) *Dziennik wileński* z r. 1820. T. I, str. 117.

2) Tamże, T. III, str. 117.

3) *Tygodnik wileński* z r. 1816, T. II, str. 26.

4) Tamże, T. II, str. 399.

5) Tamże, T. II, str. 212.

gdy Błotnicki pociesza znów żartobliwie Spitznagla z powodu jego melancholii. Sam Spitznagiel marzy po werterowsku o marności świata, na którym szczęście jest zjawiskiem przelotnem,¹⁾ choć i zdobywa się i na pieśń o Wiedniu wybawionym przez Sobieskiego. Jakiś miłośnik warszawskiego Olimpu chwali nawet żywych, między którymi

w obrazach wielki i w przelotach śmiały,
Stoi Koźmian w świątyni nieśmiertelnej chwały,
Z nim Morawski, Osiński, laur im zdobi skronie,
Niemcewicz jeszcze na swym przygrywa bardonie.

Ossyan płacze się tu obok Delille'a,²⁾ J. B. Rousseau³⁾ kroczy obok Szekspira. Z prozaików Towiański⁴⁾ zamieszcza napojoną mistycyzmem powiastkę, gdy wnet jakiś satyryk wydrwiwa magnetyzm. Wszystko wskazuje, że w Wilnie ważą się prądy najsprzeczniesze, których starcia nazewnątrz nie widać zbyt.

Romantyzm znajdował w krytyce swój wyraz tylko w tem, co wyrzekł Brodziński, co zwalczał Śniadecki. Był raczej przecuciem czegoś, co swą nieokreślonością przerażało jeszcze bardziej przeciwników. Nawet we Francji jego wódz nie unie długo zdobyć się na teoryę nowej sztuki; u nas określano ją jako germanomanię, którą wydrwiwano w organie szubrawców, rzadziej jako brytanomanię, która imponowała jakoś więcej, skoro nawet pseudoklasycy podejmowali się przekładów Byrona. Sceptycyzm filozoficzny starych odrzucał metafizyczną dążność programu młodych, na poezyę był obojętny, bo prawdziwej nie znał zupełnie. I wtedy Mickiewicz daje poezyę, która jest bardziej wymowną, niż jego program. Jakim był dotąd, wiemy tylko z fragmentów jego estetyki. Wyobrażamy sobie, że obejmował szerokie horyzonty literackie, które otworzyli mu Groddeck, Borowski, Brodziński; wiemy z odkrytych dopiero protokółów posiedzeń filomatów, że śledził ruch literacki za granicą, by składać o nim sprawozdanie kolegom. Sposobił się na profesora literatury w gimnazyum, myślał może o katedrze uniwersyteckiej, co skłaniało go do usilnej pracy w obranym kierunku. Że walka między nim, a urzędową krytyką była, dowodzi odmówienie mu

¹⁾ *Tygodnik wileński*, Rok 1820, T. X. str. 156—157.

²⁾ Tamże, Rok 1821, T. XI, str. 292.

³⁾ Tamże, Rok 1822, T. XIII, str. 274.

⁴⁾ Tamże, Rok 1820 T. X, str. 319.

pochlebniejszego uznania za rozprawę o marnym poemacie pseudo-klasyka Tomaszewskiego. Wydrukowanie jej w organie warszawskim dowodzi, że w okopach starego kierunku ciasno było temu, który powierzchownie zapewne okazywał szacunek dla przepisów poetyki dawno przez panią de Staël i Chataubrianda odrzuconej. Chmielowski wykazał nawet szczegółowo wpływy,¹⁾ które działały na Mickiewicza w chwili, gdy pisał swą rozprawę.²⁾ Nas obchodzić może tylko nacisk, jaki kładzie on na jedność akcji, potępienie metafizyki w poezji, której sam będzie wnet inicjatorem, wreszcie podkreślenie potrzeby wierności duchowi czasu, która właśnie szwankowała u przedstawicieli starej szkoły.

Dwie szkoły zdają się tu walczyć z sobą, na co Chmielowski nie zwrócił uwagi. Wszakże przodownik drugiej Walter Scott dążył przede wszystkim do wskrzeszenia przeszłości w jej prawdziwych zarysach, gdy sławiony przez Śniadeckiego Racine nie miał właśnie tej intuicji przeszłości, tej świadomości różnicy, tego zmysłu delikatnego, który rozwinął się zresztą dzięki odrodzeniu studyów historycznych. Modernizowano dotąd historyczne tematy, koloryt miejscowy był słabą stroną ogółu poetów przedromantycznych. Jedynie Szekspira postaci królewskie miały dużo prawdopodobieństwa, gdyż twórca ich tkwił niejako w swej narodowości, odosobnionej od reszty, wyłącznej i mało różnej od tej, która tworzyła dzieje średniowiecza. Wyobraźnia Szekspira ożywiała jednostajność kroniki, gdy Racine był dzieckiem wyrafinowanej kultury, choć wydawał się nawet brutalnym, salonowym krytykom jego tragedji. Był ogólnym, ludzkim, prostym w swem pojęciu charakterów, jakim nie był idący za nim w ślady, a czytany przez Mickiewicza długo jeszcze Voltaire. Romantyzm był zaś erudytem historycznym, dbał o tło, dbał i o figury, choć udawały mu się one rzadko, zwłaszcza w historycznym dramacie. Mickiewicz zdradza się jednak ze swym poglądem, który jest poglądem romantyka. On nosi jeszcze zbroję klasyczną, ale zdradza się niektórymi ruchami, jak Grażyna zadziwionym rycerzom.

Jako wódz romantyzmu, ma przecież więcej świadomości swego celu, niż współcześnie we Francji Hugo. Romantyzm francuski był dla nas teraz prawie obojętnym, gdyż Mickiewicz zwraca

¹⁾ *Pamiętnik Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza* pod redakcją Romana Pilata. We Lwowie 1888, str. 1—25.

²⁾ *Pamiętnik warszawski*, czyli dziennik nauk i umiejętności. Rok 1819, T. III, str. 70—126.

ca się cały do literatury niemieckiej i angielskiej, czego nie czynili Brodziński i Borowski. Znał Szekspira lepiej od kogolwiek innego, jak dowodzi choćby motto ballady, zwróconej przeciw Śniadeckiemu; nad romantyków właściwych cenił wyżej zapewne Goethego. I utyskiwał, że rozwój nauk ścisłych podkopał poezję, która rodzi się z uczucia i wyobraźni, wskazywał na bezużyteczność reguł, radził czerpanie sił nowych od obcych. Jeżeli Goethe i Byron istnieją, istnieje poezya, którą oceniać trzeba historycznie, ze względu na pochodzenie, koleje powstawania. Talent pisarza ocenia krytyk też wedle okoliczności towarzyszących rozwojowi, czyli „według łatwości, jakie znalazł, albo trudności, jakie zwalczył, nie stawia wyroku, ale pisze historję sztuki.“¹⁾ Znaczyło to, że Mickiewicz stawał się inicjatorem nowego kierunku, że przed Mochnackim wypowiadał myśl, którą ten rozwinie tylko szczegółowiej. A jego rozprawę o Goethem i Byronie odnosi prof. Kallenbach do czasu pojawienia się pierwszego tomu poezyi.²⁾ Niema w niej pustych formuł, niema olśniewających metafor, niema ignorancyi i dowolności, cechujących zwłaszcza Wiktora Hugo, gdy postara się określić swe dążenia, co dowodzi zdumiewającej różnicy inteligencyi między dwoma wodzami tego samego kierunku.³⁾

Romantyk francuski nie lubi myśli, Mickiewicz bada rzeczy głęboko i odziewa swe poglądy w szatę poezyi. I gdy u tamtego niema nic prócz słów, ten wyprzedza już Brodzińskiego. Rozmyślając nad poezją, dzieli ją na przeszłą i obecną, z których pierwsza wywoływa ducha narodu, druga miesza się do jego spraw bieżących. Rozumie dobrze, że rozwój historyi i estetyki przyczynił się gdzieindziej do rozwoju poezyi; sam chciałby niewątpliwie podobnego objawu u nas, gdyż on wydał Goethego, który odgadł potrzebę wieku. Przeciwnie, Byrona zrobiło poetą życie, gdy Goethe żyje marzeniem. Byron uczynił uczucie, które było dotąd sentymentalizmem, namiętnością, nie znającą żadnych zasad i konwencyj, zniweczył pseudoklasycyzm, na który składały się dowcip, chłód, retoryka.

Co zastanawia w poglądach Mickiewicza, to bystrość, z jaką określił obu poetów, którzy żyli jeszcze i dla których żywił cześć

1) *Pisma Adama Mickiewicza*. T. VI. Paryż i Lipsk 1861, str. 43—57.

2) *Adam Mickiewicz*. Kraków 1897, T. I, str. 172.

3) Emile Faguet: *Dix-neuvième siècle*. Etudes littéraires. Paris 887, str. 180.

nieszwykłą. Może zbyt pośpiesznie dał Byronowi miano filozofa, gdy odmówił go Goethemu; dostrzegł jednak trafnie różnicę między nimi, odczuł dążności wieku, zrozumiał, że poezya musi iść ich śladem. Filozofia i polityka—oto tory, którymi miała pójść, gdy porzuciła świat marzeń, jak poeta przerzucający się od ballad do mistycznego dramatu na tle obrzędu ludowego, do poematu, w którym zamknie za lat kilka cały żar patryotyzmu pokolenia. Sympatye dla Byrona uwydatniają się nader silnie. Nie mogło też być inaczej, skoro to nazwisko brzmiało wtedy jak hasło, skoro kryło w sobie wszystko, co stanowi ową epokę, a więc indywidualizm bez granic, nienawiść reakcyi pod jakąkolwiek formą, umiłowanie piękna do szału. Życie i poezye tego człowieka elektryzowały pokolenie tem bardziej, że wyobrażał on prąd polityczny, który był niejako prądem wszystkich tajnych towarzystw, zwróconych przeciw staremu porządkowi. A wódz romantyzmu polskiego stawał się zwolna i politykiem, bo przecież filomatom nie chodziło chyba tylko o naukę. Wyrabiał się znów nowy typ poety, który miał być niszczycielem dawnego porządku, a prorokiem nowego. Ten poeta miał zapal cudotwórczy, wylatywał nad poziomy, niedostępne tępych oczom starca, którym był Śniadecki. Ten poeta radził natężyć w sobie wolę, sięgnął wzrokiem tam, gdzie kończy się władza zmysłów, wieścił świat ducha, który wejdzie nad martwością i nocą. Ten poeta był mistykiem, co wystarczało, by potępiono go w obozie starych.

Poezya uzupełniała krytykę, która szła za rewolucyjnym dążeniem epoki, ku odrodzeniu świata przez wewnętrzne odrodzenie jednostki. Poezya stwarzała osobny świat ducha, dla którego nie istniały cyrkiel, waga, miara; jej wódz był w widocznej sprzeczności z tem, co głosili przeniknięci sensualizmem pseudoklasycy; jej wódz podkreślał coraz bardziej i silniej swe stanowisko filozoficzne i polityczne. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro romantyzm nie był jedynie zagadnieniem estetycznym. Niema poezyi, głosiła pani de Staël, gdy niema poczucia nieskończoności. Uczucie, które stanowi główny pierwiastek poezyi, opiera się na wierze w nieśmiertelność i trwałość ducha nas ożywiającego. Doświadczenie obejmuje bowiem tylko sferę zmysłów, religia nie jest zaś despotyzmem dogmatów, ale czemś, co wznosi nas nad zmysły i zewnętrzność bytu. Religia mistyczna opiera się na doświadczeniu wewnętrznym serca, filozofowie i poeci idą właściwie do tego samego celu.¹⁾ Myśli Mickiewicza były dość

¹⁾ *Oeuvres complètes* de mad. la bar. de Staël-Holstein, T. II, str. 61.

bliskie tego nastroju, który stanowił treść poglądów słynnej romantyczki, tego idealizmu, który przepętniał zresztą poezję niemiecką, w której pograżył się romantyk polski. Poezya jego pod tem tchnieniem stawała się nie już wynikiem pracy rozumu, ale wyrazem idealistycznej świadomości wewnętrznej, uzmysłowionym tylko odpowiednio. Ze Mickiewicz i teraz jeszcze krył się ponieważ ze swymi poglądami, dowodzi jego komentarz do ulubionego mu poematu Trembeckiego, ¹⁾ w którym zachwalał zalety formalne poety, będącego jaskrawem przeciwieństwem tego, co czuli i myśleli romantycy. Jego smak estetyczny rozkoszował się artyzmem, dawał dowód głębokiej przedmiotowości i wielostronności, które są udziałem tylko jednostek.

Poprzedzał zresztą swój pierwszy zbiorek przedmową, która uzupełniała jego myśli poety i dowodziła dużej literackiej erudycji. Przemawiał w niej imieniem romantyków, wracał za Brodzińskim do tezy pani de Staël, że „za odmianą uczuć, charakteru, opinij narodowych zachodzi odmiana w samej poezyi, która najpewniejszym bywa znamieniem wiekowego usposobienia ludów.“ ²⁾ I słusznie zauważał, że sama poezya da się tylko wyrozumieć przez znajomość jej dziejów, poczem określał grecką, jako ludową i związaną ściśle z życiem narodu. Gdy zerwał się ten związek, poezya stała się zabawką i dopiero w wiekach średnich, jak głosiła pani de Staël, uczucia rycerskie i chrześcijańskie stały się znów podstawą twórczości. Nastąpił z kolei kompromis ze starożytnością, którą pojęto powierzchownie i zgodnie ze smakiem wielkiej stolicy. Salonowość, dowcip, konwencya, oto cechy odrodzonego aleksandrynizmu, który poezyą być przestał. Wreszcie dokonał się zwrot najpierw w Anglii, potem w Niemczech; pierwiastek narodowy wydobył się ostatecznie i, jak naród, nie da się zdusić żadnym zamachem. Prawidła estetycznie zmieniać się mogą, gdyż odpowiadają okolicznościom, które są zmienne. „Dla krytyków zaś, rozważających sztukę—wnioskuje Mickiewicz—nie tylko estetycznie, ale też historycznie, filozoficznie i moralnie wszystkie rodzaje zarówno uwagi godne będą, wszystkie są tworem ludzi, ze wszystkich wyczytujemy charakter rozmaicie wykształconego umysłu ludzkiego, a najwyraźniej z tych, które jedynie mają na celu człowieka, malują jego obyczaje i uczucia.“ ³⁾

¹⁾ *Pisma Stanisława Trembeckiego.* T. I, we Lwowie 1883, str. 18—43.

²⁾ *Pisma Adama Mickiewicza,* T. II, str. 61.

³⁾ Tamże, str. 87.

Przewodnikiem dla wodza romantyzmu była, jak dotąd zawsze, pani de Staël, ale uzupełniona, ale niejednokrotnie pogłębiona i wykończona. Zastanawiały zwięzłość i umiarkowanie, które były wyjątkowe w rozpoczynającym się przełomie. Nowe stanowisko było tylko wyraźniej rozwinięte i podkreślone. Szczególną uwagę zwracała brytanomania krytyka, który przodownika odnowienia upatrywał w Szekspirze, potem w Walter-Scocie i Byronie. Szła ona obok germanomanii, którą rozwinęła w nim pani de Staël, gdy pierwszą możnaby uważać za ślad wpływu Borowskiego. Nie było tu, rzecz charakterystyczna, nawet potępienia zasad sztuki, które są te same, co prawidła moralności. Więc i w przedmowie była odpowiedź Śniadeckiemu, który utożsamiał romantyzm z łamaniem prawideł i z wprowadzaniem dyabłów. Prawideł nie złamano, gdyż dawano tylko nowe rodzaje literaturze, ale dyabłów i wogóle istot nadprzyrodzonych nie brakło w pierwszym tomiku. Imponowała u romantyka znajomość greczyzny, którą ułatwił mu Groddeck, zorientowanie się w literaturach zawdzięczał on, jak Borowski, Bouterwekowi. Istniał też niewątpliwie związek między rozprawą Brodzińskiego a Mickiewicza. Obaj, jak zauważono, trzymają się historyi, obaj uderzają na francuszczyznę tymi samymi argumentami,¹⁾ ale Mickiewicz idzie dalej, gdy mówi o wiekach średnich, od których tamten odwracał się raczej, gdy nie odwołuje się, jak krytyk warszawski, do dawnej poezyi polskiej, ale jest cały zwrócony do przyszłości.

Bouterwek zwrócił jego uwagę na wieki średnie, utwierdził go na stanowisku krytyka historycznego, kazał pogardzić dziele niem na rodzaje i ocenianiem literatury wedle rodzaju. Tak z jednej strony Groddeck, z drugiej Bouterwek stali się niejako punktem wyjścia dla rozumowań poety, który nie przestawał zresztą, jak ten ostatni, podnosić, że ze zmianą czasu musi zmieniać się literatura.²⁾ W ten sposób dokonywało się zupełne zerwanie z francuszczyzną, sam poeta zbliżał się bezpośrednio do tych, którzy stawali się mistrzami romantyzmu, choć, jak Szekspir, a jeszcze bardziej Dante, byli oddzieleni od niego wiekami. Uderza także kult dla krytyki, który przejął również od Bouterweka,³⁾

¹⁾ *Pamiętnik Towarzystwa Literackiego* im. Ad. Mickiewicza, T. IV, Lwów 1890, str. 44—48.

²⁾ U Bouterweka, I Band, *Einleitung in die Geschichte der neueren Poesie und Beredsamkeit*, str. 2, die redende Kunst ist noch weit mehr als die bildende und tönende, von Zeit und Umständen abhängig.

³⁾ Tamże, str. 38.

który poeta chciałby widzieć i u nas, byle krytyka zmieniła swój dotychczasowy charakter. Gdy zaś te myśli były bądź co bądź szarą teorią, poezya coraz otwarciej pokazywała, dokąd zmierza nowy kierunek. Urzeczywistniała ten kierunek najpełniej, wchodziła na tory mistycyzmu, który stanowił odpowiedź nie tylko na docinki szubrawców, ale i uwagi Brodzińskiego. Zwłaszcza poemat w duchu pojęć ludowych solidaryzował się ze sprawą potępianej przez Śniadeckiego doktryny przez słowa Gustawa do księdza.¹⁾ Początki mistycyzmu, wyniesione z domu i otoczenia prawie ludowego wzmocnił w poecie romans pani Krüdener,²⁾ który stawał w obronie idei Swedenborga, potem czytanie mistyków, zwłaszcza w Petersburgu, i później, przed czem Brodziński cofnąłby się z przerażeniem.

I to była zapewne religia poety, którego cechowała obojętność dla praktyk religijnych, ale który w sercu wierzącym być nigdy nie przestał. Mistycyzm odpowiadał potrzebom jego cierpiącej duszy, zatrzymała się ona tedy na progu spekulacji, nim pograżyła się w niej później zupełnie. Prześladowanie kazało jej znów zapomnieć o sobie, ale spekulacja nieustawała tembardziej, że otoczył go nowy świat. Ten świat żył też myślą, uczuciem, sztuką; w tym świecie przodował też krytyk, podobny do Brodzińskiego, by zwiastować dobę romantyzmu. Polemika była też żywą w Rosyi, choć zamykała się głównie w zagadnieniach estetycznych. Chodziło w niej o wyzwolenie stylu, o budowę dramatu, gdy mistyka kryła się tylko w towarzystwach teozoficznych. Sam poeta żył wtędy raczej na zewnątrz, dawał się też unosić walcą, która, zwłaszcza w Paryżu, przybierała rozmiary nieoczekiwane. Stendhal ogłosił tam Szekspira za boga romantyzmu, potępił najostrzej naśladowanie pseudoklasyków, gdy Nodier kupił koło siebie młodych, raczej przeczuwających tylko, czego trzeba literaturze. Ich wódz stawał się coraz bardziej krańcowym i stanowczym, żądał już wolności w sztuce, łamał formy, rozwijał pomysły, olśniewające zwłaszcza wirtuozją formalną. Urzeczywistniał wreszcie formę dramatu, wołał o naturę, prawdę, życie w sztuce, która go dotąd nie miała.

Brytanomania i germanomania rozkwitały w istocie na dobre, każdy obóz miał swych zapaśników, a polemika bywała za-

¹⁾ Bronisław Chlebowski: *Idea, układ i artyzm „Dziadów“ kowieńskich Fragmentów pośmiertnych*. Warszawa, 1907, str. 6.

²⁾ *Le roman russe par Melchior de Vogué*. Paris 1886, str. 34.

palczywą i bezwzględna. W takiej chwili wystąpił i Mickiewicz z filipiką na tych, których wodzem wydał mu się mało samodzielny i bez znaczenia Dmochowski. We Francji widział dążenie do przeobrażenia literatury naprawdę, pragnienie stworzenia nowej formy dramatu, odnowienia krytyki, która, idąc za niemiecką, stała się objaśnianiem dzieł, a nie stosowaniem reguł ogólnych. Znajomość obcych literatur wzmagała się ciągle, pojęcie piękna rozszerzało się, gdy u nas liberalizm literacki, jak zwano popularnie nowy kierunek, nie miał ani krytyków, ani organu. Tam dał początek walce Hugo, tu wygnany wódz młodego pokolenia, którego sława przekraczała nawet granice kraju, którego przedrukowywano w każdej dzielnicy, a miano przedrukować wnet w Paryżu. I słusznie zżymał się Mickiewicz na brak krytyki u nas, gdy tam przedstawiali ją Villemain, Deschamps, Sainte-Beuve, sądził niewątpliwie słusznie, że jemu należało teraz przemówić.¹⁾ Na zarzuty krytyków przeciwnego obozu, Grzymały i Dmochowskiego, odpowiadał dumnie, że jego błędy są błędami największych, że przyczepianie się do drobiazgów, jest metodą gazeciarzy francuskich, których czciciele u nas widzą w Koźmianie wzór poety narodowego.

Pierwiastek osobisty wchodził tedy do ataku w mierze znacznej, uwydatniał się zaś tem jaskrawiej, że Koźmian otwartego udziału w boju nie brał. A dalej odsyłał Mickiewicz swych recenzentów za kresy kraju, gdzie objawów podobnej ciasnoty jest wiele, odwoływał się do sądu ogółu, który rozchwytaniem jego poezji już go chyba rozstrzygnął. Atak petersburski był tedy podobny do szyderstwa z nieprzyjaciela po zdobyciu jego szanieców. Ale były w nim i uwagi słuszne. Trzymanie się poetyki pseudoklasycznej uważał poeta słusznie za anachronizm, nie oszczędzał jej więc pogrzebowej posługi, jak określał swą filipikę. Uderzał jednak szacunek, z jakim mówił Mickiewicz o Niemcewiczu, którego uważał widocznie za najbliższego sobie duchem, poczem następowało ironizowanie tragedji klasycznej, która jest zbiorem morałów, ogólników, emfazy pokrajanej na dyalog, gładko wierszowany. Tak pisać mógł tylko poeta, który znał usiłowania na tem polu francuskie, w którego głowie świtała też myśl o stworzeniu historycznego dramatu. Taki poeta mógł też natrzasać się z krytyków, dla których końcem mądrości był La Harpe, gdy we Francji Villemain podkopywał zupełnie jego wartość; mógł dwo-

¹⁾ *Pisma A. Mickiewicza*. T. II, str. 91—20.

rować sobie z niezajomości starożytności w obozie pseudoklasy-
cznym, gdy jej prawdziwą twarz pokazał mu Groddeck. Taki
poeta mógł też szydzić z braku talentów u przeciwników, którzy
czerpali tylko od obcych, nie mieli indywidualnego stylu, chwalili
siebie wzajemnie, jak dobrze wychowane towarzystwo. I znów
zastanawiał szacunek, z jakim antagonistą pseudoklasyków mówił
o liberale Potockim, nie raziło szyderstwo, którem darzył bronio-
nego dziś przez Chmielowskiego Osińskiego.

Z dumą wywieszał wreszcie Mickiewicz sztandar krytyka
historycznego, gdyż znał mistrzów tego kierunku niemieckich
i francuskich. W ten sposób nawiązywała się łączność naszej
literatury z francuską i jej krytykiem Villemainem, który rozwijał
zresztą tylko życiodawczą tezę pani de Staël. Jego krytyka by-
ła istotnie wiedzą historyczną, wiedzą społeczną, historią cywili-
zacji ogólnej, czem chciał mieć też naszą krytykę Mickiewicz.
Nie na jego ataku polega też dziś wartość jego wystąpienia prze-
ciw krytykom i recenzentom warszawskim, ale na tem, co ono
ma w sobie pozytywnego. Ta krytyka wzrosła na głębokiej zna-
jomości starożytności, którą źle rozumiano; ta krytyka oparła się
też na znajomości średniowiecza, przeciw któremu Brodziński ży-
wił nieuzasadnione uprzedzenia. Mickiewicz jest niejako wszędzie
u siebie, wprowadza metodę porównawczą, która wyrwała nas
z zacofania i zastoju. Miała jego krytyka też żywość, której bra-
kło Borowskiemu, nie miała kompromisowości, która zepchnęła
Brodzińskiego z jego dominującego stanowiska. Atak nie minął
bez wrażenia, znalazł też odpor nie w obumierającym Wilnie,
ale w ruchliwej i kipiącej życiem Warszawie.

Nie mogło być bowiem inaczej, skoro tam kupiła się uny-
słowość ówczesna, której filarami było Towarzystwo Przyjaciół
Nauk i uniwersytet. Studya przyrodnicze pod wpływem Staszica,
studya historyczne pod działaniem Niemcewicza rozwijały się tu
dość rażno, a choć pseudoklasycyzm znajdował w Towarzystwie
naturalną opiekę, należał do grona niegdyś Ossoliński, należał te-
raz Brodziński. Jednym z pierwszych członków był Szaniawski,
który na początku wieku przemawiał nawet w obronie zaczepio-
nej przez obskurantów filozofii, zaczepiał sensualizm przeszłowie-
czny,¹⁾ mówił o wartości metafizyki, jako o owocu dręczących
rozum zagadnień.²⁾ Uznawał w człowieku zmysł wewnętrzy, łą-

¹⁾ *Co jest filozofia?* Przez J. K. Szaniawskiego, członka i sekretarza
T. W. P. N. W Warszawie 1802, str. 16.

²⁾ Tamże, str. 25.

czący nas z bóstwem, którego istnienia dowiodła nowsza filozofia, który wyzwoli nas z pod panowania doktryn dawno zarzuconych.¹⁾ Wymownie bronił chrześcijaństwa, jako systemu moralnego, jako mądrości ludzkiej, którą luźnie wiązał z wiarą w objawienia, którą radził nawet „na drodze rozumu dopełnić i uniezawodnić to ważne połączenie.“ Była to, jakby filozoficzna religia, która odpowiadała ówczesnemu nastrojowi inteligencji, by u młodzieży przybierać też kierunek idealistyczny i mistyczny. Nawet w Krakowie objawiała się dążność podobna, gdy Jaroński chwalił Kanta, co było zresztą nader zrozumiałem, gdyż mnóstwo młodzieży studyowało za granicą. Był on jednakże eklektykiem, metafizykę uznawał, ale granice zamierzał poznaniu określone. Szedł śladem Szaniawskiego, wskazywał także Chateaubrianda,²⁾ w którym widział najęźszego obrońcę chrześcijaństwa.

Tak zarysował się u nas prąd, który z krytyką literacką zrazu łączności nie miał, ale nawiązał ją, gdy poglądy pani de Staël poczęły popierać idealizm w literaturze. Jakiś ślad jego znać u Brodzińskiego, żywiej objawi się on na zgromadzeniach filomatów i wśród słuchaczy Gołuchowskiego, najżywiej u Mochackiego. Towarzystwo uczone, w którym królował Staszic, nie mogło być rozsądnikiem podobnych doktryn; zasiadał w niem też sceptyk Osiński z całą plejadą poetów, czytających arcysłabe płody. Uniwersytet, dzięki Potockiemu, miał wprowadzić ducha naukowego, ale dbał głównie o wychowanie urzędników, został opanowany w końcu przez reakcyę, którą wiedli Szaniawski i Nowosilcow. Filozofię wykładano tu umyślnie po łacinie, młodzież, nie widząc w swych profesorach mężów nauki, rzuciła się do polityki i spiskowała mniej lub więcej tajnie. Wtedy Szaniawski nie wahał się głosić, że nawet fizyka, obca religijnemu przeświadczeniu, może być szkodliwą, że „filozofia, od ducha pobożności odosabiająca się, nie będzie wskazywać uczuciom owej nieprzystępnej granicy, u których ustaje władza pewniejszych dociekań człowieka, a wchodzi konieczność żywej wiary razem z potrzebą światła prawd objawionych.“³⁾ Filozofia może stać się nawet zgubnym manowcem, władza dozorcza musi być tedy lekarstwem

1) *System chrystyanizmu krótko wyłożony* przez J. K. Szaniawskiego, członka i sekretarza T. W. P. N. Warszawa 1803, str. 53.

2) *O filozofii*, przez Feliksa Jarońskiego. W Krakowie 1812, str. 88.

3) Józef Bieliński: *Królewski Uniwersytet Warszawski* (1816—1831). T. I. Warszawa, 1907, str. 153.

na wybryki, od których, zwłaszcza literaturę polityczną, powstrzymał Szaniawski cenzurą i prześladowaniami.

Czasopiśmiennictwo szło dotąd torem dawnym i nie oddziaływało zbyt budząco ani informacyjami, ani artykułami, które byłyby echem krytyki zachodniej. Stały się one szrankami zapasów literackich dopiero na lat kilka przed powstaniem. Napływ sił nowych nie ożywił ich zbyt, choć rozumiano dobrze znaczenie tego rodzaju literatury. Wileńskie były niewątpliwie żywotniejsze; na liczbę przecież prasa literacka dźwigała się stopniowo, zwłaszcza, po ukazaniu się znanej rozprawy Brodzińskiego. Na jej czele wypadałoby postawić roczniki uczonego towarzystwa, które było czas długi arką nauki. Tutaj Potocki wygłaszał piękną pochwałę zasług dla oświaty Czackiego,¹⁾ Łubieński sławił patriotyzm Albertrandiego.²⁾ Tarnowski wykazywał wpływ literatur wschodnich na zachodnie,³⁾ Staszic charakteryzował miłość wiedzy Potockiego,⁴⁾ Skarbek prawił wymownie o Czartoryskiego wszechstronności i zapale naukowym.⁵⁾ Pewna świeżość wiała z przemówień Brodzińskiego i Lelewela, choć ze współczesnym ruchem idei związku one nie miały, skoro pierwszy określał elegię i satyrę,⁶⁾ drugi zajmował się historycznymi poglądami Naruszewicza i Czackiego.⁷⁾ Niemcewicz zauważał przecież, że w literaturze zapanował jakiś zastój.⁸⁾ Nie starano się jednak nawiązać stosunków z tem, co wrzało życiem, skoro w dobie największego rozwoju romantyzmu rozprawiano najspokojniej o dziełach i życiu Ossolińskiego.⁹⁾

Zaśniedziałość zasad literackich stała się naprawdę przykrą, skoro w latach wystąpienia Mickiewicza zachwycano się bezduszną muzą Kruszyńskiego, gdy za młodych a godnych uznania, uważano Dmochowskiego, Witwickiego, Korzeniowskiego, Bronikowskiego, Wójcickiego.¹⁰⁾ Więcej życia było w czasopiśmie, które

¹⁾ *Roczniki Tow. Król. Przyjaciół Nauk.* T. XII, 1818, str. 267.

²⁾ Tamże, T. XIII, 1819, str. 10.

³⁾ Tamże, str. 357.

⁴⁾ Tamże, T. XVIII, 1825, str. 84—132.

⁵⁾ Tamże, str. 254—285.

⁶⁾ Tamże, T. XVI, 1823, str. 83—95 i 233—286.

⁷⁾ Tamże, T. XII, 1827, str. 156—227.

⁸⁾ Tamże, T. XX, 1828, str. 7.

⁹⁾ Tamże, T. XXI, 1830, str. 67—90.

¹⁰⁾ *Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk*, 1800—1832, monografie historyczne Al. Kraushara. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. Kraków-Warszawa, 1905, str. 2 i 365—366.

istniało właściwie od zarania wieku i stanowiło na razie nad Wisłą jedyny organ literacki. Z poetów występował w niem Brodziński, którego ciepła sielskość, zamiłowanie swojskie zdobywały się na twory udatne, choć całkiem refleksyjnego charakteru. Ubolewał w nich obrońca narodowości, że język psuje nam francuszczyzna, że

Myśl w sekwańskim ubiorze, pióro w polskim chodzi,
Mało w pełnej Polsce polskiego się rodzi, ¹⁾

co mogło nieco obrażać pseudoklasyków, z których uwielbiany ogólnie Koźmian wykuwał w pocie czoła sławione na lat wiele przed urodzeniem arcydzieło. I w poezji patriotycznej nie wznosił się Brodziński wyżej, tłumaczył zresztą dużo z poezyj słowiańskich. Z innych, ujmowali w rymy swe myśli, bezbarwny i próbujący wszelkich rodzajów Tymowski, który zręcznie wyśmiewał rozpierający się wszędzie, a więc i u nas, na niekorzyść pseudoklasycznej tragedyi, melodramat. Miał tu zupełną słuszność, gdy ośmieszał ten rodzaj, słynny z brutalnej patetyczności, nadzwyczajności intrygi, trywialności stylu, który poprzedzał zresztą dramat romantyczny. Woń świeżości wniosły dopiero dumki Zaleskiego, z obcych ukazywali się w wyjątkach Schiller, Ossyan, Byron, Scott, Moore, Lamartine.

Dział krytyki przedstawiał się więcej imponująco, gdyż Brodziński umieszczał nieustannie swe myśli o duchu poezji polskiej, przestrzegając przed obłąkaniami metafizyki niemieckiej, nawołując do strzeżenia czystości ducha narodowego, zagrożonego ze wsząd obcymi wpływami. Pomagał mu w tem usiłowaniu obeznany z niemiecką estetyką Sulzera Królikowski, który nie tylko zajął się sprawą rytmiki i rymem męskim, ale kruszył też kopię o narodowość w literaturze. „Chcemy być użyteczni Polacy dla Polaków — mówił z godnym podziwu zapałem — dla naszych obyczajów, dla naszych obrzędów, naszego ducha, sposobu myślenia i narodowości; chcemy przemawiać do serca polskiego, kształcić jego własny, ale nie grecki, rzymski, angielski, niemiecki ani francuski umysł; chcemy wznosić nasz tylko geniusz, wzbudzać albo poskramiać namiętności nam właściwe, powstawać przeciw naszym przesądom; chcemy nakoniec mową naszą torować sobie

¹⁾ *Pamiętnik warszawski*, czyli dziennik nauk i umiejętności. Rok 1818. T. XII, str. 420.

przez ucho polskie drogę do serca Polaka.“¹⁾ Gdy Śniadecki wystąpił z swym pamfletem na romantyzm, Brodziński odparł go przetłómaczonym z genewskiego czasopisma artykułem w duchu pani de Staël i ostrzegał usilnie przed naśladowaniem Niemców. I znów kładł nacisk na potrzebę demokratyzmu i ludowości w literaturze,²⁾ gdy jakiś bezimienny poparł jego uwagi i ubolewał, że powaga Śniadeckiego może wielu wprowadzić w błąd. Przechylił, jakoby w poezyi romantycznej duchy były jedynym efektem; stwierdzał upadek teatru w literaturze francuskiej, którą Śniadecki poczytywał za wzorową. Zimny, matematyczny rozsądek nie może sądzić poezyi, która nie odrzuca zresztą zasad tworzenia. „Nie przez płochość, nie przez upór, ani chęć oryginalności romantyczność zrodziła się. Powstała ona z serca ludzkiego, równie jak wszystkie inne na świecie bądź w naukach, bądź w moralności odmiany... Chcieć więc romantyczność wysmiewać, jest chcieć wysmiewać charakter narodowy, który, chociażby nie był godnym zalety, jako dzieło nie ludzi, lecz samego przyrodzenia, ludziom wyrzucać i na urągowisko wystawiać, jest to nierozsądkiem i rzeczą godną pogardy.“³⁾

Jest romantyczność, tłómaczył jej zwolennik, zwrotem do przeszłości, skłonnością do wiary, co popierał i sam Brodziński, utrzymujący bez zastrzeżeń, że „piękna literatura, jeżeli ją w całym znaczeniu słowa pojmiemy, ustalać powinna moralne istnienie narodu, ożywiać ducha synów jego, na niej polega usposobienie serca i duszy.“⁴⁾ Energicznie domagał się jednak, by nie wykluczano z niej filozofii, by jej postęp dokonywał się na tle rozwoju myśli i odrębności narodowej. Ideałem krytyka był dla niego Herder,⁵⁾ ideał literatury widział w ludzkości, co głosiła również pani de Staël. Łagodność, powtarzał, jest cechą słowiańską, choć nie wyklucza ona uporczywego trzymania się obyczajów narodowych po przebyciu srogich doświadczeń, nie uważa za stosowne lekceważyć literaturę narodową.⁶⁾ Nawet Villemain, mający królować w krytyce pierwszej połowy wieku, znalazł uznanie, co dowodziło, że organ warszawski szedł z prądem czasu i zaznajamiał czytelników z tym, który rozwijał tylko uznane

1) Tamże, T. XIV, str. 30—31.

2) Tamże, str. 474.

3) Tamże, T. XIV, str. 474.

4) Tamże, 1820, T. XVI, str. 20.

5) Tamże, str. 208.

6) Tamże, T. XVII, str. 71.

ogólnie poglądy i żywo, swobodnie, subtelnie wykazywał potrzebę beznamiętności, poczucia moralnego, delikatnego a bezstronnego smaku w krytyce, tak pedantycznie dotąd traktowanej.¹⁾ Krytyk polski uznawał również, że reguły nie mogą pętać geniusza, bał się tylko wybryków przeciw moralności, nadmiaru miłości własnej w twórcach. Odwracał się od wieków średnich, które wywoływały właśnie zachwyty romantyków, bał się jednostronności, która rodzi przesady i fanatyzm.²⁾ Musimy, mówił, wzrastać dziś w oświatę i godność, wzmacniać się, jak w Grecyi, w jedności smaku.³⁾ I za organ narodowy uważał wogóle czasopismo, które jest jakby wolną obradą sejmową, strzegącą czystości języka, budzącą myśl, czuwającą nad moralnością.

W organie tak liberalnym, jakim było właśnie czasopismo, podpisywane wreszcie przez Brodzińskiego, znalazł się i artykuł, zapożyczony z niemieckiego, o Byronie. Stwierdzano w nim upadek literackiego suprematu Francyi, zbliżenie się twórczości do natury, co ułatwiła głównie pani de Staël. Następca Bentkowskiego w redakcyi czasopisma wykladał nawet wierszem swe poglądy, w których pragnął, jak zawsze, by szukano w sercu natchnienia i zalecał samodzielność. Mówił, że

Na jakiej ziemi, z jakim ludem żyjem razem.
 Takiego twoje pienia niech będą obrazem.
 Niechaj inni śpiewają arkadyjskie gaje,
 Krwawe brzegi Skamandru i Saturna kraje,
 Ty, ceniąc wszędzie piękność, własną maluj ziemię,
 Spólne w czuciu, w przygodach i zwyczajach plenię,
 Zagrodę, gdzie młodości przekwitły ci lata,
 Za którą wszystkie rzeki zboczył krwią Sarmata.
 Na której złożysz kiedyś usniezoną głowę,
 Która grób twój umai w gałązki świerkowe,⁴⁾

czego wzory dali Krasicki i Niemcewicz. Był to program nieco ogólnikowy, streszczał w sobie jednak poglądy pokolenia, które stało na przełomie od zaślepionego w swym uporze pseudoklasycyzmu do nawskroś indywidualnego romantyzmu. Pokolenie to wyobrażał nie tylko Brodziński, wyobrażał je też jego uczeń,

¹⁾ Tamże, str. 447.

²⁾ Tamże, str. 324—342.

³⁾ Tamże, str. 454.

⁴⁾ Tamże, 1821, T. XX, str. 183.

Dmochowski, z całym szeregiem ludzi, przeciwnych wyłącznemu panowaniu francuzczyzny, bojących się przecież i niemczyzny, jak nazywano wtedy długo jeszcze program, rysujący się nader niewyraźnie.

Pokolenie to będzie miało swój głos, zwłaszcza w czwartym i piątym dziesiątku wieku, na razie wystąpi zaś w jego imieniu syn głośnego teoretyka pseudoklasycyzmu, Dmochowski. ¹⁾ Postąpił on istotnie lojalnie, gdy odpowiedź swą Mickiewiczowi poprzedził najpierw przedmowami, w których stwierdził u wodza romantyzmu lekceważenie dwóch ostatnich okresów literatury, następnie zbytek miłości własnej i umyślne przeinaczenie myśli recenzentów. By wyświecić położenie, przedrukował swe recenzje z czasopisma przez siebie wydawanego, stanął także w obronie własnego ojca, którego zasługi znane były ogólnie. W dalszym ciągu umieścił całą polemikę Mickiewicza, którą opatrzył własnymi uwagami i uzupełnił odpowiedzią. Protestował w niej przeciw zarzutowi, jakoby chciał oceniać dzieła po szkolnemu; zaznaczał, że w ocenie sonetów przeciwnika wytknął może uchybienia stylu, ale podniósł wysoko ich wartość. Sądził, że Mickiewicz pominał właśnie te zarzuty przeciw stylowi, że bronił niewłaściwie wyrażenń prowincjonalnych i orientalnych, których użycie ganił Dmochowski jako grzech przeciw czystości narodowego języka. „Chylat, jest to suknia honorowa — ostrzegał bez ironii — którą sułtan ozdabia wielkich urzędników państwa. Jakaż więc analogia zachodzi między tym urzędowym strojem a mgłą, która z fizycznych przyczyn prawie co rano górę zasłania? Jestże więc właściwym w tem miejscu wyraz chylat? czyliż polski wyraz zasłona, pokrycie, lub inny, któryby poeta lepiej niż ja mógł dobrać, nie był stosowniejszym?“¹⁾ Krytyka ma zaś prawo zastanawiać się nad stylem, którego usterek nie okupi natchnienie, jak głoszą gazeciarze. Treść ma wprawdzie pierwszeństwo przed formą, ale harmonia między niemi być musi, gdyż nie chodzi tu o dzieło czystej inteligencji, ale o płód wyobraźni i uczucia.

Mickiewicz stawia siebie, zdaniem Dmochowskiego, obok największych, krytyków mianuje szkolarzami. Czy jednak geniusze wschodzą tak często? Geniusze wywołują naśladowców,

¹⁾ *Odpowiedź na pismo P. Mickiewicza o krytykach i recenzentach warszawskich*, obejmująca tekst P. Mickiewicza z uwagami krytycznymi i obraz dążności literatów polskich od panowania Stanisława Augusta aż do naszych czasów, przez F. S. Dmochowskiego (syna). W Warszawie, 1829, str. 63.

co widać i dzisiaj; prawdziwa zdolność, którą był choćby Alfieri, może i w starej formie nową treść zamknąć. Po tej słusznej uwadze dodawał Dmochowski z naciskiem, że Warszawa nie otacza się kordonem zdrowia, że jej organa literackie nie pomijały lekceważąco nowych idei, że Brodziński cieszy się w niej uznaniem, choć „w pismach swoich nie postępował tak, jak zagorzała mierność za czasów naszych postępuje.“¹⁾ Wskazywał, że nie brak u nas dążności do postępu, choć jest szkoła, ceniąca rozsądek, wzniosłość, piękność, a nie urągająca, jak to czyni Mickiewicz, przeszłości. I w zapale walki wywoływał obrońca jej, cienie tych, którzy nie mieli już nic wspólnego z walką, przypominał, czego dokonała inteligencja stolicy w chwili, gdy wszystko runęło. Poruszał wszystkich przeciw romantyzmowi, zaznaczał nie bez słuszności, że literatura miała do niedawna cele wyłącznie praktyczne, w których sympatyje francuskie miały swe źródło głębsze i pokrewne ogólnym dążeniom. Zauważał z dumą, że jego ojciec dokonał najwięcej dla obrony narodowości i języka, dla wykształcenia i uszlachetnienia stylu, co nie każe takim zasługom ubliżać tem bardziej, że określił je wyczerpująco najwybitniejszy krytyk starej szkoły, Osiński. Mickiewicz chce zaś, by zaznajamiano ogół z teorią Wolffa, gdy ogół nawet Homera nie znał. Powinien spróbować pracy na tem polu; jeżeli zaś chwali krytykę porównawczą Villemaina, musi pamiętać, że wyszedłby źle sam, gdyby go porównano z zachodnimi wielkościami.

Jeżeli ostrą w tonie była polemika Mickiewicza, jego przeciwnik dowiódł, że brakło mu odczucia wielkości geniusza, którego zarzuty miał odeprzeć. Między nim a romantykami był mur uprzedzeń, który i Mickiewiczowi nie dozwalał widzieć jasno i sądzić sprawiedliwie. Przywiązanie do starych form kryło się znów u Dmochowskiego pod pozorami dbałości o język. Nie był zaś w stanie zrozumieć, że język jego pokolenia miał jasność, szlachetność, harmonijność, ale nie miał nic, co działałoby na zmysły, nie posiadał samorodności, bezpośredniości, zakroju indywidualnego. Naginał się do odcieni konwersacyjnych satyry, miał wdzięk i zwieżłość w bajce, celował wzniosłością i dźwięcznością w tragedji, ale nie cechowały go, z wyjątkiem może Trembeckiego, dawna dosadność i obfitość wyrażeń dwóch pierwszych wieków literatury. Zyskał na dworności, jak nazwanoby ten objaw za czasów Reja, stracił na mocy i malowniczości, nad którą z potem

1) Tamże, str. 75.

czoła pracował w swym filozoficznym poemacie pozbawiony zmysłu artystycznego Staszic albo pracowicie wykuwający swe ryiny, ale ciężki i niepoetyczny Koźmian.

I tu nie bez znaczenia był napływ świeżych żywiołów do narodowego organizmu, które z życiem salonów związku nie miały, a pojęcie o poezji czerpały z bezpośredniego zetknięcia się z arcydziełami nowej szkoły angielskimi i niemieckimi, naiwność i prostotę ze sfery wiejskiej, w której się rozwinęły. Takim żywiołem byli filomaci, których wódz idzie zrazu śladem ogólnie cenionego w starszem pokoleniu Voltaire'a, ale prędko otrząsa się z zależności, by stworzyć język, który nie jest tylko organem rozumu. Burze serca, starcia namiętności, kaprysy fantazyi potrzebowały innego języka, układały słowa nie wedle ich funkcji logicznej, szły w budowie zdań za ruchem uczucia, które było nieobliczalne. Nie gardzili filomaci nawet prowincjonalizmami białoruskimi, szukali wszędzie zwrotów wyrazistych, nie cofali się przed opisem bezpośrednim wrażeń, przed wyrażeniem najbardziej oryginalnem i nieprzewidzianem. Mieli pod tym względem wzór do naśladowania w tym, którego chwalił właśnie za szlachetność i nowość języka Mickiewicz.

Romantyk wileński mówił, że styl Trembeckiego wypłynął z mowy ojczystej w chwili, gdy naśladowanie ujednostajniło wszystko, gdy sztuka stała się igraszką formalną,¹⁾ sam też szedł w jego ślady, aż przywrócił językowi dawną barwność i świetność. Tej zasługi nie uznawał Dmochowski. Chateaubriand, którego czytuje Mickiewicz z Marylą, dał też hasło do odmiany stylu, do archaizowania nawet, jak to uczyni i Mickiewicz, piszący poemat o litewskiej bohaterce i wczytany w kronikę Strykowskiego. Znikły ogólnikowości i omówienia, od których roiły się pewnie powiastki w stylu Voltaire'a o Mieszku i pani Anieli, oraz inne próby humoru litewskiego pogromcy pseudoklasyków. Interesującym byłoby studyum tych prób, nadających się raczej do organu szubrawców pod względem językowym, chwytnie cech i odcieni, które lekceważyli przedstawiciele starej szkoły. Nie było tu idealizacji niby bardzo szlachetnej, a w istocie oderwanej i jednostajnej, dzięki której język utracił wszelką moc i plastykę, zerwał wszelką łączność z dawnym. Gdy uwzględni się wielkość zasługi Mickiewicza, jego odczytanie, dążności reformatorskie, cia-

¹⁾ *Pamiętnik literacki* z r. 1908. Zeszyt I i II. Lwów, 1908, str. 77—78.

²⁾ *Pisma Stanisława Trembeckiego*, T. I, str. 18—43.

snota i zacofanie Dmochowskiego uwydatnią się w pełnem świetle. Nie znaczy to przecież, by i Mickiewicz miał słuszność w ocenie tego, co robiło się w Warszawie. Wiele stron jej działalności wymykało się z pod jego oka obserwatora, który może przez ucznia chciał osiągnąć całkiem niezasłużenie mistrza. Jeżeli tak było istotnie, pocisk był za silny, a wiadomo ogólnie, że w drezdeńskich *Dziadach* nie oszczędził też Mickiewicz Brodzińskiego z powodu jego charakterystyki narodu, znanej sobie z krytyk, z powodu jego zamiłowania do sielanki, mającej być ulubionym rodzajem poezyi słowiańskiej.

D-R TADEUSZ GRABOWSKI.

POLSZCZYŻNA NA GÓRNYCH WĘGRZECH

i Stosunki polsko-słowackie.

II.

Przypatrzmy się atoli jeszcze innym gwarom „uziemia“ wschodniego nieco bliżej. Oto próby niektórych innych gwar:

Z żupaństwa szaryskiego. Lubotin: „Buł jeden mlinar a buł barz hudobni, nie mał co jesc. Raz uzoł ribi łapac z łtopcom. Jak wele uż mali, ta sie łtopec pita mlinara: pri czem uwari ribi? A mlinar hwaril, że tam klocik dolu wodu idze, żebi ho wicahati...“ Kapusciany: „Buł jeden hudobni człowiek i zo ženu. Wołał sie Paweł. Zlehła mu žena, nie mał mu chto wesłužit. Powedzeł że-nie: Weznień dziecko a pojdzem sami do kersta...“ Hanuszowce: „Kied ja buł eszczi mładi, ta w Hanuszowcach beła welka powodz. Zabrało welo chiži.¹⁾ Ta sie stało, ze jednu chižu obstała woda. A w tej chiži buł dzewic ludzi. Z tich dzeweczech ludzi rekie sie potopili, tem jedna baba z nich weszła...“ Z żupaństwa abaújeckiego. Gecz: „Dze buło, tam buło, w siedmorackim kraju. Tam buł pluny²⁾ rok. Buli tam dwa hawrani,³⁾ samica zo samcem. Mali dwoje młade, tu nie mohli ich wihowac. Samec powiadał: Idzem do druheho kraju, jak je tam urodzaj, tam lepsi wiżijemi, jak tu. I on poszoł. Samica została z tima dwoma młademe tam...“ Seczowice: „Buł jeden legiń. Won sie scel że-nic. Trafiła mu sie taka žena, co mała swoja chiża, aj dadaszczek⁴⁾ ziemi, aj matku pri sebe. Legiń sie z niu ożenił. Oni žili

¹⁾ Chiża = chata. ²⁾ Pluny = nieurodzajny, brzydki. Wyraz znajduje się również w gwarze podhalskiej. ³⁾ Hawran = gawron. ⁴⁾ Kawaleczek.

jedno czteri albo pejć roki widno, ale barz pluno uzło, bo pre matku sie nie mohuł obstac...“ Humenne: „Jeden ocec poszoł do karczini. Sin za nim priszoł i tam sie powadzili, bo ten sin barz podło robił. Tak ocec ho napominał: Sinu, nie dobre robisz...“ Wranowo: „Mał turecki cesar jednu jedenu diūku, chtorej pari nie buło na całim swece. Co alie sie stało? Princessa jednu nocu prepadła. Dał turecki cesar mudercoch pozwołowac, żebi mu powedzeli, chto princessu ukrad?...“ Udawskie: „I szli furmani, wezli rebe a tam jedna liszka buła pod bukom, co sie nie ruszała, tak woni toti rebare powedali: Weźmme ju, to ju udrime, tak budzem z niej mac skurku. A wecej woni ju położyli na woz tam ku tem rebom. Liszka buła żywa, tak ona te rebe pounosięła sebe po jednej pod buku...“ Papen: „Buł jeden hudobni szlowek, ta mał wele dzieci, ta nie znał juh jak hudowac, bo chleba nie miał. Tak won sobo pitał od Boha jedne huślie takie, jak zahra, żebi dzecko zapomnuło, że je tuczno, a żebi každi tancował jak jich oczuje...“ Dłuhe na Cirochu: „Būł jeden cigan, ta un furt chodził na faru gu panuj kliebanu pūtac almużnu, alie panu kliebanu sie zmerziło już telio dawac, to mu hwareł: „Przez co ti cigan nie robisz, sobti si mał na wiżiwnosc, ta bi si nie musieł almużnu pūtac.“ A cigan poweda: „Moja familia nie robiła, aki ja nie budu...“ Sobranice: „Boŕ jeden kral, maŕ lem jednoho sina, a tot, ked maŕ už dwanac, trinac roki, maŕ rozum, że jak žie na swece, wiszoŕ na dwor, a popatriŕ hore do nieba: tam sie mu ukazala szibeŕ, jak na znak, że w žiciu dostanie szibeŕ. Wun (także: ũun, un, won, ũon, on) z toho zastuneŕ, tu sebe podumau, że poka occa haŕba mu budze, lekŕ smerć dostac...“ Sobranskie Komarowice: „Raz buł jeden stari kral, a wun ogdował, tu sebe wziął jednu szumnu mładu ženu. A teta žena ho nie barz rada mała. Raz ũ noci sie jej przesnił jedno szumni mladzienec jaž z druheho kraju, jednoho kralu sin szumni buł a sie polubili ũ śnie...“ Bezowice: „Boŕ, dze nie boŕ, boŕ jeden chudobni czliwew, zo ¹⁾ polie nikoho buwaŕ u nigdze waroszu. A ten chudobni czliwew maŕ siedzem dzieci, szejs chłopcø a siedzme dzeucze. Tomu dzeŕczetowi buło meno Hanusza, a najstarszømu chłopcø buło meno Janko...“

Powyższe przykłady gwarowe sprawdzają, że na Słowaczyźnie, w szczególności wschodniej, prawie każda większa osada posiada swoje właściwe narzecze lub podrzecze.

¹⁾ Co.

Ruskie gwary północnych Węgier przedstawiają różnorodność podobną i nie małe poplątanie gwarowe. W szczególności zachodzi znaczna różnica między gwarami terytorjum zamieszkałego wyłącznie przez ruską ludność, mianowicie w żupaństwach: Bereg, Ugocza i Marmorosz; a gwarami na tak zwanem „uziemiu mieszanem,” w żupaństwach: spiskiem, szaryskiem, abaŭjeckiem, ziemlińskiem i ũngskiem. Na tem „uziemiu“ panuje nadzwyczajne zamieszanie językowe. Gwary ruskie tworzą tu przejście z małoruszczyzny do języka polskiego i słowackiego, a jako takie przepojone są właściwościami obydwóch języków ze znaczną przewagą polszczyzny.

Oto próby ruskich gwar z „mieszanego uziemia:

Niżne Repasze: „Bili dwa bratowe, jeden bił bohatij a druhtij bił chudobnij. Tot chudobnij nie mohoł uż sobi niejakej radi dati. Żena ho wŭprawiŭa ku worožcom, žebŭ ho prosiŭ, czom je takij chudobnij, a czom brat jeho bohatij...” Domance: „Buło de nebuło u jednim warozu¹⁾ buł jeden sklepar bohati. Jeden chudobne czełowik do nioho mitłe noseŭ kołe sam hoden buŭ. A koli nehoden boŭ sam: miaŭ jednu diwoczku dwanaccet rocznu—to ta ponesa do nioho mitłe. Tot sklepar widiŭ, że diwoczka candrawa i podarowaŭ juj na szatia desjatku...” Strojna: „I szoŭ czernec z monastorja. Perechodiŭ u druhej monasteryj böwati s sobu nijake gazdŭnstwo ne braŭ, ta jeno kneżeczku űzjaŭ pod plecze. I tam u nieho to buło szetko gazdŭnstwo. I szo polie wodi, uwidiŭ, szto woda umileła hroszi. I kaze: Adde²⁾ smirt i hrech! Na oto rŭzbtŭjniki słuchali i wŭn ne znaŭ zo rŭzbtŭjniki, szto tam sut...”³⁾ Z okolic Bardyjowa:⁴⁾

Musiła ty, Najsto, w dolinu smotriti,
Ze ti ne widiła za koho masz piti,
Musiła Nasticzka towdy zadremati,
Ze ona ne znała komu ruku dati.

i: Chweje sia werba, chweje,
Od werchu do koreni;
Bere se Mariza, bere
Od otca do macery.

i: Bystra jak serna biżet djewica,
Ma sini oczi, rumeni lica!
Pod Makowinou strelci stojali,
Baški czarownij hołos słuchali.
K strelcam prechodet, skromno skazała:
Szczestja daj Boże! dołu biżała.

¹⁾ Warosz z magyarskiego = miasto. ²⁾ Patrz. ³⁾ D-r Czambel. ⁴⁾ D-r Janota.

Jeżeli tym gwarom przeciwstawimy niektóre narzecza ludowe z ziem polskich, zobaczymy, iż one o mało co bliższe od polskiego języka piśmiennego lub też równie od niego oddalone, jak gwary słowackie i ruskie na „mieszanem uziemiu.“

Ślązk austryacki: 1) Istebka: „Dawnieńsich czasow między granicami uherskom, szlonskom a polskom bywali zbójnice, kierzi mieli komendanta pod mianem Proczpak. Ci zbójnicy szkodzili najwięcel salaszóm, kterich mócki między temi granicami sie widziało, a aż pocziszka sie widzi...“ Jabłonków:

W Jabłonkowie som Jackowie
Rozumiejom różnej mowie.

„W Jabłonkowie przidzie do nich Czech, przide tam trech: taki ho strejcem przywitaje. Przidzie Polak, zowiom go panem, przyjdzie Słowak zhoworaju sa z nim po naszymu. Poradzom se Jabłonkowanie z rozmaitemi narodani, nie potrzebujom nigdzie po tłumacza posyłać, a przez to oświadczajom, że som w okolicznem zgromadzeniu narodow prawi słowanie.“ Grodek na Groniu, pod Jabłonkowem: „Jech szew z dziedziny do domu, a tem chodniku widziaw taki łogień latać. To bywo o taki wielki grupie... Że jech swysiaw łod mojej gaździny, że jej macierze łociec to jeż z Mostów przy Jabłonkowie, że byw łowciarem...“ Nawsie: „Miaw mynarz cerem do wydaju. Tak potym rozeswaw po wszyćkich dziedzinach, gdo ma chęć, coby prziszew...“ Sucha Postrzednia: „Raz był pón, a mał jednom cere, a była tag jego pani na niem podana. Tak mu potym pani umrzyła, a on se zaś chciał takim paniom wyhledać, jak te pierwsza byla.“

Galicya: Z okolic Andrychowa: 2) „W pewnej wiosce niedaleko dwora miskoł goral, ktoro miał se chałpko, 3) jedno krowo. Roz posł a krowo goralu do panski końcony. Jak pon użroł krowo we swoji końconie, wzion duży noz i zabił goralowi krowo...“

Z Podhala i Tatr: 4)

Sabała zašpywał, Giewont mu łodpedzał,
Bo łon jeden jino myśli jego wiedział.

1) Lucyan Malinowski: „Powieści ludu polskiego na Ślązku.“ Mat. antrop.-archeolog. i etnograficzne t. I. Wyd. Akad. Umiejętn. Kraków.

2) Szynon Gonel: „Opowieści ludu polskiego z okolic Andrychowa.“

3) W gwarze tej brzmią samogłoski nosowe jako *o*, niekiedy tylko z odgłosem spółgłoski nosowej *m* lub *n = o*.

4) Snopka: „Materiały do etnografii Podhala.“ Mat. antrop., archeol. i etnograficzne, t. 10.

Łapali Sabałe, oj, po zielonych bukak,

Ale sa wybronił, miał sykyrku w rukach.

Albo: „Pan leśnicki wycykowali w Sucho gorze po kilka sztuk drzewa, no i łłopi sie ůozešli po lesie z sykyrami i Suwada ze Suchej gory. Ale ůon se ůostał na boku, no i zacina rombac to drzewo, juz stuka, a tu sum straszny w drzewie, jakby tam pieniądze suwały...” Albo w Wielkopolsce: pod Pleszewem: kuń (koń), zmyśluny (zmyślony); koło Śremu i Poznania: pelnik (pilnik), peła (piła); koło Szamotuł i Wielenia: reba (ryba), sen (syn), piekne (piękny), byle i bele (były); w południowych powiatach: beńde i bede (będe); koło Kukła: wądka (wędka), mądrzec (mędrzec); koło Babimostu i Pleszewa: gałunzka (gałazka), guńś (geś), porumbać (porąbać); koło Sierakowa: gnunk (wnuk); inkszy (inszy), drokszy (droższy); koło Poznania i Gniezna: legki (lekki), męgki (miękki); koło Piły i w Prusach Zachodnich: then (ten), tha (ta), tho (to), thokarz (tokarz), thonie (tonie), khto (kto), khleb (chleb); koło Śremu i Szmigła: falec (chwalec), falić (chwalić); koło Rogoźna i Wągrowca: kromać (chromać); koło Wielunia: zmieni (zmięli), zgion (zgiął); koło Kościana, Wschowy i Grodziska: kciou (chciał), wstań (wstał), także: kciou i wstań — przyszwy i przyszni (przyszły); koło Odolanowa, Ostrzeszewa i Pleszewa: ůozka (łyżka), ůozwa (łyżwa), ůawa (ława); w południowych powiatach mówią: chop i chup (chłop), pot i pout (płot); koło Środy, Śremu i Kościan: rzęsity (rzęsisty), mglity (mglisty), kropłity (kroplisty), krwity (krwisty)—mówią też: letę (lece) i poletą, przyletę (poleca, przylece); koło Wielenia: tşzorny (czarny); koło Margonina: trzkać (czekać), także trzkać, otczy (oczy); koło Piły i Wyrzysk: stłup (słup), stkło (szkło), gdowa (wdowa), gnuk (wnuk), wogiń (ogień), wörzech (orzech), osnoba (osnowa), siejstra (siostra), miętła (miotła), cietka (ciotka), ciesać (ciosać); koło Śremu i Poznania: falec (chwalec), falić (chwalić), ślidź (śledź), midź (miedź), minie (mienie), ucik (uciekł); koło Śremu i Jaroszyna: domać (dumać), domny (dumny); w południowych powiatach: zalety (zality), piero (pióro), przepierka, chwelewy, beńde i bede (będe); pod Rawiczem i Krotoszynem: groć i grać (grać), maucie (macie), kaźać (kazać); koło Rawicza, Krotoszyna i Odolanowa: trouchleć (truchleć), moucha (nucha); na Pałukach i Krajnie: kemiń (kamień); koło Kościan: ůociec (ojciec), ůowca (owca); koło Czarnkowa i Radolina: wuesoło (wesoło), wuesz (wesz); koło Radolina i Wielunia: dziöcha (dziewucha), möle (miele); koło Babimostu i Kościan: pałen, połen i poñ (pełny); koło Gniezna i Pleszewa: poany, poñy (pełny), rupucha (ropucha).

A cóż dopiero *Kaszubszczyzna!*

Przeciwstawmy kaszubskie próby gwarowe gwarom słowackim i ruskim na tak zwanem uziemiu mieszanem a zobaczymy, iż one co najmniej oddalają się zboczeniami narzeczowemi od polskiego języka piśmiennego tak daleko, jak ostatnie, przyczem dodać należy, iż najpierwsze nasze powagi na polu językoznawstwa stanowczo i zgodnie uznają kaszubszczyznę za gwarę polską.

Oto kaszubszczyzna:

„Cegańska belnota we wszetcim dosnaci. Dzyso ju nie jedna białka bukse nosy. Lepiej imnieć wsze w mucy, jak cieszeni. Zorzy jak gapa w gnot. Gabe nie befo zymku, nie befo be pozymku. Nodzie drze a skorznie na ciju nosy. Ja ot, a te ksob. Morusowi bilawa nick nie pomoże. Szyworka ni mo szeku do gorka. Koždy sam sobie nolepiej zyczy.“¹⁾

Albo: „Prasno je ta rejna święta, je ta sztenia, święty je ten dziejn, da ta rejna sa sta. Ta nie mosz wleczyc, ta mosz sztel stojec, os nie mosz wleczyc, ani wypuchnac, ta nie mosz boleć, ta mosz stojec, os nie mosz dalej ic. Wegin te nie muszysz palec, ta nie moszesz wiecec, ta muszysz biode rzec, te mosz wenic, os nie aufbenic. Te niebe mo medry rano, śmierć mo zamrą ranku. Tau rankau je westrenan ten zoli brund.“²⁾

Albo: „Nad Żarnowskim jezore je wielgo gora a te gorze zakłeti zamk. Tę szedł roz kościelni po rzache e zabładził, a do nieho nalazła sę często czorno wubrana panna, chtero eho proseła, abe ją do kościoła zaniósł, ale prze tem nick a nick nie godeł, tak wone e cali zamk webawione.“³⁾

Porównawszy wschodnio-słowackie gwary z kaszubszczyzną można je śmiało, uwzględnwszy w nich naleciałości czeskie i ruskie, zaliczyć do obrębu polszczyzny, jako posiadające wszystkie niemal głównejsze właściwości języka polskiego, między temi brzmienia głoskowe: *l, ć, dz, dź, dź, ś, ź*, a nawet odpowiedniki nosowych samogłosek: *om, on, em, en, im, in, um* i *un*, jako też tu owdzie *g* zamiast *h*, w tej samej mierze, jak to ma miejsce w gwarze podhalskiej.

1) Jarosz Derdowski: „Noreyk kaszubsci.“ We Wenecie w Nórtowej Ameryce, 1897.

2) D-r J. Łęgowski: „Die Slovenzen im Stolper kreise.“ Gdańsk.

3) D-r Floryan Cenowa: „Skorb kaszebsko-słowinskie mowe.“ Świecie, 1868.

W starych gwarach słowackich spotykamy *g* zamiast *h*, z czego wynika, iż dzisiejsze słowackie *h* powstało pod wpływem czeszczyzny. Lecz *h* zamiast *g* znajduje się również w polskich gwarach podbeskidowych i podtatrzańskich, na Ślązku a nawet w Kaszubszczyźnie. Bardzo ważnym zjawiskiem w gwarach słowackich jest brzmienie *c* zamiast miękkiego *t* i *dz* zamiast miękkiego *d*, gdyż w tem tkwi dowód, że te gwary co najmniej do połowy XIV w. rozwijały się wspólnie z polszczyzną, co znaczy, iż z nią razem tworzyły jeden kompleks językowy. Stara polszczyzna, jak to dowiódł profesor Baudoin de Courtenay,¹⁾ nie знаła zmiękczonego brzmienia *c* zamiast *t* i *dz* zamiast *d*. Miękczenia te są późniejszą ewolucją językową, dokonaną głównie w czasie od połowy XIII w. do połowy XIV w. Jeśli gwary słowackie zachowały do dziś dnia akcent polski i przechodziły z właściwą polszczyzną tę samą ewolucję językową, czyż trzeba, przy zachowaniu przez nie tylu innych polskich właściwości, szukać jeszcze więcej dowodów, iż one należą do gałęzi językowej polskiej, zostawszy, mimo oderwania od niej i wiekowych wpływów czeszczyzny, do dziś dnia pod wieloma względami najbliższe polszczyźnie.

O wiele więcej, niż gwary ludowe, oddalony jest od polszczyzny słowacki język literacki, urobiony przez narodowców słowackich: Sztura, Hurbana i Hodźę na wzorce czeszczyzny. Wrzeczono wzięto za jego podstawę gwarę turezańską, lecz wpływ czeski działał, iż nie wzięto z tej gwary brzmień wyraźnie w niej przychodzących: *ł*, *c* zamiast miękkiego *t* i *dz* zamiast miękkiego *d*, brzmień świadczących o jej wspólności z polszczyzną, tylko zastąpiono je, trzymając się głosowni czeskiej, głoskami: *l*, *l'* i *d'*. Na tej podstawie i na podstawie przyjętej pisowni czeskiej, uczyniono swój język literacki niezgodny do oddania brzmienia *ł*, zmiękczonego brzmienia *c*, *č*, *ś*, *dz*, *dž*, cechujących znamienne nie tylko wschodnie i środkowe słowackie gwary ludowe, lecz nawet część zachodnich. Słowackiemu językowi piśmiennemu nadał podstawę naukową Czech, profesor Hatala, napisaniem gramatyki tego języka.

Bardzo blizkie pokrewieństwo rodowe Słowaków z Polakami objawia się również jeszcze w innych kierunkach, mianowicie w dziedzinie folkloru. Na północnych i południowych stokach Karpat spostrzegamy wspólne przysłowia, wspólne pieśni i poda-

¹⁾ „O drewno-polskim języku.“ Lipsk.

nia ludowe. Szczególnie dużo jest wspólnych przysłów, co najlepiej dowodzi wspólności narodowo-duchowej.

Mógłbym przytoczyć z tej dziedziny bardzo wiele dowodowych przykładów, czego atoli nie czynię z obawy, iż przysłoby mi wypisać sporą część księgi przysłów Adalberga.

Podam o zbójnikach pełne Beskidy i Tatry po obydwóch stronach, nie mniej też słowacka Matra i Tatra. Janosik bohater zarówno polskich jak słowackich górali. Piękna balada ludowa polskich górali tatrzańskich, którą podał Seweryn Goszczyński,¹⁾ żyje w kilku odmianach na Słowaczuźnie.

Porównajmy polską pieśń ze słowackimi odmianami. Polska pieśń ludowa opiewa:

Hańciu moja, pódz do domu,
Wydam ja cię nie wiem komu;
Wydam ja cię Janickowi,
Hej, walnemu zbójnikowi.

Janku, Janku, tęgiś zbójnik,
Wies po wierchach każdy chodnik.
We dnie idzies, w nocy wrócisz,
A mnie biedne tylko sinucis.

*Mus kosilkę uznojimą,
A sablicku zakrwawioną;
Janku, Janku, kędys ty był,
Cos se sablicku zakrwawił?*

Wyrumbałem tu jedlicku,
Co stojąła w okienecku,
We dnie, w nocy hurkotała,
Mnie smutnemu spać nie dała.

Przynióśł-ci jej chusty prac.
A nie dał je rozwijać.
Ona prała, rozwijała,
Prawu rucku nadybała:

A w tej rucece pięć palusków,
A na małym złoty pierścień,

W tym pierścieniu troje wrotka.
„Dyc to mego brata rucka!“

Nie długo się obawiała,
Do matuli odsyłała:
„Matko moja przymilena,
Cy mom bratow syćkich doma?“

„Córuś moja! nie z jednego,
Z tych to siedmiu najmłodszego.“

Skoro wysed rok, półtora,
Narodził jej Pan Bóg syna.
„Lulaj, bubu, synu mój!
Nie bądź tak, jak ociec twój.

Na kyskibym cię siekała,
Orłom, krukcom rozsypała.“

A on za zmreckiem słysy
I od złości cały dysy.
„Śpiewaj, Handziu, jakś śpiewała,
Kiedys synu powijała.“

„Lulaj, bubu, synu mój!
Byś był tak, jak ociec twój.
We winie bym cię kapała,
A w jedwabiu powijała.“

¹⁾ „Opis podróży po Tatrach i Pieninach.“ Kraków.

„Oblec, Handziu, drogą satkę,
A pójdziemy na przechadzkę.“

„Dwa rocki ja z tobą zyla,
Na przechadzkę nie chodziła.“

A wziął ci ją za rucieku
I zawiódł ją do gaieku,
Ocka carne jej wydłubał,
Rucki białe jej porumbał.

Rozplakał się syn jej młody.

Nie mógł ojcu dać on rady:

„Wstańże, Hańdziu, przemilena,
Póđz utulić twego syna.“

A sam posed w skały, lasy
I niema go po te easy.

Słowacka odmiana: 1)

Janik, Janik cziry zbojnik,
Wiesz po horach każdy chodnik:
W noci idesz, w noci pridesz,
Nigda mi nicz ne donesesz,
Sen koszielku orosenu
A szabliczku skrwawenu.

„Cziczibeli, syn mój mały,
Bych wedeła, że si takij,
Ako je twój oceec klatij;
Na kusy by tu tarhała,
Strakam, wranam rozhudzala.“

„Żeno moja przemilena,
Ako że si to spiewala,
Kad' si syna kolisała?“
„Wed' som si ja ne spiewala,
Sen som mu tak powedala:

„Cziczibeli, syn mój mały,
Bych wedeła, że si takij,
Ak je twój oceec dobrij—
W winie by kupala,
Do szarlatu powijala.“

Miszik podaje drugą słowacką odmianę tej pieśni:

„A kied me sie pobiereme,
Dzieče me sie podziejemo?“
„Tam na wirhu, f tim lasecku
Westawime se izbecku.“

Nie beli ni roczek i dwa,
Nagodziol jm Pan Bog sena.
Jak ona go kolisała,
Tak ona mu zaspiewała:

„Tuloj, bubaj, senocku mój,
Zehyś nie bel, jak ociee twój;
Bo twój ociee wielki zbojnik,
Wie po goraf kazde hodnik.

We dnie idzie, w noci przidzie,
Nie dobrego nie przyniesie,
Sem kosulku zeznojunom
I sablicku pokrwwawionum.“

A on sie jej prziszluhuje,
Jak senowi wespiwuje.
„Zono, zono, komuś klena,
Kiedes sena kolibała?“

„Klenam, klenam kuharecke,
Ze nie zamkla zohrodecke:
Konic, woli pofhodzili,
Prute, rute polumali.“

1) Szkalteti J.: „Wenec słowenskich narodnych piesni.“ Turcz. Sw. Mar-
tin, 1897.

A on idzie do zahrade,	Roncki, nozki jej odrombał.
Pruta, ruta rowno stoi,	Corne ocka jej wydłubał.
Rozmarija sie rozwija;	„Prziwiecće mi sena mego,
A on juju wziun za roncieke,	Bedem libac licka jego.“
A wewiod jum na łoncickie,	

Prawe licker mu libała,
 Lewe licker odkonsiła:
 „Tu mos, semu, na pamiontke,
 Jak twój ociec zabjoł matke.“

Ta pieśń „słowacka“ jest w istocie rzeczy polską. Ze względu, iż Janosik żył w XVIII w., wynika ze wspólności polsko-słowackiej tej pieśni, iż sąsiedni lud polski i słowacki, mimo wszelkich odmiennych losu kolei i oddzielenia, zachował wspólność narodową do najpóźniejszych czasów.

Słowacy przy tańcu mają przyśpiewki z rytmem krakowiaków i podobną melodyę. Przyśpiewują oni sobie przy pługach:

Spiewanki, spiewanki, kdesta sa wy wzały,
 Czyste z neba padły, cziste rostły w haje?
 Z neba sme ne padły, haji sme ne rostły,
 Ale nas młodenci a dziewczencza naszły.

Pojdżem do kostoła, sadnem sa pod obraz,
 Pozrem raz na obraz, na miłego sto raz.

Boże moj, Boże moj z wesokeho neba,
 Kad si dał zuby, dajże mi aj chleba.

Tak samo śpiewają „kopaniczary“ na morawskiej Słowaczy:

Żitkowa, Żitkowa prasziwa dziedzina,
 Nie mohła wychowac pre mnie czeledzina;
 Ked ho wychowała, na wojnu ho dała,
 Żitkowskim dziewczęncem lubie ho nie dała.¹⁾

¹⁾ Czerach Joza: „Zpiewy Kopaniczarow.“ Uhersky Brod.

W słowackich pieśniach ludowych znajdują się wyrażenia: „Co ja hrieszna budzem dzialac?“ „Mila, dobry dzen.“ „Kied som k'wam chodziewał.“ „Hanulenko, Hano, kdes tu wodu brała.“ „Ne budzem hajnikom, lecz budzem zbojnikiem.“ „Sadziłam z Janiczkiem.“ „Kazał mi poczekać.“ „Nasz pan gazda dobre winko mawa.“ „Poniże Bramska ciecze woda bystra“—i t. p. i t. p. To prawie czysto po polsku.

Nadto spotykamy w nich słowa: breskynia (po polsku: brzoskwinia, po czesku: broskew); chojce (po polsku: chodźcie, po czesku: pojď'te); izbiczka (po polsku: izbeczka, po czesku: swetniczka); morisz (po polsku: morzysz, po czesku: trapisz); nie raz (po polsku: nie raz, po czesku: nie jednou); obyczaj (po polsku: obyczaj, po czesku: obycej); lud (po polsku: lud, po czesku: lid); pozierat' i pozierac (po polsku: pozierać, po czesku: wihlednouti); robisz (po polsku: robisz, po czesku: dielasz); swiecia (po polsku: świeci, po czesku: swieti); zasiála (po polsku: zasiała, po czesku: zasela); kurcuntka (po polsku: kurczątko, po czesku: kuratka—w słowackim piśmiennym języku: kurcatka); jetbobni (po polsku: jedwabny, po czesku: hedwabi); kokosecka (po polsku: kokoszczyzna, po czesku: kwoczna—w słowackim piśmiennym języku: kwoczka); krawec (po polsku: krawiec, po czesku: krejczy—w słowackim piśmiennym języku: krajezer); skund (po polsku: skąd, po czesku: odkud—w słowackim piśmiennym języku: skont i zpade) i t. d.

W słowniczku wyrazów ludowych słowackich, dodanym do jednego tomiku Miszika zbioru słowackich pieśni ludowych znajdują się wyrazy: cerwune, cura, ciebję, cinski (ciężki), dęmbi i dím-bi (dęby), dužo, dzis, fce (chce), fcała (chciała), fto (kto), ftoskowie (ptaszkowice),¹⁾ gadac, galons, garnec, genste, gensle, go, grub, gudzie (świnie), guzicki, gwozdzicki, jas (aż), jeć i jać (jedz), japko (jabłko), jaskolki, jus (już), kumosza, kowal, konti (kąty), kunik (konik), kuncu (końca), leciali (lecieli), liotali (latali), luzko (łóżko), maci (macie), mendzi (między), mesko suko (myszkę szuka), minorz (młynarz), miała, mie i mnie, mlenarecce (młynarecce), monz (mąż), nawiunz (nawiąź), nie belo, noze (noże), odkon-sic (odkasić), ogrodeczek, ogadac, oprzendziec (oprząść), osnendziec (oswedzić), otwurz (otwór), paluski, peto (pyta = prosi), pierscin, pokrziwa, pojadime (pojedziemy), posciulka (pościel, pościółka), posła (poszła), przegodało, scotka, scotkowac, sikirecka, stery (cztery), sciana, siano, szubienica, szumno, terozes (terażeś), tes

¹⁾ W gwarze podhalskiej tak samo używa się *f* zamiast *ch*, *k* i *p*.

(tyś), tulac (tułać), ulōnk (ulął), uzalinne (użalone), wartko, w je-sini, wzena (wzięła), wiedzie, wracit' (wrócić), wzun (wziął), zamio-to (zamiata), zacun (zaczął), zol (żał), zoloba (żałoba), zuna (żona), zaplatała (zaplatała) i inne jeszcze.¹⁾

Obfita wiązanka z małego zbioru pieśni, z czeszczyzną atoli żadnej nie mająca wspólności. Językowe dowody naszej jedności plemiennej ze Słowakami popiera też antropologia. Po obydwóch stronach Beskidów, Tatr i Karpat, tak samo jak po obydwóch stokach Małych i Białych Karpat, od Preszburga ku Trenczynowi, a stąd daleko poza Preszów i Koszyce ku Siedmiogrodowi, wszędzie jednakowy typ ludu, jakkolwiek zarówno na Morawach, na Ślązku, w województwie Krakowskim i dalej na wschód południowy, a tak samo na górnych Węgrzech różni się typowo dość znacznie lud zamieszkujący równiny, od ludu na podgórzu i w górach. Typ góralski, dość jednolity, ciągnie się atoli łańcuchem gór daleko na wschód południowy z podobnymi zwyczajami i obyczajami, rozkładem osad i budową domów, z podobnym strojem co do głównego kroju i zdobnictwem ludowem, jako też z jednako-wymi cechami znamieniem gwar, posiadającymi swoje odrębne właściwości, co razem wskazuje na jednolitość narodową pierwotnego zaludnienia Karpat, znaczoną tak zwanymi „śladami wałaskimi“ w górach, widocznymi w łańcuchu Karpat od morawskich wałaskich Beskidów aż do granicy bukowińsko-siedmiogrodzkiej. Jedność narodowa ludności karpackiej po obydwóch stronach gór trwała mniej więcej do XIV w., dopokąd ją łączyła wspólność dziejowa. Rozdział polityczny zróżniczkował z czasem gwary wyrosłe z jednego pnia, a w odrębnych granicach politycznych wytwarzające się odrębne stosunki oddalały coraz więcej miejscowe odcienia narzeczowe od siebie, które rozwijały się dalej w odmiennych warunkach. Część tego terytorium, należąca do Polski, uległa pod względem gwarowym wpływowi niepospolicie rozwiniętego języka polskiego, świeżącego pod Jagiellonami wiek złoty; inne gwary pozostawały głównie pod wpływem czeszczyzny, tylko w górach, mało przystępnych prądom oświatowym i polityczno-społecznym, pozostały w zastoju, zatrzymując po dziś dzień archaizmy i wyraźne ślady pierwotnej wspólności gwarowej z tej i z tamtej strony Karpat. Wytworzyły się wprawdzie na uziemiu białochrobakiem, później wielko-morawskim, różnice gwarowe,

¹⁾ Naturalnie brzmiałyby to wszystko dobitniej jeszcze po polsku, gdyby pisownia słowacka nie przytłumiała brzmień ł, ć, ś, ź, ż, dž.

lecz dziś jeszcze te różniące się pomiędzy sobą gwary są tak blizkie siebie w uścicach ludu, iż wspólność ich bynajmniej się nie zatarła, mimo wszystkiego, mimo, iż lud ten, pierwotnie jednolity, podzielono na odrębne narody i każono pierwotną jego gwarę.

Jaki mógł być pierwotny wspólny język ziem karpaccich w zaraniu dziejowem, gdy one tworzyły całość polityczno-państwową, lub też jako jednostka polityczna wchodziły razem po upadku Wielkich Moraw w skład państwa czeskiego a następnie polskiego?

Pod tym względem można jedynie czerpać wskazówki z gwar i folkloru ludu zamieszkującego Karpaty, w których długim łańcuchu królują Tatry, stanowiące od prawnieku opokowy grzbiet związku ludowego Białej Chrobacyi i Wielkich Moraw, będąc tych organizmów państwowych potężną ostoją.

„Czim ste w prawniekach bóly Tatry nasze?
Koliskou narodom.

.....
Czo wasze wichry, bleski, wody, szumy?
Chory pieśni ludu“—

woła poeta słowacki, Zaboj Hostinsky, odczuwający w natchnieniu ich znaczenie dziejowe w prawnieku, a wielbiąc je, jako kolebkę narodów, dodajny—później wytworzonych.

W niedostępných, skalnych, dziewiczeni lasy zarostłych górach, kędy nie prowadziły szlaki wypraw zdobywczých i obcych wpływów cywilizacyjnych, gdzie najwięcej utzymało się pierwotności w zwyczajach i obyczajach, jako też w gwarach ludowych—tu tylko, w ich ognisku, w Tatrach, można znaleźć odpowiedź na pytanie: jakim mógł być ten wspólny język pierwotny?

Górale tatrzańscy na północy i południu dają nam swoją gwarę odpowiedź. „Chory pieśni ludu,“ rozbrzmiewające z „wichrow, bleskow, wody, szumu“ Tatr brzmią do dziś dnia jeszcze albo czysto po polsku lub z silnym polskim podkładem, brzmią nawet tam czysto po polsku, jak na spiskiém Zamagurzu i na innych ziemiach górno-węgierskich, które od czasu Bolesława Chrobrego nigdy więcej do Polski nie należały.

W gwarach tatrzańskich górali i wogóle we wschodnio-słowackich narzeczach nie widać żadnych podstawowych śladów czeszczyzny, a jeśli tu i owdzie znajdzie się jaka właściwość czeska, co tylko rzadko gdzie dostrzedz można, napewno jest ona tylko naleciałością późniejszą.

Pod tym względem bardzo znaczącym i ważnym objawem są wyraźne ślady polszczyzny w gwarach ludowych na Morawach, które od wieków są narodowo silnie zespolone z Czechami i nigdy nie ulegały wpływowi polszczyzny. Śladów tych nie można przeto uważać za co innego, jak za stare zabytki pierwotności gwarowej, tak samo jak polszczyzny na Zamagurzu i wogóle śladów jej w narzeczach tak zwanego „mieszanego uziemia.“

Zatem pierwotny język tych ziem, t. j. ziem karpaccich, nie mógł być latoroślą czeszczyzny, lecz w głównej swej podstawie odgałęział się z pnia polskiego.

Mógł on wprawdzie nosić polityczno-terytorjalną nazwę morawskiego języka, mógł zawierać w sobie znamiona morawszczyzny i czerwieńskiej ruszczyzny, lecz w głównej swej istocie był mową polską, wspólną pierwotnie zarówno Małopolsce i Śląskowi, jak Morawom i Słowaczynie węgierskiej.

Jedną z cech wspólności i jednolitości ludów karpaccich stanowi tak zwana „wałaszczyzna,“ ujawniająca się w całym łańcuchu Karpat od Dunaju aż do Siedmiogrodu. Na Morawach i na Ślązku istnieją „wałasi,“ pełno śladów wałaskich we wszystkich gwarach tatrzańskich, „wałaskie wsi“ znane są zarówno na Orawie, jak w podkarpacciej części Galicyi, zamieszkaanej przez tak zwanych „Łemków,“ a nawet Huculi wysunięci najdalej ze Słowian na południowy-wschód Karpat wykazują dużo śladów tej „wałaszczyzny“ i dziwna rzecz, typowo mimo znacznego oddalenia i różnicy narodowej—wykazują dużo podobieństwa z mieszkańcami morawsko-śląskich Beskidów, Podhala, Orawy i Zamagurza.

W góralskich gwarach, zarówno morawskich, jak polskich, słowackich i ruskich znajdują się wszędzie wspólne wyrazy wałaskie jak: watra, baca, sałas, koliba, bisagi i besahy, hotar, banowac, hurda i wurda, juhas, szuhaj, kiełtować, kiernia, kierpce i kerpce, kira, klag i glag, redyk i redykać, serdak, singlar, spruga, siorbać, sulak, sumar, zawora, żyntyca, paciera, potnia, perć, nura, straga, bryndza, szatra, suka, purdać, plekać, kir, watah i watażka, korhel, siara i t. d. Wyrazy wałaskie odnoszą się głównie do pasterstwa i pasterskiego zajęcia, zatem wskazują na lud pasterski, zamieszkujący wprawdzie Karpaty. Zdaje się, że ta „wałaszczyzna“ niema nic wspólnego ze słowiaństwem i że jest szczątkiem jakiejś obcej przymieszki. Słowianie zwali Włachami, Walachami i Wołochami Keltów, a następnie przeszła ta nazwa na narody romańskie, jak tego dowodzi nazwa: Włochy i Wołochy (Rumuni). Okoliczność, iż karpaccza Wałaszczyzna przekracza granicę słowiańską i przechodzi w rumuńskie Karpaty a wchodzi

też w gwary rumuńskie, dała powód, iż nawet niektórzy uczeni badacze łączą wałaszczyznę z rumuńszczyzną, chociaż wyrazy wałaskie bynajmniej nie zdradzają romańskiego pochodzenia, zatem z rumuńszczyzną, jako córą języka łacińskiego, nie mają nic wspólnego. Z mylnego pomieszania nazw karpackiej wałaszczyzny z wołoszczyzną rumuńską powstała też wersja o wrzekomych pasterzach rumuńskich, którzy mieli w XVI w. pojawić się z trzodami bydła w zachodnio-północnych Karpatach. Ponieważ „wałaszczyzna“ znaczy swe ślady w całym łańcuchu Karpat od Dunaja aż poza granice Siedmiogrodu w głąb Rumunii, przeto, wnioskując logicznie, ci „pasterze rumuńscy“ musieliby władać całym łańcuchem Karpat, a jako tacy przedstawiać liczny i silny naród, którego pochodź w Karpaty i ich zajęcie nie mogłyby przejść w historii bez śladów, zwłaszcza w XVI w. Zatem wersję o wtargnięciu pasterzy rumuńskich do Karpat, Tatr i Beskidów uważam za wierutną bajkę. Skąd właściwie mieli wyruszyć owi „pasterze rumuńscy?“ Dlaczego opuścili swoje ogniska domowe? Jakim cudem mogła garstka pasterzy rozszerzyć się na tak olbrzymiej przestrzeni gór i zawładnąć niemi? Na to dłużni są odpowiedź szerzyciele wersji o pasterzach rumuńskich, zwłaszcza, iż ślady tych „pasterzy“ widoczne są też w najstarszych pomnikach tych ziem, mianowicie w nazwach ziemnopisnych, w nazwach gór i rzek. Nazwy, by tylko mały przytoczyć przykład: Bieskidy, Tatry, Fatra, Matra, następnie nazwy gór tatrzańskich: Rahoń, Chocz, Litwor, Matlary, Marzasichle, Ornak, Orbita, Satern, Cyrhla, Giewont, Magura i t. d., jako też nazwy rzek tatrzańskich: Poprad, Hernad, Dunajec, Wag i t. d. trudno wytłómaczyć ze słowiańszczyzny, są one prawdopodobnie starsze jak słowiańskie osiedlenie Karpat, a jako niewytłómaczone możnaby je równie zaliczyć do śladów wałaskich, niewyjaśnionych dostatecznie. Nazwy te rozsiane są równie, jak wyrazy wałaskie, po całym łańcuchu Karpat. Magurę spostrzegamy na kilku miejscach: jest Magura w Bieskidach, w Tatrach, na Orawie i w rumuńskich Karpatach a tak samo rozprzestrzenione są inne z tych nazw. Że te stare nazwy nie mogą pochodzić od garstki pasterzy rumuńskich z XVI w., tego zdaje się dalej dowodzić nie trzeba. Okoliczność, iż wałaskie te same wyrazy, nie będące łacińskiego pochodzenia, znajdują się równie w języku rumuńskim, nic nie dowodzi, a wskazuje tylko na to, iż wsiąkły one w język rumuński z tego samego źródła, jak w gwary morawskie, polskie, słowackie i ruskie.

Może ta wałaszczyzna jest zabytkiem szczątkowym keltyczej praludności tych stron. Słowianie, jak już powyżej zazna-

czyłem, zwali Keltów Wlachami, Wołochami i Walachami. A jeśli o najeździe Karpat od strony dzisiejszej Rumunii ma być mowa, prawdopodobniejszą wydawałoby mi się rzeczą, gdyby mówiono nie o runuńskim, lecz o dackim najeździe Karpat, gdyż wiadomo z historii, że po zdobyciu Dacyi przez Rzymian ludność tego kraju opuściła tłunnie ziemię rodzinną nazawsze, a chroniąc się przed niewolą Rzymian, łatwo mogła w niedostępnych górach znaleźć bezpieczne schronisko dla siebie i swoich trzód bydła.

„Właszczyzna,“ w której tkwią niezawodnie ślady praludności Karpat, dotyka o tyle tylko naszego przedmiotu, o ile ona stanowi wspólną własność ludów karpaccich, a zatem jest jednym znamieniem więcej ich jednolitego pochodzenia i rozwoju.

O wspólności narodowej Słowaków z Czechami pisze dr. Czambel, iż Słowacy, których kościół i pisarze szerzyli przez 500 lat czeszczyznę, uczuli po półtysiącleciu potrzebę stworzenia dla siebie osobnego języka piśmiennego, by mogli rozumieć książki. Czy byłoby możebnem — pyta się — gdyby Słowacy byli istotnie synami plemienia czeskiego, żeby po tak długim i usilnem czeszczeniu nie rozumieli czeskich książek, książek w języku swego własnego plemienia?

Nie można odmówić słuszności jego argumentacyi. Jeśli pięćsetletnie systematyczne czeszczenie nie zdołało zmódc językowych różnic, zachodzących pomiędzy Słowakami a Czechami, to sama z siebie nasuwa się konkluzya, iż nie są oni synami jednego plemienia. Lecz słuchajmy co mówi o tem dalej uczony słowacki: „U nas rozumieją książki czeskie ci, którzy uczyli się po czesku lub którzy dużo czytali po czesku, inni zaś ich nie rozumieją. Wychodząc z takiego pojmwania rzeczy, zbierałem od swej młodości materyały językowe, odnoszące się do Słowaczyny, szczególnie stare zabytki gwarowe. Przyszedłem do przeświadczenia, że za dawnych wieków Słowacy mogli tylko z południa dostać się na teraźniejsze swoje ziemie i że tam już zastali słowiańskich mieszkańców polskiego plemienia, z którymi się zmieszali.“

Wykazując niektóre wspólne znamiona słowaczyny z językami południowo-słowiańskimi, zastanawia się w dalszym toku swoich wywodów nad „pierwobyłością Polaków na wschodnio-słowackiem uziemiu (żupaństwa: Špiž, Szarysz, Abauj, Ziemlin i Ūng) pisząc: „Twierdzenie swoje, iż na uziemiu wschodnio-słowackiem byli pierwotnie Polacy, popieram także tym objawem w gwarach wschodnio-słowackich, iż ich głosownia posiada podstawę polską (dzecko zamiast decko, robić zamiast robit, sieno

zamiast seno, ziem zamiast zem; niewystarczanie samogłoskowego *l* i *r*: polny zamiast plny, selza zamiast slza, sierść zamiast srst', sarna zamiast srna i t. p. porządek głosek tert przeciw trt jest polski).

Inny pisarz słowacki Paweł Križko pisze: „O żywiole polskim rozprzestrzeniającym się w północnych częściach żup: szaryskiej, spiskiej, orawskiej i trenczyńskiej nie wiadomo nic, kiedy ten żywioł zaczął się osiedlać na słowackiem uziemiu.“

Brak wszelkich wiadomości o tem stanowi właśnie dowód o pierwobyłości żywiołu polskiego na tych ziemiach.

W związku z powyżej rozwiniętem mojem zapatrywaniem się, które co do wschodniej Słowaczyny podziela w zupełności uczony słowacki tej miary jak dr. Czambel, przypatrzmy się jeszcze nieco bliżej starej morawszczyźnie, która równie okazuje się bliższą polszczyźnie aniżeli czeszczczyźnie. Szembera ¹⁾ przytacza z starego listu morawskiego (r. 1286) nazwę miejscową: „Sardicze“ (dziś: Szardice, wieś koło Kijowa na Morawach), następnie wyraz: „radoszi“ (po czesku: radosti). W „Głosach Wacława z Bzence“ (r. 1385) znajduje się wyrażenie: „Marczyn poszczici sye,“ co w czeszczczyźnie brzmiałoby: „Martin posztiti se.“ W morawskich przepowiedniach Marcina z Strasznic (r. 1390) znajdują się wyrazy: „używaczy“ (po czesku: używati), „dzyed“ (po czesku: diad), „porodzyła“ (po czesku: porodila) i t. p.

Związek słowackich gwar z polszczyzną stwierdza również Czech dr. Pastrnak na podstawie głosowni.

Jak wiadomo, państwo Bolesława Chrobrego obejmowało całą Słowaczynę. Podboju jej dla państwa węgierskiego dokonał król Stefan (święty) w latach 1034 — 1040. Bolesław Śmiały odebrał ją Magyiarom, a dopiero po nieszczęśliwej wojnie Bolesława Krzywoustego z królem węgierskim Belą II (r. 1115) przepadła ona bezpowrotnie dla Polski. Dr. W. Kętrzyński ²⁾ przytacza bullę papieża Adriana IV z r. 1115, iż wtedy jeszcze archidyaconat trenczyński stanowił część biskupstwa wrocławskiego. Dopiero pokój zawarty w Starej wsi (na Śpiżu) pomiędzy królem polskim Kazimierzem Sprawiedliwym, a królem węgierskim Belą III uświęcił podbój zaborczy Słowaczyny przez Magyarów.

Główna część Śpiżu, mianowicie tak zwany „okręg 24 miast spiskich“ przypadł Węgrom dopiero w r. 1141 jako wiano, dane

¹⁾ Dialektologia, str. 3.

²⁾ Granice Polski.

przez króla Bolesława Krzywoustego swej córce Judycie Świętosławie poślubionej Borysowi, królewiczowi węgierskiemu. Ziemia ta atoli wróciła do Polski na podstawie zastawu, uskutecznionego przez króla węgierskiego Zygmunta Luksemburczyka za pożyczkę 37,000 kop groszy polskich, udzieloną mu przez króla Władysława Jagiełłę, pozostając odtąd przy Polsce aż do pierwszego jej rozbioru w r. 1772.

Inna część dzisiejszego Śpiża tak zwana „mała stolica spiska,“ położona na północy rzeki Hornadu, przypadła Węgom w czasie 1132 — 1312, należąc pierwotnie do Polski. Rzeka Hornad stanowiła do XII w. granicę między Polską a Węgrami.

Okręg podoliniecki zaś, pierwotnie do Śpiża nienależący, stanowił do r. 1311 część Polski, wrócił zaś do niej wraz z „okręgiem 24 miast spiskich,“ pozostając przy niej równie do czasu pierwszego jej rozbioru, tak, iż pod panowaniem Węgier pozostawał tylko przez niespełna 100 lat.

Po stracie Słowaczyny przez Polskę stanowiła rzeka Wag w dzisiejszem żupaństwie trenczyńskim i orawskim granicę między Polską a Węgrami.

Słowaczyna była od wieków ulubionym terenem władania szlachty polskiej, która czuła się wśród ludu Górnych Węgier jak w własnej ojczyźnie. Prócz księcia Władysława z Opola, Sciborów Ostojów z Sciborzyc, Skrzyńskich, Włodków, Kostków Siedleckich i Kostków Dubieckich, Komorowskich, spotykamy tu jeszcze Lubomirskich, Wielopolskich, Odrowążów, Zborowskich, Łaskich, Łabockich i innych.

Dr. Janota pisze o posiadłościach Łaskich w żupaństwie abaujeckiem: „Roku 1533 jako właściciela Bartoszowiec (niedaleko od Bardyjowa) napotykamy Hieronima Łaskiego, wojewodę sieradzkiego i siedmiogrodzkiego, oraz żupana Seklerów, któremu te dobra król Jan Zapolski darował. Łaski zastawił je niejakiemu Łabockiemu z Łabodziec, sekretarzowi królewskiemu za 4,000 czerwonych złotych, co król Jan zatwierdził. Roku 1536 Anna z Kurozwęk, żona Hieronima Łaskiego ponowiła w kapitule spiskiej zastaw dóbr Bartoszowiec. Do tego klucza należały włości: Reszów, obie Wole, Wyżna i Niżna Kobula, Osików, Hertnek, Orkuta, Henigowce i część w Jakubowianach. Po śmierci Jana Zapolskiego król Ferdynand w r. 1542 dobra te, jako nieprawnie zajęte przez Łabockiego, nakazał powrócić Piotrowi i Marcinowi Baranom. Spór, który stąd powstał między Łabockim, opiekunem syna Hieronimowego, a Piotrem i Marcinem Baranem w ten sposób zakończono, że Baranowie wzięli Bartoszowce, obie

Wole, Reszów, Kobule, Som, Jakubowiany i Pustą Kaplicę, Łabockiemu zasię, jako opiekunowi Łaskiego i temuż Łaskiemu i jego spadkobiercom przysądono: Krywe, Hertnek, Osików, Orkutę i przysiołek Hanigowce.“

Na zamku Makowicy, w pobliżu miasta Bardyowa, siedzieli Rosanowieccy, widocznie szlachta polska. Przy końcu XVI i na początku XVII w. był zamek makowicki własnością Janusza księcia na Ostrogu, hrabiego na Farnowie i kasztelana krakowskiego.

Podług K. Czoerniga ¹⁾ pochodzi węgierska magnacka rodzina Nyarych z szlachty polskiej. Bracia Chykurcy, Polacy (nazwisko prawdopodobnie zepsute) otrzymali od króla węgierskiego Beli IV posiadłość So-Patak. Wojciech Łaski posiadał indygenat węgierski w r. 1575, zaś w XVII w. otrzymali indygenaty węgierskie: Jerzy Pruszkowski, hrabiowie Piotr, Paweł i Jan Tarnowscy, Jan Bobuchowski, Jerzy Hausperski i Jerzy Ignacy Kusiński, wszyscy szlachcice polscy.

Mimo długich, wielorakich i żywych stosunków łączących wogóle Polskę z Węgrami, względnie z Słowaczczyzną, żywioł polski po jej oderwaniu od państwa polskiego nie zdołał w ludności słowiańskiej dzisiejszych ziem słowackich zapuścić głębszego korzenia, a nawet nie był w stanie to, co tam pozostało z pierwotnej polszczyzny, ochronić od niszczenia. Wpływy polskie na Słowaczczyźnie nie posiadały w sobie zgoła żadnej odżywczej siły narodowej na ludność krajową. Panowie polscy wznosili się dumnie ponad rzeszą prostego gminu, który był dla nich *misera contribuens plebs*, nad którym wywierali tylko panowanie, często nawet bardzo twardo, nie troszcząc się z drugiej strony o pospólstwo. Polscy królowie i książęta utrzymywali znowu tylko z dworem węgierskim bliższe stosunki, tak jak polscy możnowładcy równie trzymali się klamki królewskiej, a polska szlachta pozostawała w stosunkach ściślejszych tylko z szlachtą węgierską, zatem Polacy łączyli się na Górnych Węgrzech prawie bez wyjątku wyłącznie z żywiołem magyarskim, przedstawiającym w stosunku do tubylczej słowiańskiej ludności żywioł ciemieński,—czem pozostawali w przeciwieństwie do tej ludności i nie mogli posiadać ani jej przychylności, ani zaufania.

Zupełnie inne stanowisko zajęli Czesi na Słowaczczyźnie. Oni przeciwnie zbliżyli się po przyjacielsku do ludności krajowej, na-

¹⁾ Ethnographie der oesterreichischen Monarchie. Wiedeń, 1857.

wiązali z nią bliższe stosunki, oddziaływając silnie na lud w kierunku narodowym i pobudzając go do nowego życia. Czynili to zarówno husyci pod wodzą Giskry z Brundysowa, jak po nich „bracia czescy“ i „morawscy.“ Tym sposobem zdołała czeszczyzna wziąć górę nad polszczyżną, wchodząc do kościoła i piśmiennictwa słowackiego, i następnie zawładnąwszy całą oświatą narodową ludności słowiańskiej, poczęła oddziaływać silnie na gwary ludowe i wnikać w nie. Tylko w górzystszej części kraju zdołały gwary miejscowe opierać się wpływowi czeskiemu i utrzymać najwięcej swej pierwotności i tu też są one po dziś dzień czysto polskie, mniej lub więcej zepsute, albo też posiadają silny podkład polski.

Dla uzupełnienia obrazu stosunków istniejących na Słowaczynie dodać jeszcze należy, że Słowacy mimo wyzwolenia swego piśmiennictwa, kościoła i oświaty narodowej od wszechwładztwa czeszczyzny i mimo skupienia się pod sztandarem odrębności narodowej, pozostają zawsze jeszcze pośrednio pod dość silnym wpływem Czechów, którzy nie uważając narodowego wyodrębnienia się Słowaków za *casus belli*, bynajmniej z nimi stosunków nie zrywali, lecz owszem dalej utrzymywali z nimi ścisłe przyjacielskie stosunki, czego korzystnym było wynikiem dla Czechów, iż twórcy słowackiego języka piśmiennego, przyjąwszy pisownię czeską, wzorowali się na czeszczynie i tem utrwaliли oddziaływanie duchowe czeszczyzny na swoje piśmiennictwo i wogóle na narodową oświatę Słowaków. Czesi prowadzą wobec Słowaków bardzo zręczną politykę. Stojąc niezachwianie na dawnym stanowisku swoim, mianowicie, iż Słowacy są tylko gałęzią pnia czeskiego — na stanowisku jedności narodowej Słowaków i Czechów, działają dalej pośrednio w tym kierunku bez jawnego protestu i polemiki przeciw słowackim dążnościom separatystycznym. Robią jednak swoje za pomocą przyjacielskich stosunków i co najwięcej dogadują Słowakom, jako ich szczerzy przyjaciele, że Słowaczyna wzmocniłaby się politycznie bardzo znacznie przez zlanie się narodowe z Czechami. Między Pragą a Turczańskim Świętym Marcinem istnieje bardzo żywa wymiana myśli i wzajemności na polu literackiem, troskliwie przez Czechów pielęgnowana, którzy w swej stolicy wydają osobny miesięcznik „Nasze Slowensko,“ pisany w połowie po czesku, w połowie zaś po słowacku, a poświęcony wyłącznie obronie interesów Słowaczyny. Miesięcznik ten, bardzo dobrze redagowany i zewnętrznie pięknie wyposażony, sprawia na mnie podobne wrażenie, jak publikacje niemieckie, mające na celu pielęgnowanie narzecza

„platt“ lub szwabszczyzny. „Nasze Słowensko“ posiada znaczenie na Słowaczczyźnie. Latem roją się góry słowackie i miejsca kąpielowe czeskimi turystami i gośćmi, którzy bynajmniej nie trzymają się zdala od słowackiego społeczeństwa. Na czeskie wystawy i uroczystości przybywają osobne pociągi z gośćmi słowackimi, których zawsze na czeskiej ziemi podejmują z hojną gościnnością.

A my?

My prawie żadnych nie utrzymujemy stosunków z Słowaczczyzną, mimo najbliższego sąsiedztwa i tylu wspólnych węzłów łączących nas z nią. My wstępujemy raczej w ślady onej historycznej szlachty polskiej, która siedząc na Słowaczczyźnie, łączyła się z jej narodowymi wrogami, przyśpiewujemy sobie: „Węgier, Polak dwa bratanki“ i odpychamy tem nie tylko Słowaków, lecz lud własny, polski lud na Górnych Węgrzech, od siebie.

G. SMÓLSKI.

Narodziny operetki

WE FRANCYI.

Było to w r. 1858. Społeczeństwo francuskie, doznawszy tylu wstrząśnień i krwawych wybuchów, opłaconych krwią pokoleń, przeszedłszy przez tyle zmian rządów, miało dostać się jeszcze pod panowanie... batuty Offenbacha.¹⁾ Hasła spokoju, postępu, pracy organicznej, stłumił skoczny takt galopady, porywający Orfeusza do piekła. Frenetyczna muzyka przeszła wszystkich dreszczem i nikt nie oparł się rytmowi przemożnego smyczka, z jakim drgał na strunach. Ludzie, instytucje, obyczaje, prawa, rządy, porwane w zawrotny wir tańca, stanęły w jednym rzędzie z bogami Olimpu do jakiejś olbrzymiej sarabandy, która miała stać się szafem Drugiego Cesarstwa. Operetka osiągnęła wówczas znaczenie historycznego momentu.

Wkrótce potem, panujący wszystkich krajów, w uwielbieniu dla p-ny Schneider, tak pięknej jak tylko „Pięknej Helenie“ piękną być przystoi, oklaskiwali z zapałem obraz upadającej i wyśmianej monarchii i obrządek własnego auto-dafé upoił ich. Dnia tego operetka święciła tryumf najwyższy—pokonania samozachowawczego instynktu. Podczas ostatniej wojny biedna „Gejsza“ japoń-

¹⁾ Źródłami dla niniejszej rozprawki były: „Histoire du théâtre italien.“ Paris, Lacombe, 1769. „Histoire du théâtre de l'Opéra-Comique.“ Paris, Lacombe, 1769. „Histoire de l'opéra-bouffon,“ en deux parties, contenant les jugements de toutes les pièces qui ont paru depuis sa naissance jusqu'à nos jours. Amsterdam, 1768. Frères-Parfait: „Histoire de l'ancien théâtre italien.“ Paris, Lambert, 1753. Frères-Parfait: „Mémoires pour servir à l'histoire des

ska nie miała wstępu w obręb rosyjskiego państwa z powodów... politycznych. Wiemy zaś wszyscy, jak wielką rolę odgrywa operetka w lecie, w ogródkach, wobec zmęczonych obowiązками ojców rodziny, gdy dozgonne ich towarzyszki kurują się szczęśliwie po różnych kątach Europy. Sentymentalny refren jakiejś frazy muzycznej wraca im wiosną życia... po raz drugi. Śnią im się czasy dawne, tak dawne, jak gdyby odrastały im skrzydła porywów młodości. Ułudna swoboda i wolność drażnią ich rozkosznie. Przytem oceniają niebezpieczeństwo, jakie grozi wesolej a bogatej wdówe, poszukującej prawdziwej miłości i przekonają się, jak trudno jest podnieść dogasającą dynastję nawet z pomocą austriackiego oficera i czaru walca, lub zastańwią się nad głębokim problemem wpływu wojny na kobiety, dowiadując się, że być walecznym żołnierzem jest rzeczą trudną i niewdzięczną. Operetka mięwa więc i znaczenie społeczne.

Nie od dzisiaj. Istnieje bowiem dawno, dwa wieki przeszło. Geneza jej, jako rodzaju literackiego, i początki rozwoju są ciekawe i oryginalne.

*

*

*

Operetka urodziła się w dniu ugody autorów z publicznością, dozwalającej, aby osoby na scenie zmieniały dowolnie mówioną

spectacles de la Foire." Paris, Briasson, 1743. Brazier: „Histoire des petits théâtres de Paris." Paris, Allardin, 1838.

Korzystałem również z prac następujących: Campardon Emile: „Les spectacles de la Foire." Paris, Berger-Levrault, 1877. Campardon Emile: „Comédiens du roi de la troupe italienne." Paris, Berger-Levrault, 1880. Drack Maurice: „Le théâtre de la Foire et la comédie italienne." Paris, Didot, 1889. Lenient Charles: „La comédie en France au XVIII s." Paris, Hachette, 1888. Barthélemy Charles: „Le Réalisme dans l'opéra comique au XVIII s." Revue internationale de musique, année 1898. Sarcey Francisque: „L'évolution de l'opérette." Revue de famille, année 1891. Albert Maurice: „Les Théâtres de la Foire." Paris, Hachette, 1900. Barberet: „Lesage et la théâtre de la Foire." Nancy, 1887. Font Auguste: „Essai sur Favart et les origines de la comédie mêlée d'ariettes et la comédie vaudeville." Toulouse, 1894. Guieysse-Frères: „Sedaine, ses protecteurs et ses amis." Paris, Flammarion, 1907. Goncourts Edmond et Jules. „L'art au XVIII s." Paris, Charpentier, 1881.

prozę lub wiersz na śpiew, bez wywoływania zdumienia u swych interlokutorów. Ugoda na to zjawisko sztuczne i nienaturalne stała w w. XVIII-ym.

Wiek XVIII we Francyi jest dla nas do dziś dnia najlepszym wcieleniem i ujęciem usposobienia, sztuki i umysłowości francuskiej, które zaważyły w tej epoce nad całą Europą, obdarzając ją i lżejszymi wytworami swego humoru i fantazyi, nawet operetką. Za jego czasów esprit gaulois, sięgający jeszcze wieków średnich, tak świetny już u Lafontaine'a, wyrobił się, zaostrzył i stał się satyrą Voltaira; rozum doszedł wówczas do samouwieblenia i popadł w sceptycyzm, nie cofając się wśród tych faz ewolucyjnych przed żadną analizą, której skutkiem zmieniony wygląd Europy. Okresy zimnego rozsądku nie sprzyjają muzom. W XVIII w. we Francyi, przycichła więc wielka poezya, a urodził się wdzięk, z którym się łączą wszelkie mniejsze rodzaje sztuki, wdzięk, nieznanymi wiekowi XVII, pełnemu za to najwznioślejszych aspiracyj. Bo wiek XVIII to spadkobierca, może niegodny swego wielkiego przodka, znęcony tradycją rodu, który będąc spokojnym co do wartości spadku, chce go wyzyskać za swego życia. Nie będzie piąć się wyżej, lecz urządzi się z tem, co otrzymał, tak, aby mu było jak najwygodniej; poddaje się więc pragnieniu zabawy i żądzy życia, dochodząc do szału i cynizmu. Gdy zagłębi się w naukę, to mimowoli przyswoi sobie z niej to, co będzie filozoficznym podkładem i metodycznym ujęciem jego sposobu życia. Ze sensualizmem uzna chwilę współczesną za jedynie realną, wrażenie zmysłowe za jedynie prawdziwe. Znudzą go prędko dawne ideały bóstwa, majestatu, monarchii i króla, którymi żyła literatura XVII w., i zastąpi je innymi, którymi będą rozkosz i użycie. One staną się duszą wszelkich nowych kierunków myśli czy sztuki. One będą celem życia, kobiet np., których dzień schodzi między zwierciadłem, teatrem i balem, a noc mija... jak sen, kobiet utrzymujących po pięciu kochanków, by mózdz bez wstydu ukazać się w towarzystwie.

Epoki przewagi rozumu nad uczuciem muszą wyrobić auto-krytykę, która tamuje wszelkie odruchy naturalne, zastępując je pewną sztucznością we formie, a czasem i w treści uczuć. Są to zazwyczaj okresy kultury umysłowej o wyższych wymaganiach artystycznych. Sztuczność ta staje się więc powabną i ujującą—jak w XVIII w. Świadczą o tem choćby stroje kobiet—travestis d'opérette użyte na codzień, od różowych pantofelków, kolorowej, krótkiej z upiętymi bokami spódniczki, do stanika wyciętego, podającego jak w bukicie kwiat kobiecego wdzięku, mieniające się

i różnobarwne, o jednej cienniejszej plamie, muszce na twarzy, którą z takim wdziękiem, Armantine czy Dorisée, umieszczały na końcu podczernionego łuku brwi, lub w ostatniem zagięciu dziecinnie uśmiechających się ust. Głowy stroiły się wówczas w siwe peruki, aby ukryć jak ich własne włosy będą się posrebrzać. Młodość tała się chętnie, może aby mózdz kłamać na starość. W rozmowie błyszczał cudowny „marivaudage“, „sposób przepuszczania przez pajęczę siatki mydlanych baniek wyobraźni.“ Naturę rozumiano tylko, gdy ujęły ją w karby i przerznęły na tysiące wijących się drożyn, wyznaczonych strzyżonemi z cyprysów głowami cukru, ogrodnicze nożyce Lenôtre'a.

Lecz przyszła chwila reakcyi. Nie nadarmo przez lat kilkanaście Rousseau powtarzał nieustannie dwa słowa: prawda i natura. Damy dworu znalazły je w „Wiosce Maryi Antoinetty“, gdzie, poprzebierawszy się za pasterki, biegały po niekoszonych trawnikach, grając w ciuciubabkę z równie prawdziwymi, jak one, pastierzami, lub doiły kozy w przerwach między jednym a drugim rozdziałem modnego romansu. Wiosce tej nie brakowało niczego. Było tam parę małych chatek, i domek wójta, i młyn z wiatraczkiem, i mała krowiarnia, i wieża Malbrougha, bo anuż którejsz z dam znudzi się być Ismeną i zapragnie przeżyć chwile bohaterki ballady, wyczekującej powrotu męża, który zginął na wojnie. Wszystko to było o dwa kroki od Trianonów, tak, że sielankę można było mieć na zawołanie. Wioska Maryi Antoinetty jest jednym z najwyraźniejszych dowodów dogorywającego społeczeństwa, tak wyrafinowanego, że pragnąc naturalności i natury, prawdziwych znieść już nie może, lecz musi je sobie sztucznie wytworzyć. Prawda stawała się dlań prawie nieuchwytną, podobnie jak prawdziwa miłość. Z namiętności, z uczucia, wypełniającego życie, miłość zesłała do rzędu przyjemnostek, pełnych uroku, których celem rozkosz, a skutkiem dowcipny epigram. Wyobraźnia zapalała się jeszcze przykładami „Manon Lescaut“, lecz rzeczywistość nie starała się dogonić marzenia, bo zbyt silne odruchy męża, bywają śmieszne, a przedewszystkiem psują linię pozy, pozy tak pełnej uroku, wystudyowanej i wykończonej nawet w chwilach rzekomego opuszczenia się lub oddania.

Wiek XVIII, poczynając wątpić o potędze własnej siły unysłowej, płacząc sentymentalnie nad swoją starością, jak prawdziwy bon vivant, który zużył wszystkie swe siły za młodu, nie stracił nigdy poczucia estetyki i trwał zawsze na straży „du joli“, jakby powiedział Francuz. „Le joli“ jest wyrazem i czarem Francyi w tych czasach jej mało poważnej historyi; „le joli“ jest istotą

i formą jej geniusza; „le joli“ jest wykładnikiem ówczesnych obyczajów, wzorem mody i duszą tej epoki.

W tej epoce, żyjącej atmosferą sztuczną pod względem pojęć i wymagań sztuki, oddychającej użyciem, zakwitła operetka.

*

*

*

Kołyską jej są budy jarmarczne, gdzie urodziła się jakby przypadkiem między jednym a drugim skokiem Arlekina, dzięki przedsiębiorcom widowisk tego rodzaju, jakie mogą zachwycać lud żądny łatwego i grubego śmiechu, bo lud był jej pierwszą publicznością, krytykiem i sędzią. Pochodzenie dość niskie i demokratyczne. Chcąc się podnieść, operetka musiała walczyć nie tylko z własną tradycją, lecz i z zazdrością swego arystokratycznego rodzeństwa—opery i komedyi, które gardziły tym bękartem niegodnym ich, a silnym przez tłum, który go wspierał.

Ciemne i ciasne uliczki, prowadzące do placu St. Germain, lub te, któremi można się dostać na ulicę St. Sulpice, wyglądają dziś smutno, zamieszkałe przez klasę ubogich mieszczuchów i kler chyba całego Paryża. Inaczej pod koniec XVII i w XVIII wieku. W tych czasach dzielnica ta była miejscem dorocznych, olbrzymich jarmarków, istniejących tam od XII w., połączonych z odpustem kościoła St. Germain des Près, które rozpoczynając się dnia 3 lutego trwały aż do Palmowej niedzieli. Wówczas wrzało tam, jak w ulu od zbiegowiska ludzi. Lud opuszczał na te miesiące Pont Neuf, miejsce, na którem zwykle podziwiał jak wyrывa się zęby bez najmniejszego bólu, lub żongluje trzema różnymi przedmiotami. Niedaleko położona Sorbona musiała przez ten czas wiosenny wiać pustką, bo wszyscy łacinnicy i uczniowie szukali przygód na hucznym jarmarku. Spotykało się tam i towarzystwo żądne innych wrażeń, niż te, które miało dzięki nudnym intrygom na Place Royale. Wiedzieli bowiem wszyscy, że w wystawionych barakach przy kościele St. Germain des Près, znajdą czem opatrzeć swe domowe i prywatne potrzeby, pomiędzy nimi zaś, zwłaszcza pod wieczór, śmiech i zabawę, i sztuki akrobatyczne, i tańce, i kabarety, i sposobność do gry, i miłość łatwą a tanią. Od 1595 r. znajdowano tam nawet przedstawienia teatralne.

Gdy kończył się ten jarmark, otwierał się drugi, La Foire de St. Laurent, istniejący od XIV w., na innych przedmieściach Paryża, gdzie artyści na linie i drażku, od 27 czerwca do 29 września, mogli zachwycać swoją zręcznością.

Jednego dnia, linoskoczek w chwili odpoczynku po sztukach gimnastycznych rzucił dowcip w publiczność, który przyjął się i powtarzał z dnia na dzień, bo ta śmiała się z niego i cieszyła; gdy przyłączył się do niego drugi dowcipny linoskoczek, stworzył się dyalog. Zdarzyło się, że parę takich dyalogów zaczęło mieć między sobą związek i—sztuczka była gotowa. Pierwszą znaną w tym rodzaju jest utwór mający tytuł: „Les Forces de l'amour et de la magie,“ który wystawiła w 1678 r. trupa Allarda i Vanderbecka. Warto ją poznać, bo ma wiele charakteru.

Wielki czarnoksiężnik Zoroaster pokochał biedną pasterkę Gresindę. Ta niewdzięczna zamiast błogosławić losowi, że chce tak bardzo ją odznaczyć, pragnie uwolnić się od natrętnej miłości: widocznie nie ufa czarnej magii. Gresinda prosi Merlina, służącego Zoroastra, o pomoc przeciw własnemu panu. Dla pięknych oczu Gresindy Merlin gotów zdradzić nawet Zoroastra i narazić się na plagi, których grad cały spada mu na plecy, dzięki usłudze demonów, czyli akrobatów trupy, oddających się z zapalem najefektowniejszym salto mortale. W akcie drugim Zoroaster pragnie ująć i olśnić kochankę swoją władzą. Co za pyszny powód do roztoczenia całej okazałości wystawy, na jaką trupa jest w stanie się zdobyć, sztuk prestidigitatorskich i tresury małą lub wydobyć ze składów latających węzów. A wszystko na rozkaz wszechwładnego czarodzieja. Lecz usposobienie zwycięża. Gresinda stanowczo woli nie wchodzić w bliższe stosunki z człowiekiem tak nadzwyczajnego fachu i znajduje protektorkę w Junonie. Bogini pokona Zoroastra bronią, jaką on walczy, i ją bowiem słuchają demony. Pasterka może być spokojną.

Ten zarys intrygi i ten szkic dyalogu, sklecony naprędce przez obu dyrektorów, przedstawiają punkt wyjścia rodzaju, o który nam chodzi i posiada w zarodku rysy charakterystyczne wszystkich utworów, które po nim następują: złożenie z dwóch czynników. Tutaj jeszcze skoki i koziołki przyzwyczajają widza do uznawania w dyalogu środka pomocniczego, który łączy różnego typu epizody. Koziołki ustępują z czasem miejsca kupletom lub śpiewanym ariom, lecz rola dyalogu pozostanie zawsze ta sama.

Wielki Zoroaster nie zdobył Gresindy, ujął za to publiczność, która coraz liczniej zaczęła odwiedzać budę szczęśliwych

dyrektorów i jarmark. Zarabia dzięki temu i kler, jako właściciel parafii i dzierżawca odpustu, co pozwala mu zmienić zapatrywanie na swój stosunek do teatru. Z zagorzałego przeciwnika wszelkich przedstawień, jakim był w XVI w., tolerujący je zaledwie w XVII w., staje się w XVIII w. najgorliwszym protektorem lekkiej muzy. Dzięki wysokim duchownym orędownikom „les Forains“ (niech mi wolno będzie nazywać tych przedsiębiorców jarmarcznych imieniem, które unieśmiertnili w historyi literatury francuskiej) uzyskują, dn. 4 lutego 1679 r. przywilej na produkeye akrobatyczne „accompagnés de quelques discours.“ Przywilej ważny, gdyż będzie dla nich zawsze ostatnim argumentem i tarczą wobec pocisków, przed którymi jeszcze nieraz będą musieli się bronić.

I to nawet bardzo wkrótce. Dn. 21 października 1680 r. łączą się razem trupy paryskich aktorów, po-Molierowska z ulicy Guénégaud z najstarszą kompanią teatralną, grywającą w Hôtel de Bourgogne, i uzyskują wyłącznie dla siebie pozwolenie dawania przedstawień komedyi w Paryżu i okolicy podmiejskiej. Przy pierwszym niepowodzeniu, zazdroszcząc swoim rywalom z przedmieścia przepelnionej sali i rozbawionej publiczności, zrobią ze swego prawa użytek. Ofiarą padnie biedny złotnik Bertrand, artysta w lepieniu maryonetek, ubieranych z włoską, który, zaprawiwszy się na tych drewnianych aktorach do teatralnego kunsztu, będzie z czasem jednym z ruchliwszych dyrektorów przyszłej opery komicznej. Komedya francuska, z pomocą władzy, znosi jego przybytek sztuki dn. 10 lutego 1690 r.

Les Forains nie mieli tym razem długo czekać na zmianę losu. W r. 1697 usunięto z Paryża trupę włoską, sprowadzoną do Francyi jeszcze przez Mazarina w 1645 r. Francya znająca bowiem komiczną literaturę włoską dzięki własnej komedyi XVI w., nawet dzięki swojej komedyi klasycznej, przepadała za Commedia dell'arte. Powoli Włosi zaczęli grywać po francusku sztuki rodzajowe. Wystawiwszy satyrę na panią de Maintenon, p. t. „La Fausse Prude,“ ujrzeli się na bruku.

Radość u Allarda i Maurice'a, nowego jego współnika i wesele u Bertranda, Doleta i Christophe'a de Selles — bo przedsiębiorcy przedstawień podmiejskich powiększają się licznie i łączą się razem: potrzeba im siły. Oni przecież są najbliższymi krewnymi wypędzonej trupy, ubierają się nawet z włoską jak tamci, im więc należy się spadek jej przywilejów. Z przyjemnością podniosą się do jej repertuaru i podpisać mogą, że nie zdradzą nigdy Arlekina, Doktora, Mezzetina, Pantalona, Pierrota i Co-

lombiny. Bo zresztą, głupekowaty Arlekin, widzący jednak czasami nietylko swój koniec nosa, sentymentalny Pierrot, złośliwa i ponętna a znająca dobrze swój urok Colombina, Mezzetin, przedstawiciel zdrowego rozsądku tej gwarnej gromadki, Pantalón zwykle obity, bo życie przecież musi mieć na kim wziąć swój odwet, wystarczą zawsze, by wygrać wiecznie tę samą komedię ludzką... I wspólnicy-dyrektorzy, wynalazłszy akt jeszcze z czasów Franciszka I z 1535 r. o „nietykalności przedmiotów, wchodzących w obręb jarmarku przez czas jego trwania,“ spokojni i ufni tym razem w wielką i świetną przyszłość, otwierają teatr prawdziwy, w którym skoki i koziołki należą już do wspomnień, ustępując miejsca uczuciom miłosnym, jak w „Amours de Tremblotin et de Marinette,“ lub scenom z historii starożytnej w „Thésée ou la défaite d'Amazones.“ Te dwie sztuki wystawia Bertrand z niebywałym sukcesem. Lecz chwile tryumfu mijają szybko... dla Bertranda szybciej, niżby ktokolwiek mógł się spodziewać. Już 26 kwietnia 1703 r., dzięki zabiegom Komedyi francuskiej i opery, policya przypomniała mu, że dawny zakaz grywania „sztuk“ na jarmarkach nic nie stracił na sile i znaczeniu.

Po tym dekreście zazdrość współzawodników i władza uspokoiły się, myśląc, że zmyły głowę raz na zawsze tej nieznośnie panoszącej się młodszej braci. Nie wiedziały, że w ten sposób gotują sobie lata długiej wojny z nieprzyjacielem wykrętnym, zbrojnym we spryt, walczącym dowcipem i cierpliwością, a tak silnym w sobie, że przeciwności te rozbudziły tylko jego prawdziwie oryginalne siły twórcze.

Zabroniono grać na przedmieściach „sztuki“ o pewnej całości artystycznej. Les Forains będą grywać „sceny“ luźne, istniejące każda dla siebie. A jeżeli publiczność dojrzy pewien związek między kilku takimi dyalogami, to już nie będzie ich winą. Taką całość, urągającą wszelkim jednościom, drogim sztuce francuskiej, z akcją, która łączy wypadki przedzielone między sobą okresem 10-letnim i przenosi się wciąż gdzieindziej za każdym podniesieniem kurtyny, przedstawiają sceny o poszczególnych nazwach: „Le Ravissement d'Hélène,“ lub „La Prise de Troie,“ wystawione w 1705 r. A jednak i ta serya epizodów wydała się aktorom komedyi francuskiej za bliską rodzaju im tylko dozwolonego. Stąd nowa napaść i nowe wybiegi ze strony przesładowanych.

Na razie Allard i Maurice ukryją się pod firmą dwóch członków przybocznej straży królewskiej, którym przysługiwał przywilej prowadzenia przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju, niejakich

Holtza i Godarda i komedia o dyalogu płynnym, rozwijającym się bez przerw, odżyje znów pod kościołem St. Germain des Prés. Uprzywilejowane trupy mają jednak przynajmniej tyle bystrości i brutalnej siły, ile ich przeciwnicy przemysłu i sprytu, dochodzą prawdy i burzą dnia 20 lutego 1709 r. teatr Holtza i Godarda, niszcząc im łoże i dekoracje. Na drugi dzień 21 lutego 1709 r. teatr jako tako wyporządkowany ogłasza przedstawienie. Tłum publiczności zalewa salę, narażając się choćby na deszcz po przez dziury zniszczonego dachu, przepłaca miejsca, oblega kasę nie mogąc dostać się do wnętrza. Wszyscy chcą widzieć widome ślady zawziętej walki Melpomeny z jej młodszą, wesołego autorem kuzynką — i dyrektorzy robią majątek.

Mimo to cenią spokój. Ustąpią ze swych prerogatyw i dla świętej zgody z władzą grywać będą tylko monologi. I tem można rozśmieszyć i przyciągnąć widzów, byle dobrze wziąć się do rzeczy. Monologując, aktor niekoniecznie musi być sam na scenie. Przeciwnie, będzie mówić do całego szeregu osób, które odpowiadać mu będą na migi, albo czekać, aż ten, który do nich przemawiał, zejdzie ze sceny. Może trochę później niżby pragnął, widz jednak zawsze dowie się o co chodzi, tembardziej, że osoba pierwsza będzie pędem wracać na scenę, gdy tylko druga skończy swoją kwestyę. Wreszcie jedna osoba może mówić do drugiej po cichu, do ucha, ta zaś przed swoją odpowiedzią, do której ma prawo, objawi głośno treść kwestyi osoby pierwszej...

Więc jeszcze „les Forains parlent?” Kiedy im wedle prawa wolno tylko przewracać koziołki. Któż mógł przypuścić, aby ramy monologu mogły ich natchnąć do nowych wyskoków fantazyi i aby, co gorsza, wyzyskiwali je do drwin z tych właśnie, którzy im na nic innego pozwolili nie chcieli. Od 17 kwietnia 1709 r. niewolno im będzie, na scenie, nawet samym przed sobą, żalić się głośno nad swoją dolą. Jeżeli chcą dawać przedstawienia, niech wrócą do liny i drążka.

Rozkaz bolesny dla tych, którzy od kilkunastu lat odwykli od niebezpiecznych skoków. Żadnej Colombinie nie chciało się już olśniewać Pierrota gibkością swoich członków z wyżyn trapezu, gdyż przekonała się każda, że na ziemi stosunki i pozycye są dużo naturalniejsze i że ustami daleko łatwiej wypowie mu swą miłość. Zresztą pociągała ich sztuka, sztuka prawdziwa, której gestem jeszcze przysięgali wierność, skoro zakneblowano im usta. Pozostały im tylko mimika i ruchy—grywać więc będą pantominy, starając się, by trąciły jak najmniej jarmarcznią budą. W chwilach zawilszej psychologii działających osób, lub podat-

nych dla dowcipnego kupletu, aktorzy będą wyciągać z kieszeni duże kartony papierowe, na których, ogromnem pismem, widocznem i z najdalszych rzędów, wypisanym będzie tekst danego ustępu lub kuplet. Tylko że zwijanie i rozwijanie kartonów opóźnia bieg sztuki, wypchane kieszenie aktora psują mu sylwetkę... więc znajdzie się wkrótce i na to rada. Kartony umieści się nad sceną, zawiesiwszy je na nitkach trzymanyh przez dwa amorki. Te pankarty zmieniać się będą stosownie do postępu akcji i widz, odczytując je, upewni się co do treści intrygi, której jest świadkiem na scenie. W ten sposób Allard wystawia w r. 1711 pantominę p. t. „Femme juge et partie.“

Na pomysł prawdziwie szczęśliwy zdobył się jednak dopiero jego następcą, dawny aktor włoskiej komedyi, Constantini, z przydomkiem Oktawiusz... Zrównał tekst wszystkich kupletów i wierszy tych t. zw. „écriteaux,“ dodając im muzykę najbardziej znanych i lubionych piosnek ulicznych. W danej chwili orkiestra poddawała ich nutę, podchwytywali ją w różnych kątach widowni umieszczeni tam w tym celu specjaliści, a publiczność, usłyszawszy raz „Réveillez vous belle endormie“ albo „Comme un coucou que l'amour presse,“ mimowolnie powtarzała za nimi refren, nie mogąc powstrzymać się, by nie zanucić całej piosenki jeszcze raz od początku.

Prawo zgwałconem nie było, gdyż to nie aktorzy odzywali się, co było im wzbronionem, lecz publiczność, śpiewająca chórem. Miała ona w ten sposób dwie rozkosze: mogła drażnić silniejszego, co jest zawsze złośliwą przyjemnością wszelkiego tłumu wszelkich czasów i odnajdywała swą uliczną piosnkę, jako motyw sztuki teatralnej. Piosnka, przeniesiona z ulicy do widowni, to jeden z najważniejszych momentów dla początków opery komicznej.

Ważnym jest choćby dlatego, że piosnce łatwiej, niż słowu, udało się wzruszyć zakamieniałych wrogów. Wielka opera czyli Akademia muzyczna, której jedynie przysługiwał przywilej śpiewania na scenie, dzieli się nim łaskawie dnia 26 grudnia 1714 r. z Allardem, panią Baron i St. Edme, jej współnikiem.

Chwilowo szczęście zdaje się sprzyjać tym coraz liczniejszym przedsiębiorcom jarmarcznych przedstawień. Po tylu zawodach, trudnościach i wykrętach zdobywają sobie prawo do życia. O powodzenie się nie troszczą, gdyż ono sprzyjało im zawsze. Publiczność jest zwykle „bon enfant,“ byle umieć ją ująć, a lubi okazać się wspaniałomyślną, biorąc stronę słabszego, zwłaszcza, gdy jej to łatwo przychodzi. U Forainów bawiła się doskonale, czując się powodem i będąc świadkiem tej wojny przemocy ze spry-

tem. Z chwilą, gdy zaczęła u nich śpiewać swe piosnki, przywiązała się prawdziwie do tych przedstawień, dając im coś z siebie. Macoszynę dziecko sztuki stało się benjaminkiem publiczności.

Prawie jednocześnie dostało ono i możnych opiekunów. Ludzie pióra zaczęli przyglądać się wewnętrznym dziejom tych targów, i oceniając, że ich skutkiem mogą być sztuczki wesołe, przeplatane śpiewem, sposobne nie tylko do rozbawiania publiczności, żadnej wrażeń łatwiejszych, lecz dzięki którym, będzie można, śmiejąc się, wypowiadać rzeczy poważniejsze, postanowili spróbować swych sił na tem nowem dla nich polu.

Poważny Abbé Pellegrin nie obawia się narazić swych godności Akademika i sławy autora tragedyj klasycznych, jak „Jephthé,” rywalizując z Allardem, i przedstawia miłosne zapędy nimfy Callipso wobec powściągliwego Telemaka, bohatera jego „vaudeville,” bo tak ochrzczono ten nowy rodzaj, który, nie mając jeszcze praw do życia, zdobył już sobie imię i nazwisko. Fuzelier i D'Orneval, literaci, wprawdzie niezbyt rozgłośnej sławy, podejmują się dostarczać stale Allardom et Companie tematów i pomysłów. Mają szczęście zyskać współpracownika — jesteśmy około 1712 r. — który podniesie ich własną twórczość i stanie się punktem zwrotnym w ewolucyi rodzaju, któremu się poświęci, będąc podstawą prawdziwego jego rozwoju. Współpracownikiem tym jest Lesage.

Wielki satyryk XVIII w. po wystawieniu swego „Turcaret,” jednej z najlepszych komedyj klasycznych po Molièrze, porzuca komedię francuską, wskutek zatargu z jej aktorami i jakby na złość tragicznej muzie, idzie wspomagać jej wroga, wiedząc, że ten użyczy mu niejednej sposobności do zemsty. Ten krok rozżalonego autora pozbawił prawdopodobnie literaturę francuską niejednego arcydzieła — „Turcaret” tego dowodem — lecz kto wie, czyby bez niego opera komiczna miała dosyć sił żywotnych, by przeżyć wiek swych narodzin. Gibki talent Lesage'a potrafił wcielić się we wszystkie formy, tak zmienne, do jakich okoliczności tego teatru go zmuszają, umiejąc w każdej zabłyszczeć: komponować pantominy, składać kuplety do „pièces à écrire,” jak „Arlequin Tétis,” pisać sztuczki, gdzie bez wysiłku proza zmienia się na wiersz i odwrotnie, jak „La tableau du mariage,” brnąć na siebie obronę trup prześladowanych i atakować prześladowujących, co czyni w prologach, jak „Querelle des théâtres” lub „Les Funérailles de la Foire.” Lesage zarysowuje swoją twórczością pe-

wien system dramatyczny, ważny zwłaszcza dla pierwszej epoki istnienia „vaudeville.“

Przed nim istniały przeważnie opery komiczne dłuższe, ciężkie i nudne, bo niełatwo przychodziło autorom wypełnić trzy akty scenami zabawnymi, związanymi z jednym tematem. Lesage zadawałnia się małą anegdotką, którą zamyka w 1 akcie, tętniącym za to dowcipem i werwą. Gdy zaś treść odpowiada dłuższemu opracowaniu, wprowadza doń element cudowności. I ma słuszność, powraca bowiem w ten sposób do jednego z najdawniejszych motywów operetki, pozwala przytem roztoczyć przepych i malowniczość wystawy. Cudowność zresztą cudownie ułatwia autorom prowadzenie intrygi.

Arlekina np., którego ojczyzną Włochy, a miejscem tryumfów bywała dotąd Francya, u Lesage'a ponosi aż do... Serendibu („Arlequin roi de Sérendib“). Zaciekawiają go egzotyczne kraje i skaliste wybrzeża, na które wyrzuciły go złośliwe fale, i zasłużyłby się napewno wobec własnego kraju odkryciem nowych lądów, gdyby nie zwyczaj barbarzyński, jaki tam panuje. Każdego cudzoziemca, który na ich wyspę zawita, mieszkańcy Serendibu koronują królem—na miesiąc. Po upływie tego czasu król musi zginąć. Mieszkańcy Serendibu widocznie cenili przedewszystkiem bezkrólewia. Lecz znalazłszy szczęśliwie kandydata do korony, niosą go w zapale do stolicy, przy odgłosie surm i kotłów, mających dla biednego Arlekina odgłos prawdziwie pogrzebowej muzyki. Szczęściem, że panować w Serendibie jest łatwo i przyjemnie. Dowodem tego akt drugi. W przepysznym pałacu Arlekin czuje się lepiej niż u siebie w domu. Kuchnia przednia, wino jeszcze lepsze, niewolnic mnóstwo, a wszystkie z poddaniem i rozkoszą spełniają wolę władcy... Można żyć!

Arlekina aż rozpiera:

Moi qui devais des turbôts
Être la pature
Je trouve échappé des flots
Les jeux, le vin, le repos,
La bonne aventure,
O gué
La bonne aventure. ¹⁾

1) Chcąc dać poznać rodzaj kupletów „vaudeville'a,“ pozwałam sobie przerywać od czasu do czasu ciągłość polskiego tekstu i cytować je po francusku. Wymagałyby one prawdziwie dobrego tłómaczenia, którego nie znam, by nie stracić swej lekkości i wdzięku.

Lecz miesiąc się kończy. Arlekin coraz mniej rozumie i szanuje prawa Serendibu. Wkrótce zobaczymy jak zetną mu głowę. Dopełni tego obrządku wielka kapłanka we własnej osobie. W chwili krytycznej zapragnie być sam na sam z ofiarą i usunie lud ze świątyni. Wówczas da się poznać Arlekinowi—to Pierrot, który z Mezzetinem dostał się w samą porę do Serendibu, aby uwolnić dawnego kompana. Wieczorem będą w Paryżu.

Lecz wesoła trójka powróci jeszcze często do Serendibu — egzotyczna wyspa okazała się krajem szczęśliwym dla autora, dyrektorzy zaś odkryli w niej kopalnię złota.

Wytworny dowcip Lesage'a oczyszcza nadto mimowolnie podmiejską scenę z trywialnych żartów i płaskich sytuacji, w które ten rodzaj ludowy w początkach swoich musiał obfitować. Sam Lesage już rzadko da sposobność do wydobycia ze składów teatralnych, choćby naczyń o specjalnym użytku i kształcie, które należały dawniej do ważniejszych rekwizytów; starać się będzie za to o temat zabawny, otwierający pole i dwuznacznym komentarzom, lecz przedstawi go w sposób dyskretny. Kontury operetki zaczynają się już zarysowywać.

Np. w „Arlequin Hulla.“ Na wschodzie, u Mahometan, istnieje zwyczaj, że gdy mąż porzuci swą żonę—co mu wolno—nie może do niej powrócić, gdy zmieni się wzajemne usposobienie małżeństwa, aż poddawszy ją próbie wstrzemięźliwości innego mężczyzny. Ten trzeci, mający stanowczo w tych nieprzyjemnych komplikacjach rodzinnych, najnieprzyjemniejszą rolę, otrzymuje przydomek Hulla. Arlekin i przez tę rolę przejść musi. Ratuje w ten sposób domowe szczęście niejakiego Tahera, który wziął go na Hullę, poznawszy wrodzone jego łakomstwo. Przyprawiając Arlekinowi żonę, ofiaruje mu ją jednocześnie z obfitą kolacją i wystawem winem, kłamiąc mu—lecz żałującemu mężowi wybaczyć to można—że tknąć się jednej nocy dwóch rozkoszy, wzbraniają prawa. I jesteśmy świadkami tej krytycznej nocy, podczas której Arlekin mógłby deklamować, gdyby znał: „osiołkowi w żłoby dano...“ Nad ranem upija się ze smutku. Mąż wyszedł z imprezy cało, żona także, publiczność również, bo całość utrzymaną jest w tonie swobodnym, lecz bynajmniej nie rażącem.

Lesage jest satyrykiem swego wieku. Przeniósłszy się do baraków jarmarcznych, zaszczerpia i tam zdolność obserwacji i śmiałość wypowiedzania sądu. Wkrótce znudzą go najzabawniejsze choćby tematy, o ile nie będą miały styczności z jego otoczeniem i nie będą się zeń wyśmiewać. Po wesołych, jednoaktowych utwo-

rach, jak „Achmed i Almanzine,“ o nieokreślonych bliżej sferach akcji, nastąpią takie, jak „La Boîte de Pandore,“ gdzie autor, posługując się alegoryą, pozwoli Pandorze wypuścić ze swej puszki Pychę i Zazdrość i odmaluje poczciwych mieszczan Paryża pod wpływem tych złych bogiń. Postępując w tym duchu, Lesage zedrże tradycyjne maski osób ówczesnej operetki. I odpadnie wielki nos del signor Dottore, Arlekin porzuci pstrokate szaty, zawstydzony się, że tak długo mógł ubierać się w „kratki,“ Pierrot już nietylko oczyma będzie mógł opowiadać swe miłosne zawody, bo odzyska twarz niebieloną... Lecz czy nie zabraknie na estradzie, nad głowami gapiącej się gawiedzi, wśród ogłuszających ryków trąby i bicia w bęben, pustych figlów tej wesołej trójki urwisów lub conceptów doktora, czy zakochane i smutne oczy Pierrota będą kiedykolwiek mieć tło wyrazistsze i jaskrawsze, jak ta twarz, skazana na śmiech, a zdradzająca cierpienie, lub strój, biały, niezgrabny, obrzucony pomponami, wydłużający jednak mimo to smukłość i giętkość kształtów młodego chłopca. Czy złośliwa kobiecość znajdzie kiedykolwiek lepsze wyobrażenie od ponętnej Colombiny, o naiwnem spojrzeniu a zmysłowych ustach? Zdaje się, że nie, bo obok postaci o współczesnych sukniach i wyglądzie, które wprowadzi Lesage, całej falangi królów i podwładnych, mieszczan w ich rodzinnem życiu, chłopów nawet i par zakochanych, znajdzie się zawsze miejsce dla włoskiej drużyny. Może nawet, więcej dbała o swe powodzenie, powróci strojujejsza niż poprzednio, przynosząc ze sobą nastrój wytworności i finezyi, ciągnąc za sobą właściwe swe otoczenie, swój pejzaż, tło włoskich ogrodów przy zachodzącym słońcu, w których im—jak poświadcza Watteau—tak rozkosznie.

Takimi staną się po roku 1716. W tym czasie Regent, pragnąc zapomnieć o resztkach wpływu, które jeszcze mogła mieć pani de Maintenon, a paniętając, jak zabawną była komedia włoska, przywoła ją powtórnie do Paryża. Obok największych łask, ofiarowuje jej gmach opery czyli Palais Royal, w którym te dwa teatry mieszczą się początkowo na spółkę. Sam bywając na przedstawieniach Włochów, sprowadza ze sobą całą haute volée Paryża. Cóż kiedy mało która z pięknych paryżanek rozumiała po włosku, i mimo najszczerzych chęci i uwielbienia dla dobrego tonu, jaki tam panował, nudziła się nieco. Teatr począł świecić pustkami. Jest to zjawisko, będące zawsze pierwszym i ostatnim powodem reform i zmian na polu teatralnem. Tutaj podobnie, gdyż od tej chwili publiczność zaprzestała uczyć się włoskiego języka, jak to bywało za czasów powodzenia commedia dell'arte.

Za to aktorzy włoscy usiłowali grać w języku francuskim. I to nie pomogło. Publiczność, żadna weselszych wrażeń, zbierała się za murami miasta, na gwarnych jarmarkach. Komedya włoska poszła więc za publicznością i osiedliła się pod kościołem St. Germain des Près. Tem samem wystąpiła do walki z Forainami, którzy tyle przeszedłszy, tyle przecierpiawszy, już prawie pewni spokoju i powodzenia, stanęli wobec nowego współzawodnika.

Współzawodnik okaże się niebezpiecznym. Zechce ich prześcignąć świetnością i bogactwem, a mając środki po temu, zwycięży ich odrazu okazałością wystawy. Tylko że następcy Allarda nie stracili dowcipu, a posiadając w swej armii Lesage'a, mogą walczyć bronią najstraszniejszą — śmiechem. Nie przepuszczą żadnej sposobności wyśmiania niedoświadczonych na nowym gruncie Włochów, którym wpadł do głowy pomysł

...d'imaginer un bal

Dans la ca, ca, ca,

Dans la ni, ni, ni,

Dans la cu, cu, cu,

Dans la ca, dans la ni, dans la cu

Dans la canicule.

W 1721 r. napisze Lesage sztukę p. t. „Le régiment de la Calotte,“ ilustrującą stosunek dwóch trup walczących. Momus, Bóg śmiechu i Forainów, przyjmuje w zastęp urzędowych błaznów przedstawiciela włoskich aktorów, Pantalona, i dopełnia obżądka przyjęcia według rytuału doktorskiej promocji molierowskiego „Chorego z urojenia,“ promocyi, która może zniechęcić najbardziej zdecydowanego kandydata.

Nowe godności nie przynoszą szczęścia trupie włoskiej. Po dwóch latach spędzonych na przedmieściu wraca ona w mury Paryża i zacieśnia swój zakres wyłącznie do rodzaju lekkiej komedyi, doprowadzając w tym kierunku i repertuar i grę autorów do doskonałości. Dość powiedzieć, że Marivaux jest jej stałym współpracownikiem. Obrazę jednak panięta i przy sposobności przypomni władzy, że tak zuchwałym i niegościnnym Forainom, prawdę powiedziawszy, „mówić“ nie wolno. Protegowani Regenta mieli wpływ — Forainom zostaną znów tylko monologi.

I walka, bezwzględna ze strony władzy, zawsze pełna konceptów ze strony prześladowanych, rozpoczyna się na nowo — po raz drugi. I zawsze ci ostatni umieją wyzyskać ją na swoją korzyść.

Owczesny dyrektor jednego z jarmarcznych przedsiębiorstw, Francisque, szuka monologu, któryby, rozbawiając widzów, nie dopuścił do zamknięcia teatru. Przypomina sobie wówczas o istnieniu niejako Pirona, którego piosnki krążyły już po ulicach Paryża, wiernego gościa Café Procope i prawdopodobnie jeszcze wielu innych, mniej poważnych instytucyj. Potrafi wydobyć z niego w przeciągu 24 godzin całą sztukę, tak napisaną, że mówi w niej tylko jedna osoba. Sztuka ta jest więc monologiem. „Arlequin-Deucalion“ rozprawia przez cały wieczór jak kołowrotek, sypiąc dowcipami jak z rękawa, przyczepiając każdemu łatkę: drącym nos w górę synom Marsa, palestrze i literaturze, w których temperamenta grają, niezem ukrop w garnku, i przedstawicielom kościoła, tak mnożącym grzechy, przeciw którym występują, jak mnożą się sami, mimo że nie znają małżeństwa. Używa on na uroczystej komedyi i jej przedstawicielach urzędowych i sztywna Melpomena, której kazał na scenie słuchać tych inwektyw, choć raz musiała stracić swą tragiczną powagę. Arlekin nie przepuścił i komisarzowi policyi, obecnemu z urzędu na sali, a ten milczał cierpliwie, nie mogąc słowa odpowiedzieć, bo tem samem wszcząłby dyalog, nie dozwolony w teatrze Francisque'a.

Gdy w kilka tygodni po efektownym monologu Francisque wystawia na jarmarku St. Laurent sztukę zupełną i w treści i w formie, p. t. „Tirésias“, tego samego Pirona, mściwy przedstawiciel władzy okaże swoją siłę. Zwłaszcza że sztuka mogła wydać się groźną dla moralności publicznej.

Tiresias, młodzieniec rodem z jednego z miast greckich, ma nieszczęście, kochając się w Kariklej, rywalizować z samym Jupiterem. Jupiter bowiem, gdy postanowi zdradzić swą wierną Junonę, to już nie przebiera w środkach. Biednego Tiresiasa, którego po wielu próbach, zabiegach, wysiłkach i przekonywaniach Karikleja ma zamiar wreszcie uszczęśliwić w sposób, o jakim on właśnie marzył, Jupiter w samej krytycznej chwili zamienia nagle w kobietę. I teraz Karikleja wyczekuje, dziwi się, pyta... napróżno. Tiresias ucieka, przyjmując i strój płci, jaką posiadał. Rozkochana Karikleja puszcza się w pogoń za kochankiem i dla łatwości pościgu przebiera się za mężczyznę. Przy spotkaniu sytuacja powtarza się, bo Tiresias, jako kobieta, zakochuje się w Kariklej, widząc w niej mężczyznę. Sytuacja doprowadzająca powtórnie do chwili krytycznej, równie nierozwiązanej jak poprzednio. Szczęściem dla tej prawdziwie niefortunnej pary kochanków, Junona wdaje się w tę sprawę i chcąc sobie zabezpieczyć wierność Jupitera, przywraca dawny stan rzeczy.

Szczęście Tiresiasowi sądzonem jednak nie było. Wyszedłszy z pod wpływu magicznej siły bóstw, dostał się w ręce policyi, która osadziła go — dyrektora Francisque'a, który grał rolę Tiresiasa — w ciemnicy. Stało się to w r. 1722.

Wypuszczony na wolność, Francisque nie zmienił sposobu postępowania, starając się w dalszym ciągu obchodzić władzę i na swoim postawić. Urzędowo wolno mu grać już tylko za pomocą maryonetek. Przygotowuje więc trupę aktorów z drzewa, ale wielkości naturalnej, i wkłada im w usta treść operetki Pirona p. t. „Le mariage de Momus.“ Całość nie idzie składnie; tego rodzaju artyści niezgrabni w ruchach, dykcją swoją tembardziej zadowolili nie mogą. Widział to i cierpiał nad tem zapobiegliwy dyrektor, szczęściem niedługo. Za pomoc w urządzeniu uroczystości koronacyjnej Ludwika XV-go, otrzyma przywilej na przedsiębiorstwo prawdziwego teatru — a sam król otworzył jarmark St. Germain dnia 3 lutego 1723 r. Więc zmieniają się czasy. Biedny Allard w marzeniach swoich nawet nie spodziewał się przyjmować króla w obrębie swego panowania.

I Piron będzie mógł dalej rozmieszać widzów, przez czas jakiś przynajmniej, np. „Klappermannem.“ Klappermann jest to tytuł jednej z jego sztuk i zarazem nazwa jednego z potrzebniejszych, według Pirona, urzędów. Każde miasto powinno jaknajprędzej postarać się o Klappermanna, jeżeli chce aby stała w niem zawarte żyły szczęśliwie i zgodnie. Klappermann rozwiązuje kwestyę niezgody małżeńskiej w sposób bardzo prosty. Nocą obchodzi ulice wydzwanając godziny, co czynić powinien tak głośno, aby mężowie nie mogli nigdy zasnąć dłużej niż godzinę i mieli wciąż w pamięci obowiązki małżeńskie. Z atrybutami czynności prostego nocnego stróża, Klappermann stać się może czynnikiem rozrostu zaludnienia. Tymczasem wywołuje prawdziwie zabawne sytuacje między Arlekinem i Olivettą, Gargouillem i panią Gautier.

Kuplety Pirona cieszyły najwięcej dobrodusznego Panarda. Mógł się na nich poznać, bo sam pisywał niezgorsze. Panard

Ami de tout la monde

D'une humeur assez douce et d'une_âme assez'ronde,

gładki w stosunku do ludzi i Boga, był gładkim i pod względem kształtów, bo Stwórca tuszy podobno mu nie poskąpił, i gładko składał wiersze. Uśmiechnięty i pogodny, byle widział przed sobą ze dwie duże butelki Bordeaux, miewał często „bons mots,“ które podawał w formie naiwnego zdziwienia:

Quelle folie,
 Quelle manie,
 Pour un époux,
 D'être jaloux.

Que sa chimère,
 Me fait pitié,
 De vouloir garder tout entière,
 Celle qui n'est que sa moitié.

Nie ośmielił się nigdy, inaczej niż Piron, poruszyć tematu choć trochę drastycznego i dzięki niemu, „vaudeville“ stał się „szkołą cnoty.“ Panard wydoskonalił może jeszcze technikę dramatyczną tych sztuczek zabawnych i lekkich (La mère embarrassée, Le époux réunies, Pygmalion) a zwłaszcza kuplet, który zyska na wytworności i choć nie posiada jeszcze pierwszego miejsca, jest już ulubioną atrakcją i niezbędnym czynnikiem „vaudevilla.“

Piron i Panard nie wnoszą może żadnego nowego elementu ani nie sprowadzają żadnej wybitnej zmiany na scenie, dla której pracują, twórczość ich jednak dowodzi, że zwracają się do widzów z wyższej klasy społecznej niż ci, którzy słuchali ich poprzedników, widzów o wyrobionym smaku, zawsze wymagających, nawet w chwilach swobodnego wytechnienia i głośniejszej wesołości.

Panowanie Forainów nie było jednak tak silnem i pewnem, jakby, z osoby królewskiego protektora wnosząc, przypuszczać było można. Za długo żyli ci przedmiejscy artyści na wojennej stopie z całym swym otoczeniem i psotna natura poniosła ich jeszcze nieraz, gdy tylko sposobność docięcia komukolwiek. Za długo uważano ich za wyrzutków artystycznych Paryża, czepiających się tylko ukradkiem krajów płaszcza wielkiej Melpomeny, aby uznać pełne prawa ich rozwoju. Pewnego dnia 1726 roku, kardynał de Bissy wyrzucił ich z jarmarku, którego był właścicielem i operetka rozsypie się po przyległych ulicach, Buci, Quatre-vents, Monsieur-le-Prince. Skutek tych przenosin okaże się wręcz przeciwnym od nadziei kardynała, gdyż zamiast lepszego wyzyskania ich dawnych budynków, straci na wszystkich innych, na równi z resztą jarmarcznych przedsiębiorców. Bez Forainów jarmark świecił pustkami.

Nie dano im jednak czasu by mogli nacieszyć się przeświadczeniem własnej wziętości: zazdrość aktorów Komedyi francuskiej skorzystała z chwili aby przypomnieć, że przywileje ich mają znaczenie tylko w obrębie jarmarku, do otwierania bowiem teatrów poza nim nikt ich nie upoważnił. I policja rozwiązała im trupe,

Lecz trzeba żyć i zapracować na chleb dla rodziny i dzieci. Gdy zaczyna trapić ich głód, przychodzi im na myśl, że może dzieci same potrafią pracować na siebie? Nauczyć je grać i tańczyć i posłać na scenę? Przecież to nie aktorzy, władza przeciw nim nic mieć nie może, publiczność rozbawiona pomysłem zleci się tłunnie i teatr utrzyma się w dalszym ciągu? Myśl ta, zdaje się, nie miała jeszcze czasu dojrzeć w głowie dyrektora Pontau, jak już zaroiło się na deskach sceny od płowych główek, jasnych ślepiąt i figur aktorskich, nie sięgających po pas prawdziwym artystom, które piskliwymi głosami, lecz najzupełniej do taktu, śpiewały kuplety operetek Panarda p. t. „Les Petits Comédiens“ i „Le parterre merveilleux.“ Autor tych sztuk oddał tego wieczoru prawdziwie krew swoją sztuce: syn jego kilkoletni grał główną rolę, a ojciec umiał tę okoliczność zrećźnie wyzyskać:

S'ils n'ont par l'honneur du vous plaire.
 Epargnez-les; c'est moi messieurs,
 Qui doit porter votre colère.
 J'ai fait la pièce et les acteurs.

Przestroga okazała się zbytęczną. Wdzięk dzieciństwa zrobił swoje i publiczność szalała z zachwytu. Zachwyt doszedł do Wersalu i król zavezwał do siebie autora i dyrektorów „z rodzinami,“ aby móżd nacieszyć się grą młodocianych artystów.

I z nowym obrotęm księżyca, dzięki nowej łasce królewskiej, nasz „vaudeville,“ bardziej żywotny niż kiedykolwiek, posiada znów kilka przedsiębiorstw i po kilkunastu aktorów w każdym.

Jak widzimy, dowcip nie opuszcza Forainów, mimo że naprawdę nimi być przestali, staje się wprost tradycyjnym, bo wielu przedsiębiorców, od czasów Allarda, musiało się nań zdobywać. Oprócz wspomnianych jeszcze Honoré, Pontau, De Vienne i wielu innych, jak Fagan, Carolet, Gallet, Lagrange, d'Allainval, Valois, d'Orville, zupełnie świadomie poświęcają swój talent i pracę wyłącznie nowemu rodzajowi, uznając jego znaczenie i wartość. W r. 1679 „vaudeville“ uzyska nawet swego teoretyka. Niejaki Nougaret wyda w tym roku dwutomową książkę, w której z Arystotelesem w rękę, znając teorye Skaligera i Jana de la Taille, pełen czci dla Poetyki Horacego i Boileau'a, rozpatrywać będzie o ile jeszcze „nowy rodzaj“ nie wypełnia przepisów sztuki dramatycznej. Tem samem wykaże, że zupełnie nie rozumie prawdziwej jego istoty, celu i racyi bytu, które można streścić w zdaniu: operetka powinna bawić; lecz dowiedzie, że „vaudeville,“ ta

progenitura skoków i koziołków, tak niedawno będący jeszcze sposobnością pokazywania sztuk magicznych, uznanym został w opinii publicznej za rodzaj literacki, godny estetyczno-krytycznych roztrząsań. Zajmują się nim i oddają mu „literaci“ już nie z powodu okoliczności ubocznych, jak ci przedsiębiorcy teatralni, którzy klecili parę scen przez jedno popołudnie, by mieć co grać wieczorem, ani z powodu kaprysu lub przypadku, jak Lesage, lecz wskutek pewnego pociągu i zdolności do tego właśnie rodzaju. Oni stwierdzają wzięcie, jakie posiada „vaudeville“, wzgardzony jeszcze przez wielkie teatry, lecz uznany i ceniony przez przedstawicieli literatury. Kilku z nich, próbując swych sił w jego zakresie, dochodzi do rozgłosu i sławy literackiej.

Twórczość Vadé'go, Favarta i Sedaina doprowadza „vaudeville“ do szczytu artystycznego rozwoju. Dzięki nim uzyska znamiona epoki, w której powstał, będąc jej odzwierciedleniem. Z tą chwilą „vaudeville“ staje się rysem potrzebnym do wyrazu fizjonomii wieku, a utwory, w jego zakres wchodzące, należą już do historii literatury.

Twórczości tych trzech autorów warto przypatrzeć się bliżej.

*

*

*

Vadé, Favart i Sedaine pracują dla opery komicznej w warunkach najzupełniej innych niż ich poprzednicy. Obok względnego spokoju i przeciętnie nieprzerwanego istnienia drogiego im „vaudeville“, na ich twórczość wpływa odmienny jego stosunek do muzyki.

A mianowicie. Do połowy XVIII-go w. muzykalna Francya, zawdzięczając swój byt w wielkiej mierze Lulli'emu, znała, wierzyła, przysięgała tylko na swego mistrza. Nagle, 2-go sierpnia 1752 r. ujrzała przed sobą nowy świat muzyczny, świeży i bogaty, który ukazał się przed nią w całej swej chwale w „Serva Padrona“ Pergoléza.

Dnia tego w łonie muzykalnej Francyi powstało rozdwojenie. Jedna jej część pragnęła pozostać wierną dawnym i ojczystym bogom, druga, porwana urokiem muzyki włoskiej, zrywała z tradycją. Walka artystyczna wyraziła się wkrótce w sposób ze-

wewnętrzny, dzieląc wszystkich wyznawców sztuki na dwa wrogie obozy, rozdzielając nawet... małżeństwo królewskie. Szczęściem, że nie po raz pierwszy. Królowa otoczyła opieką „Bouffonów“—tak zwano wyznawców muzyki włoskiej—król bronił sprawy muzyki narodowej. Opera stała się mimowoli terenem walki i miejscem przeglądu sił zbrojnych. Król i królowa zajmowali w operze łoża osobne, znajdujące się na dwóch przeciwnych stronach teatru, pod którymi gromadziły się co wieczór zastępy muzycznych bojowników. Stąd urodziły się nazwy tak charakterystyczne dla historii muzyki w XVIII w.: „le Coin du Roi,“ „le Coin de la Reine.“ W tym drugim zbierali się, obok wielu innych, prawie wszyscy „filozofowie:“ Diderot, Buffon, d'Alembert, Turgot, Holbach, Helvétius, Rousseau... Król musiał przegrać sprawę.

Tembardziej, że ta rewolucya muzyczna ogarniała i inne miasta Europy. Niedługo czekać jak Józef II i dwór wiedeński zachwycać się będą Gluckiem i jego „Ifigenią w Aulidzie;“ Piccini gromadzi około swego fortepianu panujących i książąt. Paryż nie może pozostać w tyle i „Les muses galantes,“ pierwsze dzieło muzyczne Roussa, stworzone w duchu nowej muzyki, zdobywa jednogłośnie uwielbienie. Na przedstawieniu drugiej jego opery p. t. „Le devin du village,“ piękne paryżanki zalewają się łzami, w czem prawdopodobnie dopomagały im rozkrzyczane dzieci. Prawdziwa symfonia rozczulenia. Albowiem tego wieczoru wszystkie matki, wzięwszy do serca nauki Roussa i obowiązki macierzyńskie, wystąpiły w teatrze z niemowlętami przy piersi, które, nie tracąc nic z fizycznego, korzystały anticipando i z duchowego pokarmu.

Ktokolwiek chciał zajmować się muzyką, musiał iść za Włochami. Ten problem stał się obowiązującym i dla dawnego „vau-deville.“

Od chwili, w której dostała się doń podstępnie i przypadkiem uliczna piosenka, nie przestał już śpiewać, bo śpiew i taniec oddawna zgodnie chodziły w parze. Popularnych piosenek nigdy nie brakło, wiemy, że i o kuplety nie było trudno, chodziło więc tylko, aby złączyć jako tako słowa z muzyką i całość była gotową. Autor kupletów musiał w tych czasach wysilać nietylko swój dowcip, lecz i ucho, aby uprzytomnić sobie jakąś melodyę „na swojską nutę“ i do niej nagiąć rytm wiersza. W ten sposób pracowali Lesage, i Piron i Panard, „parodując muzykę“—tak nazywano owo podwójne zadanie autora. Gdy jednak, z czasem, sztuk z kupletami zaczęło być coraz więcej, a troska przedsiębiorców o ich powodzenie nie pozwalała posługiwać się zbyt często

temi samemi melodyami, mniej muzykalni autorowie zaczęli być w kłopotcie, zwłaszcza, że wogóle trudno jest stosować rytm i formę wiersza, który ma się napisać do już istniejącej muzyki.

Wówczas ułatwiono pracę autora, pozostawiając mu wyłącznie kompozycję kupletu, a muzykę do niej dostosowywać miał ktoś inny, znający się na niej fachowo, osobno na ten cel zaangażowany. Gdy artysta-muzyk nie umiał wynaleźć jakiejś znanej a miłej melodyi i pomógł sobie, dorabiając inną, własną, jak czynili to np. Lacroix, Fromont, Gillier i in., z tym dniem powstała operetka, której wkrótce z jej dzisiejszych elementów i warunków już nie brakować nie miało.

Lecz muzyka, muzyka w prawdziwem tego słowa znaczeniu, dostaje się na przedmieścia, dopiero dzięki powodzeniu opery włoskiej i podstępowi Jana Monneta.

Jan Monnet, który miał szczęście czy spryt spotkać za młodu protektorkę, niczem Rousseau panią Warens, starszą od niego wiekiem, gotową mimo to do największych poświęceń, znalazł się po jej śmierci na bruku. Próbując wielu zawodów, został z kolei dyrektorem jednego z podmiejskich teatrów. Z zadania swego wywiązał się dobrze, tylko, że niedługo zostawiono mu pole do popisu, gdyż wkrótce otrzymał rozkaz zwinięcia przedsiębiorstwa. Wówczas przez kilka lat tuła się po francuskiej prowincyi, jak drugi Molière, i studyjuje urządzenia teatralne w londyńskim Covent-Garden. Za powrotem do Paryża, mając pieniądze i pozwolenie, wystawia w 37 dni, na jarmarku St. Laurent, osobny budynek teatralny o wydoskonalonej maszyneryi scenicznej na wzór angielskich, a sam Watteau maluje mu salę i dekoracye. Nic tylko to. Ponieważ to chwila mody muzyki włoskiej, zapowiada on na dzień 30 lipca 1753 r. przedstawienie nadzwyczajne, na którym będzie miał zaszczyt przedstawić paryskiej publiczności nieznanego literata Vadé'go, autora sztuki p. t. „Les Troqueurs,“ do której dokomponował partyturę muzyk niemiecki, sławny już, choć młody, proszący o incognito i dyskrecyę. Dowcipem Monneta było, że kompozytorem tej muzyki „à l'italienne“ był młody i nieznanany... Francuz, niejaki d'Auvergne, podczas gdy wszyscy najwięksi znawcy byliby dali głowę, że słuchają prawdziwie niemieckiej muzyki.

Monnet zaprotegował w ten sposób zdolnego muzyka, znalazł autora i zmusił publiczność do przyjęcia z zapałem tę najważniejszą reformę w zakresie „vaudeville.“

Ta zasadnicza zmiana „vaudevilla“ wносиła doń z jednej strony element muzyczny w formie zupełnie poważnej, z drugiej

strony pozwalała na prawdziwe rozwinięcie skrzydeł literackich talentów, nie krepując już wiersza. Ma się rozumieć nie zaszła ona równorzędnie we wszystkich choćby przedsiębiorstwach i nie zawsze w równym stopniu we wszystkich utworach. Stąd pochodzi, że można zauważyć w tej epoce pewne rozdzielenie się, poprzednio dość jednolitego w tonie i formie rodzaju „vaudeville.“

W niektórych sztukach muzyka pozostanie zawsze na drugim planie, będąc tylko efektownem tłem w scenach, np. wejść tryumfalnych bohatera, lub dramatycznych zakończeniach aktów, i te będą degenerować do t. zw. „comédie à ariette,“ aż staną się wreszcie dzisiejszą farsą, przeplataną tu i ówdzie śpiewką lub paru figurami modnego tańca; w innych, muzyka wzbija się na miejsce pierwszorzędne, zachowując dla siebie prowadzenie akcji, charakteryzowanie nastroju, wypowiedanie uczuć, będąc jakgdyby duszą całego utworu — i te, otrzymawszy w XVIII w. urzędową nazwę opery-komicznej, są pierwotnym kształtem dzisiejszej operetki w wyższym stylu.

W XVIII w. nawet jej strona literacka jest interesująca.

*

*

*

W chwili, w której Monnet zaprosił Vadé'go do wspólnej pracy nad wprowadzeniem do „vaudeville“ muzyki „à l'italienne,“ Jan Józef Vadé, pomocnik handlowy jednej z mniejszych firm, w jednym z odleglejszych kątów Paryża, żył wesoło wśród swego podniejskiego otoczenia, bawiąc się doskonale ze światkiem, jaki go otaczał, bawiąc się jeszcze lepiej obserwacją jego zwyczajów, a zwłaszcza jego języka. Podstuchiwał kłótniwe straganiarki, rozprawiające ze swemi towarzyszkami po fachu, lub gwarzenia miłosne grubych dziewczek od praczki z ich wielbicielami. Podbudzał wymowę stróżów kamienicznych i cieszył się każdym gwałtowniejszem nieporozumieniem obdartych andrusów ulicznych. Często docierał do hal centralnych i tam poił oczy i uszy widokiem, jaki mu się przedstawiał i dobozem słów, których nikt nie skąpił.

Hale rybne i kumoszki o zakasanych rękawach i pięści gotowej do czynu, były dla niego tematem studyów i natchnienia.

Im poświęcił parę swoich wierszy p. t. „Quatre bouquet poisards.“ „Poissard“ słowo utworzone od „poisson“ miało samym dźwiękiem charakteryzować treść tych utworów i „milieu“ do jakiego się odnosiły. Dzięki Vadému „Les dames des Halles“ przeszły do literatury. Gdyby chociaż miały tę ambycję. Gdy zaś złożył wierszyk na wypadki polityczne, w którym „urządził“ jakąś chwilową wielkość, wówczas szedł do słynnego „Caveau“ pierwszego kabaretu na horyzoncie paryskiego bruku, istniejącego od r. 1737, gdzie na wspótkę z Galletem, Collém, Pironem, l'Atteignant i Favartem pił za zdrowie delikwenta, który miał nieszczęście dostać się pomiędzy zwrotki jego ostatniej piosenki. Tam znajdował uznanie i tam rodziła się jego sława, która doszła aż do Monneta.

Po pierwszej udanej próbie dramatycznej, którą była sztuczka p. t. „Les Troqueurs,“ Vadé nie porzucił już sceny; przeciwnie, poczuł dopiero prawdziwe swe powołanie.

„Vaudeville“ był wówczas jeszcze w fazie alegoryi. Młody autor poddał się początkowo panującemu kierunkowi. Tak powstał utwór p. t. „Le Bouquet du Roi.“ Lecz wkrótce sztuki, jak „La Fileuse,“ „Le Poirier,“ „Les Troyennes,“ okazują więcej samodzielności. W „Trompeur Trompé“ i „La suffisant“ Vadé ośmiela się na studjum charakterowe, skromne i odpowiednie do ram, ale już o pewnej całości i plastyce, niczem w poważniejszej komedyi.

W operze komicznej p. t. „Le suffisant“ są dwie kobiety, Klitia i Elwira, obie zakochane w młodym i miłym Lindorze. Elwira polega na swoich licznych, dawnych tryumfach: pozostała jej po nich sztuka powodzenia; jej siostrzenica Klitia ufa w swą szczerą miłość i młodość: ta jej nie zawodzi, bo Lindor ku niej się zwraca. Lecz niech się obie strzegą Chevaliera, gdyż ten, przynajmniej w swoim własnym o sobie mniemaniu, stąpa po świecie, jako zdobywca serc niewieścich.

Zajmuje się Klitią. Wierzy, że będzie szczęśliwą, otrzymując od niego lekcyę wyższej ogłady i dowody sympatyi. Dziwi się więc bardzo, gdy ona daje większe prawa Lindorowi. Zostanie mu Elwira i w jej uczuciu szukać będzie poszkodowania. Elwira wzgardzona przez Lindora pocieszyłaby się chętnie Chevalierem, lecz epizod z Klitią przekonał i ją o jego wartości, odprawia go, jak jej siostrzenica. Szczęściem dla Chevaliera, wypadki te nie wzruszają go zbyt, zarozumiałość zaślepia go tak dalece, że nie odczuwa nawet niepowodzeń. Przygotowuje się tylko do nowych tryumfów i zdobyczy.

W chwilach największego uznania jego zgrabnych alegoryj i powodzenia pewną ręką wykrojonych markizów, Vadé tęskni do swoich dawnych pociesznych figur, któremi się otaczał; nie mając ich koło siebie, wprowadza je na scenę. Tem samem uczy, że można zaszcześcić na niej wypadki prawdziwe, dotyczące ludzi nie z salonu i dworu lub mitologicznych postaci, lecz tych najniżej położonych, których życie spływa między brudnym warsztatem jakiegokolwiek zajęcia i równie brudnem wnętrzem szynku „Pomme aux Pins“ lub „Des Porcherons,“ miejscem ich wytchnienia. I pozwala tym praczkom i przekupkom, rybakom z nad Sekwany, chłopstwu i żołnierzom rozmachiwać rękami tak, jakgdyby byli jeszcze tam u siebie, w „Pomme aux Pins,“ pozwala im mówić tak głośno, jakby już po dwóch łykach pokrzepiającego napoju. Vadé jest za naturalnością, prawie za naturalizmem. Najciekawsze opery komiczne Vadégo należą więc do rodzaju „poissard,“ jak „Nicaise,“ „Jerôme et Fanchonette“ „Pastorale de la grenouillère,“ „Les Racleurs“ i t. d.

Przypatrzymy się operze komicznej p. t. „Les Racleurs.“ Akcja jej ma za tło wnętrze sklepiku z rybami. Javotte, córka pani Saumon, przekupki z „Halles,“ jest heritièrą dzielnicy. Ma wyjść za mąż, chodzi więc o wybór pomiędzy pretendentami i na tem polega intryga. Małżeństwo z rozsądku: p. Toupet, obiecujący fryzyer, jest kandydatem matki; małżeństwo z miłości: Javotte skłania się ku p. de la Brèche, sierżantowi gwardyi narodowej, z godności i z miny. Prawa i władza matki zrobiłyby swoje, gdyby nie pomoc towarzyszyków de la Brèche'a, niejakich Jolibois i Sans Regret, włóczących się po kraju, celem zdobywania ochotników do wojska. Javotte uda wielką miłość dla Toupeta, ten z radości pić będzie na szczęście, i upity, myśląc, że kupuje bilety loteryjne, podpisze wojskowe zobowiązanie.

Wartość tej sztuki polega przedewszystkiem na sposobie wyrażania się działających osób i w obrazie obyczajów, jakie przedstawia.

Gdy w scenie oświadczyzn konkurent w niełasce ofiarowuje swe serce:

JAVOTTE. Quoi qu' c'est qu' vot' p'tit coeur? Mais voyez donc et' magot échappé de d'ssus la tabatière du gros Thomas? Son p'tit coeur!!!

TOUPET. Mais vous avez tort, car je suis porteur' d'une figure heureuse.

JAVOTTE. Ah! oui, fort heureuse, et si heureuse, qu' ma mère f'rait ben d'vous pendre à sa boutique en manière d'enseigne: un merlan comm' vous s'verrait de loin; ça l'y port'rait bonheur, ça y attirerait des pratiques.

TOUPET. Né badinez pas; sans vanité je pense être d'une structure...
 JAVOTTE. Oni, il est ben campé, avec ses deux jambes de flûtes à l'ognon.
 Adieu, bijou de la foire Saint-Ovide! Oh! j'l'epouse, t'as qu' à venir; va, pain mollet d'la dernière fournée...

W obronie zawodu matki, Javotte, lub jej siostra Tonton, wypowiedzą z miejsca parę słów, jeżeli nie wyszukanych, to dlatego, że musiały iść potoczyście:

„Parles-donc, moule à chandelles de vingt-quatre à la livre; quoi qu' c'est une harengère? Avec son plumet d'un blanc jaune, tirant sur l'agonin, on voit ben que vous soufflez l'feu avec vot' castor, car la chiçorée qui est dessus, est fumée comme un jambon, Monsieur d'Mayence; mais c'est vrai, t'nez c'minois d'tambour de basque, dire que ma mère est une harengère, une femme qui élève ses filles comme des duchesses.“

Ta gwara ludowa bawi autora; on posiada jej dokładny słownik i zna gramatykę klas, które wprowadza na scenę. Sans-Regret i Jolibois spierają się, np. czy należy mówić: „J'avons été dedans la compagnie,“ czy też „J'ons été là et là.“ Sierżant La Ramée godzi ich rozstrzygając, że mówi się zawsze, „Nous ont été queuqu' part.“

Obyczaje tych ludzi są w związku z ich sposobem mówienia. Młoda dziewczyna zachęca niemilego jej narzeczonego:

„Mais j' l'avertis d'avant témoin
 Qu' les enfants dont i sera l'père.
 Si s'ront parents d'un peu loin“

Jej szczerłość i ta pewna prostota w charakteryzowaniu przysłego pożycia zachwycała wszystkich. Niebawem „le genre poisard“ zapanował wszechwładnie na scenach teatrów podmiejskich, stając się główną atrakcją i tych, którzy na niej odnajdywali siebie, i tych, dla których on był jakimś nieznanym egzotykiem. Zwłaszcza tych ostatnich. Książątka znudzone dworem i etykietą i zblazowana arystokracja, kapryśne wytwornisie, i markizy o przesubtelniomem poczuciu smaku zaczęły przepadać za śmiechem szerokim, łatwym, przedewszystkiem trywialnym. Towarzystwo przesycone wytworną rozmową o dwuznacznych „pointach,“ rzucanych dyskretnie z charakterystycznym znużeniem powieki, odpoczywało przy żartach grubych, podawanych wprost i jawnie, jak potrawy na stół.

I wszystkie piękne panie dworu tej dogasającej monarchii, prawdziwe satelity wersalskich słońc, których już tak nie wiele miało wzejść i świecić dla blasku Francyi — te wszystkie panie dworu, które od czasów Franciszka I-go ćwiczyły się pokoleniami w „dobrym tonie“ i coraz bardziej dystygnowanych pozach i ukłonach, które od czasów Ronsarda i Abbé'go Desportes, czy to ucząc się geografii na „Mape du Tendre,“ czy to jako „Precieusy“ w wieku XVII-ym, czy jako „bas bleus“ i orędowniczki encyklopedyi za Ludwika XV-go, które aż do epoki madrygałów Voltaira, były heroinami najwyszukańszych w treści i w formie sonetów—wszystkie zapragnęły mówić, jak Javotte lub Mme Saumon, jej matka. Vadé został mianowany profesorem do wykładów języka „poisard,“ którym obracać począły pierwsze języczki Francyi...

Z obyczajami poszło dużo łatwiej. Zepsute towarzystwo XVIII w., znajdowało nową podniechę w zmianie formy i typu zabawy, wyczerpanej przez nie już do dna. Radością było dla modnych kawalerów móżdż patrzeć, jak damy ich serc przyjmowały jawnie aforyzyny Jérôme'a lub Fanchonnetty, podobne zresztą do tych, których słuchały już tyle od nich samych, ale z za wachlarza.

„S'encanailler“—słowo stworzone w XVIII w.—i to jawnie, zginać w rozbawionym tłumie, ocierać się, jak równy z równym, ze swym lokajem, który, podawszy do stołu, poszedł pohulać, zrzucić choć wieczorem maskę dobrego wychowania, zapomnieć już raz o wiecznem poszukiwaniu le fin du fin, a żyć i użyć — stało się jawnem hasłem Paryża. Opera komiczna i Vadé dawali do tego pyszną sposobność.

Na tem polegało ówczesne ich powodzenie, ale i w tem tkwiło dla nich poważne niebezpieczeństwo. Dzięki Vadé'mu, teatr opery komicznej powracał do roli dawnych, zapomnianych już bud jarmarcznych, obliczonych na tłum, szukający tylko podrażnień zmysłowych. Trywialność, która zapanowała w nim powtórnie, była obecnie o tyle groźniejszą, że tym razem umyślną, uważaną za pewną formę artystyczną.

Lecz niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Po przez charakterystyczny sposób wyrażania się tych przekupek i rybaków z nad Sekwany, przewijało się czasem słowo głębsze, malujące ich nędzę i ciężką dolę i mimowolnie zarysowywał się obraz ich życia, które całe schodziło im na dnie społeczeństwa. Obraz ten stawał się chwilami wyrazem buntu przeciw niesprawiedliwości losu, zwłaszcza w porównaniu z życiem tych, dla których był namalowanym. Powtórę, w typie i rodzaju twórczości Vadé'go jest pewna próba realistycznego ujęcia przedmiotu i pragnienie

dokładnej obserwacji. Zamiast nieokreślonych, pustych przestrzeni, fikcyjnych krajów i egzotycznych wysp, które dotąd bywały miejscem wydarzeń scenicznych, Vadé przedstawia kąt znanej ulicy Paryża, lub wewnątrz jakiejś głośniejszej „Pomme aux Pins,“ z podwójnym rzędem flaszek w bufecie, pociągające nawet na scenie, zwłaszcza tych, którzy znali je bliżej w rzeczywistości.

Twórczość Vadé'go jest ważnym momentem w rozwoju opery komicznej, zwłaszcza, że schodzi się z twórczością Favarta.

Favart, syn cukiernika z ulicy Verrerie, ucząc się fantazyjnych hieroglifów na tortach i bicia śmietany do kremów, poczuł natchnienie poetyckie. Nic nie mogło oderwać go od przedstawień teatralnych, dawanych na jarmarku St.-Laurent i często porzucał pysznie rosnącą babę w piecu, chcąc dorobić czternasty wiersz sonetu. Lecz żył w epoce, w której dzieci spełniały wolę rodziców: został cukiernikiem. I nie pozostało mu nic innego, jak zastosowywać poczucie arcyzmu, jakiego wymagał od swoich rondów czyli elegij do francuskiego ciasta, co mu się widocznie udawało, bo interes szedł. Największą jednak radością były zamówienia na większe przyjęcia, gdzie pozwalano mu dodać do kulinarnych produktów pomysł jakiegoś efektownego *divertissement* dla gości. Potrójna rola, którą wówczas spełniał, kucharza, autora i reżysera, posłużyła mu:—gospodarz jednej z takich uroczystości, *Le fermier général Bouret*, wziął go w opiekę. W parę lat Favart jest ulubionym autorem opery komicznej. Wkrótce będzie jej dyrektorem, a w chwili zamknięcia jej, które, jak wiemy, powtarzały się często, przyjmuje zaproszenie Maurycego Saskiego na dyrektora „obozowego“ teatru. Favart pojął swoje zadanie patryotycznie. W przerwach między dwoma bitwami, w rozstawionym namiocie, grywał sztuki, mogące być dla żołnierzy wypoczynkiem po zwycięstwie wczorajszym, a zachętą do jutrzejszej walki. Maurycy Saski inaczej może rozumiał stanowisko kierownika trupy. Favart był żonatym od lat paru z Maryą Justyną Duronceray, poprzednio aktorką w jego trupie, następnie współpracowniczką w jego twórczości scenicznej. Pani Favart grywała pierwsze role w operetkach męża i z niewielkim głosem, ciekawym noskiem i sprytnymi oczyma, grą swobodną, świadomie drażniącą, oddając pysznie wszystkie odcienia zmysłowej naiwności, czarowała widzów, między nimi i Maurycego Saskiego. Ten osadził panią Favart we własnym obozie i począł zdobywać jej cnotę. Broniła się podobno, lecz Maurycy Saski był wielkim zwycięzcą—więc musiała się poddać. Mąż stał się jeńcem tej podjazdowej

walki: wsadzono go do więzienia. Favart przeżył wówczas parę ciężkich lat, czy to w zamknięciu, czy to będąc narażonym na ciągłe przeszkody w urzeczywistnieniu wszelkich swoich zamiarów: ciągle chciano go mieć bezsilnym. Przez cały ten czas, cierpiąc fizycznie i z miłości, dobijał się o swe znieważone prawa męża wszystkimi środkami, na jakie go stać było, i odrzucał z pogardą wszelkie zadośćuczynienia pieniężne. Korespondencya rozdzielonych małżonków jest dowodem ich wzajemnej miłości. Korespondencya ta dowodzi nadto jak Favart pojmował małżeństwo poważnie i odmiennie od ówczesnego wielkiego świata. Mało kto przychodził mu z pomocą, bo mało kto go rozumiał; przecież małżeństwo powinno zawsze wzbogacać męża nie tylko posagiem żony. Favart był w sprzeczności z XVIII w.

Po kilku latach rozłąki państwo Favart połączyli się powtórnie. On dalej pisał operetki, ona tańczyła w nich. Czas zrobił swoje i starość nadeszła pogodna i spokojna.

Literatura jest czemś odmiennem niż życie. W pojęciu własnego małżeństwa, Favart był w sprzeczności z otoczeniem, twórczość zaś jego jest odbiciem i wyrazem, wytworem XVIII wieku. Można uważać ją za pyszny komentarz do różnych dziedzin sztuki z tej epoki, nosi jej ślady i posiada jej znamienne cechy.

Twórczość Favarta posiada przede wszystkim opanowanie całości, opracowanie szczegółów, wyrobiony język, wykończenie artystyczne, jest literaturą. Jego opery komiczne mogą iść w porównanie z całą produkcją dramatyczną współczesną, grywaną na scenie Komedyi francuskiej, i w swoim rodzaju nic jej nie ustąpić. Jest już w nich ta sama troska o wygląd zewnętrzny, którym wiek XVIII tak często zastępuje brak jakiegoś drugiego Corneill'a czy Molièra. Z Favartem opera komiczna należy już do „rodzajów literackich,“ w całym tego słowa znaczeniu.

Gdy Favart pisząc „Les Trois Sultanes“ każe Solimanowi wybierać między trzema faworytkami, starającymi się go ująć, każda innym rodzajem miłości i pozwala podbić wszechwładnego sułtana Francusce Roxelane, gdyż nikt nie potrafi lepiej niż ona pobudzić do zazdrości, kaprysem zachmurzyć, rozbroić uśmiechem i zdobyć najbardziej wymagającego mężczyznę, urządzając mu „un dîner à la française“ ze swoją werwą, jako hors d'oeuvre—to Favart umie te wszystkie sytuacje wyzyskać, połączyć je trafnie, prowadząc intrygę nieprzerwanie, w ramach fantazyjnych, ale opartych na psychologicznej prawdzie. Podobnie rzecz się ma ze wszystkimi jego utworami, których jest ilość pokaźna.

Favart jest jednak ciekawszym w sztuczkiach krótszych, rozgrywających się zwykle na wsi, a mających za treść miłość dwójga wiejskich dzieci.

Np. „La Chercheuse d'esprit,“ którą zdobył sławę w 1741 r.

Nicette ma lat 15 i jeszcze bardzo zdziwione oczy. Kłania się nie w porę i zawsze odpowie nie tak jak potrzeba. Musi szukać rozumu, bo jest głupią — tak powiedziała jej matka. Chodzi więc po ludziach i pyta się, jak rozum poznać i gdzie go można dostać. Wygląda przytem tak zgrabnie i ciekawie, że wszyscy, uczony p. Narquois, i wesoły l'Eveillé, chętnie by ją wzięli w opiekę, zwłaszcza ten ostatni:

Que voulez vous de moi Nicette?

O Ion lan la landerire,

Tatigué qu'elle est joliette,

O Ion lan la landerirette,

Que d'agrémens elle a déjà.

NICETTE. L'esprit serait mieux mon affaire,
J'en demande mon nécessaire.

L'EVEILLÉ. Oh! puisque vous en desirez,
Vous en aurez, vous en aurez.

Lecz Finette, jęgo narzeczona, przeszkadza chęci kształcenia Nicette. Opuszczona, spotyka po drodze chłopca imieniem Alain. Zna go dobrze i lubi, choć wie, że jest niemrawym i że wszyscy nazywają go głupim, tak samo jak ją. Ten rozumu mieć nie będzie, lecz spytać się go, cóż to szkodzi.

NICETTE. Ah! je n'ai pas d'esprit Alain!

ALAIN. Quoi, c'est ça qui vous met en peine?

Non plus que vous je n'en ai brin;

Je n'en eus jamais et j'ignore,

A quoi l'esprit me servirait:

Je puis sans ça bian vivre encore.

NICETTE. Oh! moi, je sens bien qu'il m'en faudrait.

C'est dit-on, chose fort belle,

Aux filles ça sert beaucoup.

ALAIN. Où cette drogue croit-elle?

NICETTE. Ça se trouve tout d'un coup.

ALAIN. Là-dessus, je veux m'instruire.

NICETTE. Un pareil désir me tient

Tout ce que je puis vous dire

C'est que ça vient, quand ça vient.

ALAIN. Je suis fâché de n'en point avoir, je vous en ferais présent,

NICETTE. Je ne sais; j'aimerais mieux vous avoir c'tobligation là qu'à d'autres.

- ALAIN. Je ne demanderais qu'à vous faire plaisir.
 NICETTE. Je voudrais bien vous faire plaisir aussi.
 ALAIN. Je ne sais comme ça se fait, vous me revenez mieux, que toutes les filles du village.
 NICETTE. Et vous me plaisez mieux, que Robin mon mouton.
 ALAIN. Tatigué! Sans savoir ce que c'est que l'esprit, vous me donnez envie d'en avoir.
 NICETTE. Cherchons en ensemble;
 Quand nous en aurons,
 Nous partagerons.
 ALAIN. Vous avez raison, ce me semble.
 J'entrouverons mieux.
 Quand nous serons deux.

Alain ma słuszność. Gdy we dwoje zabiorą się do rzeczy, przyjdzie im to dużo łatwiej, niżby sądzić mogli.

- ALAIN. Recevez donc ce bïeau bouquet,
 NICETTE. Très volontiers.
 ALAIN. Il faut Nicette
 Que je l'attache à ce corset.
 NICETTE. Très volontiers.
 ALAIN. L'affaire est faite.
 Prenons et baisons cette main.
 NICETTE. Alain... Alain... mon coeur palpïte...
 ALAIN. Le mien galope aussi son train.
 NICETTE. Cher Alain,
 Quel sujet nous agïte?
 C'est de l'esprit assurément
 Qui nous vient brusquement.

We dwoje, dłoń w dłoni i usta przy ustach, odkryją szybko tę ziemię obiecana i Nicette zerwie kwiat szczęścia, który objawi jej życie.

Na wsi i między dziećmi podobnemi do tych dwojga, rozgrywa się również akcja kilku innych sztuk Favarta, jak „Le Coq du village,“ „Les Bateliers de St.-Cloud,“ „Coquette sans le savoir,“ „Les Ensorcelés“ i t. d. I nic dziwnego Przemęczony i przerafinowany umysłowo wiek XVIII, odrywał się przynajmniej myślą od atmosfery naukowej pracowni, tęskniąc za zielenością i słońcem, jak uczeń po całym roku szkoły. Królowe salonów, panujące w nich giętkością umysłu i wypracowaną swobodą zachowania się, tęskniły za prostotą wiejską i uczuciem łagodnem, rzewnem i naiwnem. Potrzeba sielanki budzi się zwykle w chwilach znużenia i życiowego wyczerpania, w społeczeństwach

przeżytych i zmęczonych — jakim właśnie było społeczeństwo drugiej połowy XVIII w. we Francyi. Favart stwierdza swem dziełem, że doń należy.

Nieustająca analiza samego siebie musi osłabić wytwórczą siłę wyobraźni i zdolność odczuwania ludzi o innym charakterze, niż ten, z którym się wciąż obcuje. Wiek XVIII, spragniony wsi, osadza więc na niej swoich markizów i markizy, nie rozbierając ich nawet z koronek i jedwabnych spódniczek, zadowolony, że dał im kij pasterski do ręki.

W zawiłych historyach swych serc te dzieci natury umieją sobie radzić, niczem wytrawne kokietki i znający swą sztukę uwodziciele.

Pour ramener un inconstant,
Il faut paraître un peu coquette,
Faire semblant de fuir l'amant,
Que de bonne amitié l'on souhaite.

Tak mówi u Favarta, w „Bastien et Bastienne“ wiejski chłopak Colas.

Z tem wszystkim te przemądrzałe dzieci mają niezaprzeczone urok młodości, dzieciństwa prawie. Chłopcy około lat 18, dziewczęta około lat 15, zwykle ujmują otoczenie. Bastienne, tak zadowolona z przeglądu swego stroju, musiała niezawodnie podobać się:

Je regarde si mes manches
Sont blanches,
Si ma colerette
Est bien faite;
Si j'ai lacé dret
Mon corset,
Si mon jupon
Fait bien le rond,
Et si mes sabots
Sont biaux ...

Lecz widzom XVIII wieku to nie wystarczało. Dla nich Bastienne musiała jeszcze być naiwną. Rzecz ciekawa. W epoce jednej z bardziej zmysłowych i rozpustnych jakie były, rodzi się w literaturze typ czystości niczem niezaprószonej, prawie anielskiej niewinności. Wiek XVII nie miał naiwnych. Molière opisuje dziewczęta jako znające życie, rwące się do niego świadomie, zdziwione czasem niebezpieczeństwem, jakie gotuje im fizyologiczna strona małżeństwa. Dopiero Marianne u Marivaux, może

trochę pod wpływem towarzystwa Pamelii Richardsona, dopiero bohaterki płacziwych komedyj La Chaussé'go, przedstawiają ten typ konwencyonalny, niemożliwy, nieistniejący w czasach pewnej kultury umysłowej, zwłaszcza w mieście, gdzie skupione i przez to wyraziściej tętniące życie, musi zdradzić się we wszelkich swoich objawach. Tylko wyobraźnia przerafinowanego zmysłowca mogła stworzyć to wyobrażenie dziewczyny, odcinającej się swoją naiwnością od otoczenia, jako nową podnieętą dla swego starczego usposobienia.

Dlatego typ ten pozostał, zdaje się, nazawsze w literaturze świata.

Prawdziwą jednak rozkoszą, prawdziwem używaniem zmysło-intellektualnem jest dopiero obserwacja przemiany, która zachodzi w chwili uświadamiania. Postępować krok za krokiem za tym procesem duchowym, gdy cudownie zakorzeniona czystość zacznie zmagać się z rozbudzonymi zmysłami, śledzić postępy tej walki i stwierdzać, jak wstyd dziewiczy poddaje się stopniowo, trwożnie a z rozkosznem drżeniem zwycięstwu nieznanych sił, które go pokonywują, to dopiero uczucie, które pozwala pojąć cały wdzięk dziewiczości i upoić się nią, zrozumiawszy wartość jej przemijającego czaru.

Wiedział o tem Greuze, gdy odkrywał dla ciekawych spojrzeń dziewicze kształty o dziecinnych główkach, nieświadome jeszcze swej władzy, wabiące już i ponętne nadzieją przyszłych pożądań, które je przepala.

Wiedział o tem Favart, bo prawie wszystkie postacie swego teatru przedstawił w chwili rozbudzania się ich zmysłów.

Nioletni bohaterowie jego sztuczek, Alain i Nicette, Pierrot i Thérèse, Bastien i Bastienne, Annette i Lubin, chłopcy i dziewczęta, wszyscy są naiwnymi i brak im wstydu uczuć i popędów, których zazwyczaj się nie okazuje.

Choćby ten Jeannot, który spowiada się tak otwarcie:

La nuit quand je pense à Jeannette,
On dirait que j'ai des cousins.
J'fons des sauts dans ma couchette
A réveiller mon voisin.
Comme l'battant d'une horloge
Mon pouls va toujours trottant...

Favarta nęci chwila przemiany dziecka na kobietę lub mężczyznę, której wrażenia są zbyt ostre i żywe, by można je stłumić. Talent jego polega na odkrywaniu widzom wrażeń tych

zakochanych, nie pozwalając im samym aż do końca sztuki zdać sobie z nich sprawę. Cytowana powyżej, w całej rozciągłości, scena Alaina i Nicetty, może służyć za przykład. Posiada ona niezaprzeczoną drażniącą ponętę w osobie tej dziewczyny, która zamiast cofać się i bronić przed tem, co jest jej nieznanem i obcem, idzie sama naprzeciw tego wroga, wyciągając doń ręce i tuląc się doń prawie z ufnością i wdzięcznością.

Favart osadza te dziecinne pary, schwytane w chwili, gdy otwierają się im oczy na wzajemny pociąg i miłość, w ramy wesołe świeżością zieleni i światłem jasnych polanek, przeciętych ciemniejszym tonem drzew, barwne szmatami pól wysłanych zbożem. Natura u Favarta stroi się z pewną zalotnością, bo zna swój powab: Rousseau nauczył ją co warta. Wedle Favarta Rousseau nauczył nawet małe dzieci wiejskie, że natura wyższą jest nad cywilizację. Przynajmniej Annette i Lubin przejęci są tą prawdą XVIII-go wieku.

LUBIN. Les grands ne sont heureux qu'en nous contrefaisant.

Chez eux la plus riche tenture

Ne leur paraît un spectacle amusant

Qu'autant qu'elle rend bien nos champs, notre verdure,

Nos danses sous l'ormeau, nos travaux, nos loisirs;

Ils appellent cela, je crois un paysage.

ANNETTE. Ah! Lubin, Nous devons bien aimer nos plaisirs,

Puisqu'il faut tout d'argent pour en avoir l'image.

Królewski dwór nie olśni tych małych filozofów, którzy choć nie byli nigdy w mieście, dostrzegą z łatwością, jak Ninette (Ninette à la cour), zboczenia i błędy wyższych klas społeczeństwa. Wpływ Roussa dotarł nawet do pałacu sułtana Solimana, gdzie myślą jak w salonie paryskim, o ile przynajmniej wnosić można z tych paru słów Roxelany:

„Le monde est une comédie.

.

Lorsque la toile tombe, empereurs et sujets,

Tous sont égaux et camarades.“

Wiek XVIII-ty, na starość rozczulił się nad samym sobą. Zarzucił ironię lub cyniczne bluźnierstwo lat młodych, spędzonych wesoło i hulaszczco, powtarzając na schyłku życia coraz częściej słowa: ludzkość, dobroczynność, miłosierdzie. Pierwszym i jedynym skutkiem wszelkich wrażeń były łzy, obfite i rześiste. Łały się one wszędzie, nawet w operetce. Gdyż operetkę, tak wpraw-

ną we wszelkie zmiany, nie kosztowało wiele iść za ewolucją wieku i zostać skarbnicą uczuć najwznioślejszych i najnudniejszych.

Parę ostatnich sztuk Favarta (*Les Moissonneurs*, *La Rosière de Salenci*, *L'amitié à l'épreuve*) jest już wytworem tej czułościowości, tak dziwnie godzącej się z krwawym dramatem społecznym, który miał się niebawem rozegrać.

Więc na wsi, na miejscu figlarnych pasterek, znajdujemy sentymentalne żniwiarki, zakochane pokornie i nieśmiało we własnym panu. Ten nazywać się będzie „Candor“ (takie imię nosi bohater 3-aktowej sztuki p. t. „*Les Moissonneurs*“) i zgodnie ze swem imieniem nie pokusi się wobec swej poddanej o nic innego, jak tylko o małżeństwo. Żyje wogóle pośród ludu, rozumiejąc że w nim przyszłość narodu. Otacza go miłość ogólna:

Quand vous êtes heureux, nous sommes tous contents,
Vos yeux nous servent de présage.
Nous consultons votre visage,
Comme on regarde au ciel, pour prévoir le beau temps.

Wogóle, to okolica dziwnie uczciwa. Łapówka powróci do tego, który się na nią zdobył, przeszedłszy przez kilka rąk, powiększona po drodze w dwójnasób datkami tych, dla których była przeznaczoną.

Pisząc tego rodzaju opery komiczne, Favart kokietował coraz możliwszą „płacziwą komedię.“

Z poprzednią jego twórczością mają one jedną wspólną cechę sztuczności. Tylko że poprzednie rozgrywały się na tle natury wesołej, rozbrzmianej świegotem ptactwa, wyśnionej ojczyzny miłości i nie kończącej się wiosny. I była w nich poezya zaczarowanych światów, coś z szekspirowskiego królestwa, w którym łatwo panować mógł psotny Puk i coś z feeryi zaludnionej figurkami z sańskiej porcelany.

Tutaj raz jeszcze schodzi się Favart ze swoimi współczesnymi, artystami-malarzami tym razem. Van Loo, Lancret, Gravelot, Boucher, Watteau, zwłaszcza ten ostatni, umieli zakląć w formy plastyczne ten wdzięk XVIII-go wieku, który Favart oddał słowem i który jest, można powiedzieć, całą poezją tego wieku. Favart jakby wypowiadał uczucia i myśli tych par, zdążających we wzajemnym uścisku do statku o rozpiętych żaglach, który zawiezie je na Cyterę, lub tych, które znalazły już tę wyspę rozkoszy, w chwili podwieczornej, gdy w ciszy usypiającego lasu rozlega się miękki ton mandoliny, proszący o miłość. Nie

strwoży jej nawet noc, bo ledwie nastanie, rozplynie się w księżycowej poświacie. Favart umiałby napewno podłożyć słowa do nut tej pieśni upojenia, której Watteau pozwala czarować dwoje zakochanych. Watteau jest bowiem, rzec można, ilustratorem tego fantazyjnego świata, jaki dzięki Favartowi urodził się w operetce. Watteau każe często na swych płótnach śpiewać Pierrotowi i Colombinie duet miłosny i często u niego zachodzące słońce ozłaca łąki i rzeki, na których tle rysują się wioski odświętne, rojące się od kobiet, o sylwetkach wytwornych, będących same dla siebie arcydziełem, ubranych w najróżnobarwniejsze suknie, których fałd każdy zdaje się być uśmiechem, od osób strojnych, jakby z baletu, które tańczą przy skrzypcach i flecie, upstrzone w koronki, wstążki i kwiaty.

Favart szczepiąc poezję w dziedzinie opery komicznej, rozprasza się w sztucznym świecie własnej wyobraźni. Jemu współczesny Vadé akcentuje może za silnie nutę realizmu. Twórczość tych dwóch autorów jest więc krańcowo przeciwną i znacząc tak wiele w ewolucji opery komicznej, sprowadza w jej łonie pewne rozszczepienie.

Gdyby następcy ich przywiązali się każdy do jednego z tych dwóch rodzajów artystycznych, prowadząc je dalej, w wytkniętym kierunku, to dzieło Vadégo i Favarta mogłoby obrócić się na szkodę operetki. Szczęściem znajdzie się autor, który połączy razem te dwa odrębne elementy, rozszerzając tym razem ramy opery komicznej, naprawdę i skutecznie.

Autorem tym jest Sedaine.

Od dziecka wyrывał się z domu, by zajrzeć na jarmark i przysłuchać się piosnkom śpiewanym na scenach teatrzyków. W pośród rzędów stojącego parteru znajdował swą przyszlą, najwierniejszą publiczność; w Favarcie i Vadé'm, których prawie wyłącznie grywano za czasów jego młodości, znalazł swoje wzory.

Będziemy mieli więc u Sedaina wieś, lecz bez tego wyrazu bajki i nieprzerwanego święta, w jaką stroił ją Favart, zamieszkałą przez ludzi z krwi i kości, na których życie wycisnęło swe piętno, jakby u Vadé'go.

A więc w chałupie gwarzy dwóch poczciwych „oóców“, że dzieci ich, Rose i Colas, coś wydają się mieć ku sobie. Ona będzie miała grunt, a on sprawność i pieniądze, możnaby ich połączyć... Tylko nie zaraz, nie tak prędko: bo to zbliżają się żniwa, potrzeba rąk do pracy, a Rose dobrze umie sierpem robić, a skoro się ją wyda za męża, to kto wie, czy będzie mogła we żniwa

stanąć do roboty. Przytem to prawie dzieci, pewnie im samym jeszcze nie tak pilno... Widać, że ojcowie zapomnieli jak to dawniej z nimi bywało, zapomnieli, że jak kogo chwyci miłość, to mu zaraz, choćby był dzieckiem jeszcze, przybędzie tyle śmiałości i sprytu, że i najmądrzejszy nie da sobie z nim rady. I Rose wybiega co wieczór pod las, mimo baczości ojca, by spotkać się z miłym, przyjmuje go u siebie gdy dom pusty, a gdy ojciec powraca, potrafi ukryć kochanka na stryszku. Lecz stryszek mały, Colas ma nogi długie i widać je nieco, wówczas ona śpiewa, by zabawić ojca.

Il était un oiseau gris
Comme un'souris,
Qui pour loger ses petits
Fit un p'tit
Nid.

Sitôt qu'ils sont tous eclos,
Bien à propos,
Ils vont chantant nuit et jour
Au bois d'amour:
Aimez, aimez, moi,
Mon petit roi,
Donne moi te foi,
Je suis à toi.

Ah, ah, r'montez vos jambes car on les voit.

I zdobędzie się na podstęp, by zażegnać niebezpieczeństwo. Niezupełnie. Colas, wciągając nogi, stracił z trudem utrzymywaną równowagę i zwałił się na ziemię. Wypadek ten uprzytomni ojcom, że wyobrażenia starszych nigdy nie sprostą rzeczywistości w stosunkach kochających się dzieci. Wobec tego może lepiej i żniwa poświęcić... I wszyscy szczęśliwi.

W innej wiosce dorasta mała Babet. Stary Mathurin kręci się koło niej, może dostanie ją od matki. Przyłapał ją, jak rwała wiśnie w jego ogrodzie. Za to musi przynajmniej go pocałować. Lecz Babet:

Voyez donc ce vieillard malin,
Il me dit que je le baise:
Baisez moi, ma dit-il, mauvaise!
J'aimerais mieux baiser ma main.
Est-ce qu'une honnête bergère
Doit baiser d'autres que sa mère,
Ou sa soeur, ou son petit frère?
Je ne baisera pas Colin...

Colin... dziwnie wyrwało się jej to imię, dziwnie dla niej samej. Colin... zna go od dziecka, lubi; od niego przyjmie podwieczorek, skoro tak ją o to prosi, ale dlaczego może mu o to chodzić? Babet nie wie jeszcze, że miłość dziecinna żyje nieśmiałością spojrzeniem i gorącą prośbą o wstążkę lub kwiat na pamiątkę i nie pojmuje dla czego oddanie tej wstążki czy kwiatu tyle daje szczęścia. Zato Sedaine rozumie dobrze te uczucia, a może pamięta własne zachwyty lat 18-tu i kreśli je ręką wprawną. On wie, że dość jednego kwiatka, by zdradzić dwojgu tajemnicę, iż kochali się od dziecka.

Dzięki tym obrazkom, szczerym i ujmującym prostotą, Sedaine zyskuje sławę i wziętość. Okoliczności pozwalają mu korzystać z tych przywilejów w warunkach szczęśliwszych, niż jego poprzednikom.

Lata Vadé'go i Favarta były dla opery komicznej czasem jej postępu i rozwoju, podczas których „Komedia francuska,“ a zwłaszcza Komedia włoska, biedowały. Ta ostatnia samodzielnie utrzymać się nawet nie mogła i pierwsza podała rękę do zgody z pogardzanymi do niedawna Forainami, zapraszając ich na współników. Miała przytem może myśl ukrytą i złośliwą, że wcielając w swój poczet tych niebezpiecznych konkurentów, pożywi się ich kosztem i unicestwi ich żywot. Stało się inaczej. Poniewierani i prześladowani przedsiębiorcy podmiejskich teatrzyków, przyjęli zaproszenie z radością, a ponieważ taki zaszczyt spotykał ich wogóle po raz pierwszy, nie umieli może się doń zastosować i wyczuć przeznaczone im miejsce. Wtargnęli do Komedyi włoskiej z takim rozmachem i rozpędem, z taką pewnością siebie, zabrawszy ze sobą swoich autorów, swoich aktorów, swoją publiczność i sposób gry—a stało się to w styczniu 1762 r.—że wkrótce wyparli z niej dawnych jej właścicieli. W ten sposób dokończyła żywota Komedia włoska w Paryżu.

Opera komiczna istnieje zaś do dziś dnia, tylko już w nowym gmachu przy placu Favart, zawsze pełna życia, zawsze ta sama, choć w coraz to innym kształcie, zależnie od tego, kto go jej nadawał, Scribe czy Meilhac i Halévy, Boëldieu, Hervé czy Offenbach.

„Les Forains“ również nie zginęli. Wielu poszło za przykładem wielkich poprzedników, dążąc do ciągłego podnoszenia swej sztuki, i ci wytworzyli paryskie teatry bulwarowe, t. zw. „Théâtres de genre;“ inni pozostali na dawnych miejscach, zaspakajając się małym zarobkiem, zdobytym małym kosztem i ci do dziś dnia tańczą lub chodzą po linie na Foire de Vincennes, Foire de Neuilly i t. d. „Les Forains“ są nieśmiertelni.

Sedaine był pierwszym autorem opery komicznej, którego utwory dostały się na większą, wygodniejszą, uprzywilejowaną scenę dawnej komedyi włoskiej. Uczucie zadowolenia, w którym było nieco dumy i godności własnej, nie pozwoliło mu zostać tylko naśladowcą swoich poprzedników. Idąc za nastrojem otoczenia, począł zabarwiać swoje sztuki pewnym sentymentem poważniejszym i obmyślać sytuacje chwilami dramatyczne. A że nie zrywał z dawnym tłem pogodnym i wesołem, opery komiczne Sedaina, z drugiego okresu jego działalności scenicznej, obfitują w szekspirowską iście kombinację motywów komicznych i tragicznych. Zerwały przy tem burzę teoretycznych sporów, dzięki którym z najważniejszych, zapiekły konserwatysta La Harpe i fanatyczny nowator Diderot mieli sposobność wypowiedzenia wielu trafnych uwag o teatrze, jeden broniąc klasycznej jednolitości rodzajów sztuki, drugi walcząc w imię natury, zawsze nieujętej i zmiennej.

Ostatnie słowo przypadło, jak zwykle, publiczności, a ta unosiła się nad „Le Roi et la Fermier,“ „L'enfant trouvé,“ „Le Déserteur“ i t. d., sztukami Sedaina, na których mogła wyśmiać się i wyplakać dowoli. Bo płacz jest miłym, o ile się wie, że się śmiechem zakończy.

Np. w „Le Déserteur.“ Alexy i Luiza są narzeczonymi od paru lat. Alexy służy w wojsku, lecz ma przybyć do swej rodzinnej wioski, aby połączyć się z Luizą po kilku latach rozłąki. Nieszczęśliwy przypadek czyni go w oczach władzy dezertorem, i będzie skazanym na śmierć. Zamknięty w więzieniu z nałogowym pijakiem, znosić musi jego podniecone usposobienie, objawiające się głośno i rubasznie. W więzieniu żegna się z rodzicami i chciałby po raz ostatni uściskać narzeczoną. Lecz ona nie przyszła, nie zobaczy jej przed śmiercią, pisze więc do niej:

„Il m'eut été si doux de t'embrasser,
Avant l'instant que je vois s'avancer...“

a towarzysz doręczy list kochance. Za parę chwil będzie rozstrzelanym. Wtem, na pustą scenę wpada Luiza, bosa, z obuwiem w rękę, aby móżdż szybciej biegnąć, lecz z ułaskawieniem, które wyprosiła u władz, bezsilna i mdlejąca. Boleść, zmęczenie, radość wyczerpały ją. Powoli wraca do siebie, rozgląda się i nie widząc nikogo wokoło, pojmuje, co się stało. Zrywa się ostatkiem sił i wybiega. W kilka chwil Luiza i Alexy wracają oboje, Luiza uratowała narzeczonego.

Melodramatyczna intryga tej opery komicznej nabierała wartości dzięki ilustracyi muzycznej Monsigny'ego. Współpracownikami Sedaina są już bowiem pierwszorzędni muzycy XVIII w.

jak Philidor, Duni, wspomniany Monsigny, wkrótce pomagać mu będzie wielki Grétry.

Sedaine ufny w pomoc muzyki tych kompozytorów, która do dziś dnia nic nie straciła ze swej świeżości i siły, nie zaspokoił się olbrzymiem powodzeniem „*Déserteur'a*,” jednym z największych sukcesów teatralnych w XVIII w., na którym młode mężatki, jak M-me de Chartres, zapłakiwały po cztery chustki od nosa, lecz wprowadził na scenę średnie wieki, miłosną historję Aucassina i Nicoletty, lub legendy historyczne, jak epizod z Ryszardem Lwie Serce. Innym razem scenizował opowieści Perraulta, jak „*Barbe bleue*.” W czasie rewolucyi odważył się wyśpiewać swoim „*Wilhelmem Tellem*” hymn do wolności.

Tem samem Sedaine zaszczeplił na scenie opery komicznej, gdzie dotąd śpiewano wesołe piosenki, jako rytm taneczny dla par kręcących się w dzień wiejskiego wesela, nastrój poezyi wyższej, jaka wieje z dawnej, już zbłąkitniałej przeszłości, murów i wieżyc starożytnych zamków, zakochanych księżniczek i chrzęstu zbroic rycerskich, poezyi, jaka żyje zawsze w dziwach bajki, które rozogniając wyobraźnię, kołyszą ją zarazem do snu.

Tem samem, Sedaine poruszył uczucia i problemy równie wzniosłe, jak te, do których prawo, do jego czasów, miała jedynie wielka tragedia. Wprowadził na scenę Komedyi francuskiej książąt i królów, armie całe, walczące ze sobą, wszystkie stany, mieszające się nawzajem, i to bez zachowania logicznego rozłożenia warstw społecznych według rodzajów dramatycznych, dzięki czemu do tego czasu można było śmiać się z chłopa w farsie, współczuć z mieszczańinem w komedyi, cierpieć w tragedyi nad losami jakiegś wielkiej dynastyi.

Najbardziej uzbrojonym krytykom wypadła broń z ręki i wobec twórczości Sedaina stawali bezradni.

Na starość Sedaine, oglądnąwszy się w tył, mógł być zadowolonym ze swego dzieła. Dzięki niemu opera komiczna, która tak długo walczyła ze swą jarmarczną tradycją, mogąc zdobyć się ledwo na sztuki wesołe i bez znaczenia, rozszerzyła swe ramy tak bardzo, że potrafiły objąć cały świat pojęć, osób, wypadków i zdarzeń. A Sedaine zdołał wymalować ten obraz z taką troską o jego artystyczny wyraz, że mu w tem prawie żaden inny librecista XVIII i XIX w. nie sprostał.

Opera komiczna okazała się nadto dla niego najlepszą szkołą literacką. Z zasobem jej techniki dramatycznej Sedaine próbował swych sił i na innych scenach: napisał komedję salonową p. t. „*La gageure imprévue*,” najlepszą z bluetek przed dyalogami Mus-

seta i pierwszy we Francyi „dramat“ p. t. „Le Philosophe sans le savoir,“ mający na zawsze poczesne miejsce w historyi literatury francuskiej, nie tylko jako początek rodzaju.

Sedaine na niewdzięczność skarżyć się nie mógł. Jego utwory zdobyły pierwszeństwo w ilości przedstawień wszystkich sztuk XVIII w. On sam stał się jedną z najpopularniejszych osobistości Paryża.

Wszystkich nęciły przedstawienia teatralne, wzruszające do łez fabułą prostą, mogącą przydarzyć się każdemu z widzów, którzy nie potrzebowali śledzić zawilich historyj uczuć książąt greckich czy rzymskich, o nazwiskach tak obco brzmiących dla ucha przeciętnego bourgeois. Tembardziej, że te zdarzenia rozgrywały się prosto i naturalnie w milieu równie bliżkiem do znanej rzeczywistości, milieu, o jakim Komedia francuska z markizami, rozsiadającymi się na scenie i Edypem lub Fedrą w strojach à la Louis XV lub M-me du Barry, nie miała pojęcia. Zmysł dramatyczny autorów i przedsiębiorców operetki skłonił ich do zharmonizowania wyglądu sceny z treścią przedstawianej sztuki. U nich więc bierze początek ruch w kierunku realistycznej wystawy. Pani Favart, grając chłopkę w sztuce swojego męża „Bastien et Bastienne,“ w 1762 r., zdjęła pudrowaną perukę i odważyła się wziąć prawdziwe chłopskie saboty, zamiast złotych pantofelków, w których do tego czasu tańczyły wszystkie operetkowe pasterki. Czyn jej można uważać za jeden z najważniejszych momentów w ewolucyi sztuki teatralnej wogóle.

Sedaine, bystry obserwator, pragnący ująć naturę jak najbliżej prawdy, starał się zawsze tak wykończyć swoje utwory, by przedstawiały możliwie najwierniejsze odbicie rzeczywistości i umiał wyzyskać w tym celu wszelkie urządzenia sceniczne.

Jego sztuki są to przeważnie obrazy środowisk rodzinnych przy pracy ze staruszką dziadkiem, uśmiechniętym do wnuczków, na których głowy spływają razem z jego błogosławieństwem promienie słońca w dzień pierwszej, dziecinnej miłości. One mają, jak i inne nastroje XVIII w., swą ilustrację malarską. W charakterze swych utworów Sedaine schodzi się z realistycznymi pastelami Chardina lub obrazami wnętrza domu, które tak często powtarza się u Greuza. Greuze ujmuje doskonale ten sentyment enót mieszczańskich, na tle roztkliwienia i pogody, tak drogich dla końca XVIII w. i dla Sedaina. Tylko Sedaine jest szczerzym od Greuza.

Sedaine jest najzupełniej szczerem. W tem leży jego urok. Objawia się to w jego sposobie wyrażania się, którym podbija

najwięcej. Jego chropowata proza i najczęściej niefortunny wiersz ożywia się nagle zwrotem naturalnym, podsłuchanym i podanym z sercem. A sercu najłatwiej trafić do serc innych. Zwrotów podobnych, ustępów o niezaprzeczonem wdzięku poetycznym, wydobytych z uczuć najprostszych, najpospolitszych, znajdzie się u niego wiele, bo nietylko musiał podsłuchiwać je. Znajdywał je w sobie, w harmonii własnego życia i swojej sztuki.

Sedaine wypracował swój żywot bardziej, niż którykolwiek ze swych utworów. Zostawszy sierotą w 15-ym roku życia, musiał porzucić szkołę i książki, a wziąć się do kielni i wapna, aby zdobyć chleb dla matki i jeszcze młodszego rodzeństwa. Szczęśliwym przypadkiem—jak w operetce—znajduje życzliwych i możnych opiekunów, dzięki którym wykształcił się na budowniczego, mając zawsze dość wolnego czasu, aby wieczorem pójść posłuchać piosenek Vadégo lub Favarta. Ożenił się z miłości z ubogą m-lle de Sériny i w ślad potem—jak w operetce—spływa na młodą parę powodzenie i majątek. Sedaine otrzymuje godność sekretarza Akademii architektury, a powodzenie jego sztuk zapewnia mu szczerą królewską Maryi Antoinetty, Gustawa szwedzkiego i Katarzyny II.

Współczujący biedzie i niedoli, bo zaznał jej w latach swej młodości, przygarnia w dom swój sieroty, siostrzeńca swego Davida i panny Guéret, córki zmarłego przyjaciela artysty-malarza. Nie każdy czyn dobry wróci się wynagrodzony. David zasłynie jako chluba Francyi, lecz odpłaci się brutalną niewdzięcznością temu, który go wychował. Sedaine cierpi wówczas, jakby po stracie jednego ze swych synów.

Na starość Sedaine usuwa się w zacisze wsi, nabywszy mały domek w wesołej dolinie Montmorency. W Paryżu wre rewolucya, panują mord i grabież, nie dochodzą jednak do spokojnej zagrody starca. Tak dożywa Sedaine swych dni ostatnich, ciesząc się uznaniem ogółu. W 1786 r. otrzymuje fotel akademicki. Spokojny o przyszłość dzieci, otoczony przyjaźnią wielu, których cenił, miłością żony, którą kocha, żyje szczęściem starości, przeświadczeniem uczciwie przepracowanego życia, które nie poskapiło mu chwil ciężkich i bolesnych, lecz uśmiechnęło mu się na pożegnanie—jak słońce mające się ku zachodowi.

Na parę dni przed końcem fałszywa pogłoska ogłasza jego śmierć i Sedaine może osobiście odczytać własne wspomnienia pośmiertne, dostępując rzadkiego zadowolenia, przekonania się naocznie, jak szanowano go za życia, jak żałować go będą po śmierci. Poczem spokojnie zamyka oczy.

Ciężkie i często szarpane przeciwnościami życie, będące jednym wysiłkiem ku urzeczywistnieniu szlachetniejszych porywów ducha, wikłało się początkowo, jak splecione tragicznie nici intrygi sztuk, których pisał tak wiele, rozwinęło się pod koniec w prawdziwą sielankę na łonie natury—niczem rozwiązanie opery komicznej.

Ze wszystkich, które napisał Sedaine, ta ostatnia jest niezaprzeczenie najrzewniejszą.

D-R WŁADYSEAW GÜNTHER.

KASATA ZAKONU O. O. JEZUITÓW

w pierwszym zaborze pruskim.

Z zupełnego indyferentyzmu religijnego oraz z wysokiego poczucia racji stanu płynęła osławiona tolerancja Fryderyka W. Dla Fryderyka-filozofa była ona normą bez wyjątku. Dla Fryderyka-króla była wszakże tylko teorią, którą praktyka rządów i państwowa racja stanu naginała do swych celów i, stosownie do okoliczności i warunków politycznych, modyfikowała. Stąd innemi słowy: tolerancja Fryderyka W. istniała w teorii zawsze, w praktyce, jak tego była potrzeba.

Powyższa zasada ogólna znalazła także swój wyraz w sprawie kasaty o. o. Jezuitów. „Zachowanie zakonu Jezuitów — pisał Fryderyk 9 września 1773 r. do swego posła w Warszawie, Benoita, — który nam zamiar utrzymać w mojem państwie, pomimo rozwiązania, jest niedwuznaczną oznaką tolerancji, która panuje u nas, a zarazem jest dowodem, jak niesłusznie obawiają się uciskowi religii katolickiej w prowincjach mego zaboru.“¹⁾ Dawne antypatye Fryderyka do Jezuitów, z jakimi nieraz przed zniesieniem zakonu dawał się słyszeć, były, między innymi, wynikiem wpływu, jaki spowiednicy jezuicy wywierali na dworach: wiedeńskim oraz drezdeńskim. Nie mógł zwłaszcza zapomnieć Fryderyk o. o. Jezuitom usług, oddawanych Habsburgom w czasie wojny siedmioletniej. Od roku 1768 zmienił jednakowoż z gruntu swoje zapatrywania o zakonie. Było to w czasie największej naganki burbońskiej na ojców. Już wtedy zamierzał on, „biedne,

1) M. Lehmann, Preussen u. d. kath. Kirche, IV. 651, Cabinets-Befehle an Benoît, Potsdam, 9 September 1773.

heretyckie królewiatko"—jak pisał z przekąsem do d'Alemberta—ochraniać Jezuitów. W odpowiedzi na kasacyjny breve Klemensa XIV wydał dn. 31 sierpnia 1773 r. rozkaz gabinetowy, wzbraniający ogłaszania Jezuitom powyższego wyroku zagłady w całym królestwie, tem samem także w dycezyjach świeżo zabranych Polsce. Postąpił tak, mimo ostrzeżeń swych francuskich przyjaciół. Zdumienie ogarnęło nie tylko tych ostatnich, ale przedewszystkiem całą katolicką Europę. Z drugiej zaś strony postanowienie Fryderyka odbiło się entuzjastycznym echem dla króla w szeregach zakonu na całej kuli ziemskiej. Fryderyk pragnął z kolei mieć teraz wszystkich Jezuitów u siebie. „Moi dobrzy ojcowie Jezuiti“ (*Mes bons pères Jésuites*), „moi biedni ignacyanie“ (*mes pauvres Ignatiens*)—powtarzał w listach poufnych. Co więcej, całkiem serwo ofiarował gościnę w Prusiech więzionemu w zamku św. Anioła generałowi zakonu Ricciemu, zapewniając o wdzięcznym przyjęciu. Oryginalna ta propozycja z różnych względów jest charakterystyczna. Z jednej strony uśmiechać się musiała Fryderykowi myśl wystąpienia w roli jezuickiego nadgenerała, anioła opiekuńczego nad zakonem św. Ignacego, powtóre pociągały go znamienne rachuby, że mając w ręku zakon o tak światowym charakterze, będzie mógł przez niego oddziaływać na ex-jezuitów we wszystkich krajach, a wreszcie na ludność polską swego zaboru. Myśl tę od niego przejęła najdosłowniej Katarzyna i jej następcy—Paweł I i Aleksander I, którym atoli uda się przeprowadzić ją z większem od Fryderyka powodzeniem, gdyż im to przypadnie w udziale gościć w Petersburgu owego generała Jezuitów, którego mieć przy swym stole w Berlinie marzył napróżno Fryderyk W.

Voltaire'owi, który nie pomału wrzusał ramionami na wieść o niespodziewanej fantazyi swego królewskiego przyjaciela, odpisywał Fryderyk jego własnym stylem. „Jak mam Was bawić Jezuitami? Papież odciął im ogony, nie mogą zatem służyć na podobieństwo lisów Samsona, by zapalić zbiory Filistynów. Zresztą Śląsk nie wydał ani ojca Guignarda, ani Malagridy. Nasi Niemcy nie posiadają namiętności tak żywych, jak narody południowe.“¹⁾ D'Alemberta zaś uspokajał w sposób niemięcej humorystyczny. „Niema obawy o mą osobę. Nie lękam się wcale Jezuitów. Franciszkanin Ganganelli — pisał Fryderyk — poogryzał im paznogie, powyrywał zęby trzonowe (*dents mâchelières*) i spro-

¹⁾ Fryderyk do Voltaire'a 10/XII 1773.

wadził do stanu, w którym nie mogą ani drapać, ani kasać, ale za to potrafią dobrze nauczać młodzież.“¹⁾ W innym zaś liście do Voltaire'a wyluszcza już seryo, nie ironizując, jak zwyczajnie, powody, które go skłoniły do zachowania Jezuitów. Jak się stąd dowiadujemy, kierowała Fryderykiem przedewszystkiem twarda konieczność. „*J'ai conservé cet ordre tout bien que mal, tout hérétique que je suis et pis encore incrédule.*“ Wypadało, pisze dalej, zachować Jezuitów, albo zaprzepaścić wszystkie szkoły. Godziło się więc, by zakon istniał i mógł dostarczać nauczycieli, a fundacya jego—środków na ich utrzymanie, tembardziej, że nie wystarczała ona na opłacanie nauczycieli świeckich. Co więcej, w reku Jezuitów był uniwersytet wrocławski, kształcący przyszłych proboszczów. W razie kasaty zakonu musieliby Ślązacy jeździć na studia teologiczne do Czech, a to sprzeciwiałoby się zasadniczym wskazaniom polityki rządowej.“²⁾ Względy zatem praktyczne i materyalne, brak nauczycieli dla szkół śląskich i brak środków na ich utrzymanie, a następnie państwowe, obawa wychowywania kleru katolickiego poza granicami Prus—wpłynęły przedewszystkiem na postanowienie Fryderyka.

Wytworzyła się więc sytuacja wielce osobliwa. Monarcha akatolicki, otwarty wróg wszelkiej objawionej religii, ogłasza się opiekunem Jezuitów. Kurya rzymska oraz biskupi pruscy byli bezradni wobec nieugiętej woli Fryderyka. Zwłaszcza biskupi znaleźli się w trudnem położeniu, zaiste jakby między młotem a kowadłem, między brevem papieskiem a nakazem Fryderyka, który śmiertelnemu dla Jezuitów pisemu nie udzielił swego *placet*, nie zezwolił na jego ogłoszenie. Strachwitz, biskup-sufragan wrocławski, dbały o dobrą opinię w Rzymie, milczeniem i przewlekaniem drażliwej sprawy rad się salwował, byle tylko nie popaść w ostateczną kolizyę z dworem królewskim lub z Rzymem. Atoli o. o. Jezuici, ośmieleni opieką królewską, zażądali od niego, by wyświęcał nowych ich członków. Była to insynuacya biegunowo sprzeczna z treścią kasacyjnego breve. Bronił się przed nią z całym sił i lamentował przed ministrem Zedlitzem. Oświadczył wreszcie, że w myśl postanowienia królewskiego nie będzie ogłaszał breve, ale nadto może wobec natarczywości Jezuitów i żądania ordynowania nowicyuszów zachować się jedynie biernie.

Podobnie jak Strachwitz, oświadczyli się przeciw ordynowaniu Jezuitów inni biskupi, a więc Krasicki warmiński, Bayer cheł-

¹⁾ Lehmann l. c. IV, 579.

²⁾ Fryderyk do Voltaire'a 18/XI 1779.

miński oraz reszta biskupów polskich, rezydujących w Rzeczypospolitej, a mających jurysdykcyę w zaborze pruskim. Do nich z kolei polecił Fryderyk zwrócić się w specjalnych rozkazach gabinetowych i dać im wyraźnie odczuć swoją wolę. Na tych zaś, którym nie mógł bezpośrednio rozkazywać, miano znaleźć odpowiednie sposoby. Chodziło tu głównie o Antoniego Ostrowskiego, biskupa kujawskiego, który z biskupów eksterytoryalnych miał najobszerniejszy zakres jurysdykcyjny w Prusach. Nie ulega wątpliwości, że chwilowy opór ze strony Krasickiego i Ostrowskiego wobec Fryderyka w sprawie ordynowania Jezuitów miał raczej charakter manifestacyjny. Postąpili tak dla zachowania pozorów wobec nuncjusza warszawskiego, Garampiego, i kuryi. Krasicki, gorący zwolennik zakonu, nie myślał wcale wchodzić w konflikt z życzeniem króla, tembardziej, iż łaska królewska w jego ciągłych kłopotach finansowych była dlań pożądaną deską ratunku. Mimo wielkich dochodów, posiadał Krasicki znaczne długi, pozaciągane nietylko u osób prywatnych. Depozyty kościelne i pupilarne dyecezyi warmińskiej obciążone były w dużej mierze zobowiązaniami księcia-biskupa.¹⁾ Z królem-filozofem łączyły więc autora „Myszeidy“ nietylko wspólne rysy literackiego *esprit*, ale także względy natury finansowej.

Co zaś do Ostrowskiego, to ten w Warszawie, przed nuncyuszem grał rolę gorliwca, równocześnie zaś zdolny był śpieszyć do Berlina z zaofiarowaniem usług Fryderykowi bez zastrzeżeń we wszystkich sprawach, nie tylko kościelnych. „Nic mi tak nie schlebia — pisał biskup i przyszedł prymas Rzeczypospolitej — jako prezydentowi delegacyi, zamianowanemu przez Rzplita do traktowania z ministrem W. K. M. i jego aliantami, jak perspektywa, że będę mógł być w czemkolwiek usłużnym W. K. M. Dziękuję najumiętniej za dowody życzliwości, któremi W. K. M. mnie zaszczyca. Czy śmiem oprzeć na niej słodką nadzieję zupełnej łaski królewskiej, że po skończeniu spraw Polski zechce W. K. M. kontynuować swe względy i dobroć, darząc mnie nieco większym dochodem z dóbr kościelnych? Będzie to nowa pobudka, zdolna do podtrzymania mego zapału, a jeżeli W. K. M. zechce pouczyć mnie o swych intencyach w obecnych okolicznościach, natenczas nie potrzebując błąkać się, pójdę krokiem pewniejszym i szybszym w sprawach i będę miał większą nadzieję dania wszelkich do-

¹⁾ Raport prezydenta kamery Domhardta z 25/X 1772.

wodów szczerzej i usilnej gorliwości, którą ożywiony jestem, słując W. K. M.“¹⁾

Słowa te, pełne upodlenia, niestety nie dziwią u Ostrowskiego i stanowią tylko jeden więcej dowód niezatartej hańby tego prałata, którego pamięć usiłowano w historyografii nowszej doby oczyścić. Ścisła zawistość materialna Ostrowskiego od ambasady rosyjskiej, jeszcze czasów Repnina, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Między innymi Ostrowski należał do szczupłego grona osób, które przyłożyło rękę do wywiezienia senatorów i biskupów z Warszawy w r. 1767. Udział Ostrowskiego w tym zamachu zdemaskował sam Repnin, rzuciwszy mu w oczy na obiedzie u p. Bystrzyny współświadomość czynu, przyczem stropionemu biskupowi miał wypaść widelec z ręki, jak opowiada Durini. Tenże sam nuncyusz mówi, iż szkoda, że Ostrowski nie okazał takiej ruchliwości i zdolności w sprawach kościoła, jakimi odznaczał się we własnych interesach. W istocie biskup o nic nie dbał tak gorliwie, jak o własną kieszeń. Jako prezes delegacji, wysadzonej z łona Sejmu podziałowego, „kończył sprawę Polski“ ku zadowoleniu mocarstw.

Wydawszy rozporządzenia ochronne dla o. o. Jezuitów w Prusach, nie pominął też Fryderyk drogi układów z kuryą, pragnąc skłonić ją do ustępstw i zrobienia wyjątku dla zakonu św. Ignacego w swoich terytoryach. Umyślny pośrednik, opat Felbiger, zgłosił się w jego imieniu do nuncjusza wiedeńskiego, kardynała Viscontiego i znalazł nadspodziewanie grunt do porozumienia podatny. Uprzejmy kardynał napomknął, że wzajemne ustępstwa mogłyby doprowadzić do obopólnej zgody w kwestyi tak wyjątkowo trudnej, gdyby Fryderyk zgodził się na zmianę formy, nie tykając do pewnego stopnia treści, t. j. na zmianę nazwy i sukni Jezuitów i nie opierał się poddaniu ich jurysdykcji biskupów. Zresztą kurya nie miała by nic przeciw temu, by pod inną nazwą żyli *en corps* w posiadaniu swych dóbr i domów. Nawet dalszej ordynacji Jezuitów nie zdawał się nuncyusz być przeciwnym, oczywista po dochowaniu pomienionych warunków. Zanim wszakże Visconti miał czas donieść o swej rozmowie z wysłannikiem Fryderyka II do Rzymu, zmarł papież Klemens XIV. Dla Fryderyka i sprawy o. o. Jezuitów zmiana tyary była pożądaną. Ustępował główny przeciwnik zakonu i sprawca jego zagłady, który niezawodnie był narzędziem w ręku burbońskiego *pacte de famille*, ale

¹⁾ Ostrowski do Fryderyka 13/VIII 1773 r.

narzędziem śmiercionośnem. Do nowego papieża, Piusa VI, obiecywano sobie skuteczny znaleźć dostęp. Agent pruski w Rzymie, Ciofani, otrzymał już 5 listopada odpowiednią wskazówkę. Fryderyk pozostawiał kurji zupełną swobodę środków, które miały uświęcić pożądaną przez niego cel: zachowania Jezuitów. Obojętnem mu było, czy papież każe zmienić im imię, czy suknię, inaczej ich przezwie, czy odmiennie ubierze, byle zezwolił wieść im w Prusach nadal żywot. Przemawiał za tem Ciofani w myśl przesłanek Viscontiego i był skłonny usunąć z drogi wszelkie drażliwości, któreby papieża mogły krępować ze względu na pamięć i postanowienia poprzednika, oraz ze względu na dwory burbońskie. Sprawa wszakże, mimo odjęcia jej cierni, nie poszła od razu tak gładko. Nowy papież, Pius VI, w najpochlebniejszych słowach przemawiał wprawdzie do Ciofaniego o „bohaterze“ (Fryderyku), „wzorze panujących i zaszczycie wieku,“ wzdragał się przecież uczynić zadość naleganiom królewskim, wynawiał się swoją bezradnością wobec natarczywości burbońskiej. W samej rzeczy położenie Piusa VI nie było łatwem. Ciofani sam nie zapoznawał bynajmniej trudności, donosząc o formalnem rozpętaniu się żywiołów i grożącej wojnie antyjezuickiej. Aliści Fryderyk mimo, iż był przekonany o prawdziwości tych rzeczy, ponowił swe żądania, oświadczył, że chodzi mu jedynie o Jezuitów jako kongregacyę dla wychowywania młodzieży i w ustępstwach swych formalnych posuwał się jeszcze dalej. Niech papież zmieni wszystko w organizacyi zakonu — nawet śluby zakonne i każe im składać je odpowiednio do swoich planów. Wszystko to jest mu obojętnem. Co więcej, jest gotów przeczekać, jeśliby obecne stosunki nie były ku temu sprzyjające, niech tylko Pius VI wyda odpowiednie rozkazy do biskupów: wrocławskiego, chełmińskiego i warmińskiego, by nie przeszkadzali ojcom spełniać ich funkcj do czasu, zanim w myśl jego prośby sprawa nie zostanie rozstrzygnięta. W tym samym duchu raz jeszcze, w kilka tygodni później, dał wskazówki Ciofanieniu, przyczem najdobitniej zastrzegł się, iż wcale nie myśli ustąpić dworom burbońskim. W sprawy wewnętrzne Hiszpanii i Francji nie wchodzi, tem bardziej więc nie ścierpi ingerencyi obcej u siebie; Jezuitów zachował, bo tak chciał, bo ich ceni, bo wreszcie nie zna pobudki równie zbawiennej dla dobra rodu ludzkiego, jak ta, dla której powołano do życia zakon Jezuitów.

Uderzającym jest tutaj nie tyle osobliwszy afekt Fryderyka dla Jezuitów, w pełni zresztą nieszczery, ile dążność do załatwienia tej sprawy w zgodzie i w porozumieniu z kurją. Fryderyk

mógł być załatwić się ponad głową papieża i kuryi, jak to uczyniła Katarzyna w Rosyi, co mu też doradzał krótkowidzący minister Hertzberg, łatwo się niecierpliwiący, znudzony przewlekaniem sprawy w nieskończoność. Ale daleko patrzący Fryderyk nie poszedł za jego głosem. Dbał bowiem szczególnie w tym wypadku o zachowanie wszelkich form dla tego głównego względu, że podówczas właśnie dochodził celu swych dążeń w stosunku do Polski, wykonywał pierwszy podział Rzeczypospolitej, zagarniał 568 tysięcy ludności przeważnie katolickiej, w czem nie więcej jak $\frac{1}{5}$ protestantów, a miał na widoku na tem nie poprzestać i w dalszym ciągu prowadzić akcyę podziałową, zdobyć dalsze obszary ziem z ludnością katolicką. Stąd musiał się liczyć z głową katolicyzmu, papieżem rzymskim, przewidując z góry, że do roboty około asymilacyi tego nowo nabytego żywiołu z państwem pruskim i z kulturą niemiecką potrzebni mu będą wprawdzie o. o. Jezuici, jako szacowny współczynnik pomocniczy, jednakowoż w dalszym rozwoju tej mozolnej akcyi będzie miał na każdym kroku do czynienia z kościołem katolickim jako całością. Rozumiał więc, że z tego względu nie może zrywać z kuryą rzymską, lecz przeciwnie otwierać sobie drogę do stałych, przyjaznych z nią stosunków.

Opierając się na rzekomem upoważnieniu, otrzymanem z Rzymu za pośrednictwem Ciofaniego, mocą którego biskupi mieli zezwolić ojcom na swobodne wykonywanie ich funkcyi, zażądał Fryderyk od biskupów ścisłego przestrzegania status quo, a więc nawet ordynowania nowicyuszów. Tymczasem spodziewał się wymódz rzeczywiste w tym względzie ustępstwa papieża. Oprócz Ciofaniego miał być wysłany w tym celu do Rzymu pewien Jezuita. Równocześnie poruszono z Berlina wszelkie sprężyny. Postarano się wpłynąć na Piusa VI przez kardynała i papieskiego wujka, Jana Karola Bandiego z Ceseny.

Z biskupów Strachwitz oraz Bayer zachowali się w dalszym ciągu odpornie wobec insynuacyi Fryderyka. Krasicki natomiast pośpieszył z najpoddąnszem zapewnieniem, że zastosuje się do intencji i woli królewskiej. Nie mniej biskup Ostrowski przyrzekał posłuszeństwo. Dla formy jedynie dodawał, iż pragnąłby, by kurya zatwierdziła jego krok i tem samem uspokoiła w pełni jego sumienie. Skrupulatny Strachwitz, któremu stanowisko kuryi w sprawie Jezuitów pruskich nie mogło wydać się jasnem, zwrócił się po wyraźne instrukcyę do papieża i kardynała Rezzonico, a także pośpieszył podzielić się swemi wątpliwościami z nuncyuszem Garampim, który podobnie, jak i on, stąpał na tym śliskim

terenie po omacku i sam był zmuszony tłómaczyć się przed Strachwitzem brakiem odpowiedzi z Rzymu. Jedyna rada, jaką miał w zapasie, była: „zyskiwać na czasie.“ Nuncyusz, interpelowany przez wszystkich niemal biskupów pruskich, widząc jak bardzo traci na swej powadze przedstawiciela polityki kuryalnej, której nie był w stanie rozjaśnić na punkcie fatalnego jezuickiego węzła, uderzył na alarm w kilku depeszach do sekretarza stanu. Wszak nie wolno mu pozostawiać bez odpowiedzi biskupów, bez straty pokładanego w nim zaufania. Zapytuje więc, jakie są wyraźne lub tajemne (*sous-entendus*) intencje papieża w tej sprawie. Przestrzega przed niekonsekwencją i przewiduje trudności. Zrobiwszy wyjątek na rzecz Prus, jak w następstwie postąpi się wobec autokracji rosyjskiej?

W takim położeniu chwiejnem, nieustalonym, a z dnia na dzień pogarszającym się przez trzymanie w niepewności i dezorientacji szerokich kół duchowieństwa w Prusiech, wobec podniesionego alarmu episkopatu i nuncjusza z jednej a nacisku Fryderyka z drugiej strony, który nalegał bądź otwarcie w notach urzędowych, składanych w Watykanie przez Ciofaniego, bądź też pośrednio, sposobem sekretnym, a niezawodnym, przy pomocy najskuteczniejszej instancji kardynała-wuja (Jana Karola Bandiego), papież Pius VI i kurya byli zmuszeni wypowiedzieć się jasno. Dłużej niepodobna było zwlekać. Odpowiedziano przezornie, salwując stanowisko obecnego, nie dementując woli i postanowienia poprzedniego papieża.

Utrzymano ciągłość i konsekwencję polityki kuryalnej w sprawie Jezuitów. Odpowiedzieć wbrew kasacyjnemu wyrokowi: „*Dominus ac Redemptor*“ i pozwolić na byt Jezuitów w Prusiech, znaczyło rozpętać nad swą głową burzę burbońską; odmówić Fryderykowi znaczyło umocnić go w oporze, zrazić ostatecznie dla kuryi i dla katolików pruskich. W piśmie z dnia 2 grudnia 1775 r. niósł nareszcie kardynał Rezzonico, jeden z najwybitniejszych, a zupełnie Fryderykowi oddanych kuryalistów, ukojenie sumieniu Strachwitza i równocześnie rozstrzygał po nad wszelką wątpliwość kwestyę Jezuitów pruskich. „Papież nie chce pozbawiać katolików w Prusach—brzmiały słowa listu kardynała—duchownej pomocy, jaką mieli przed zniesieniem zakonu. Dla tego zgadza się, by nie wzbranio kapłanom wygasłego Towarzystwa (*extinctae societatis*) wykonywania wszelkich funkcyj duchownych i nauczania młodzieży, jednakże pod warunkiem, iż czynić to będą jako eks-Jezuici, jako jednostki poszczególne (*tamquam individuis particularibus*), podległe jurysdykcji biskupów, nie zaś jako

członkowie religijnej korporacji, a w takim razie niema też przeszkód do udzielania im święceń kapłańskich.“¹⁾ Słowa powyższe nie zaprzeczały zatem Klemensowego breve. Było to zarazem, jak donosił Ciofani, wszystko, co w danych warunkach można było osiągnąć od papieża. Papież, pisał Ciofani, pozwala na to jednostkom zakonu rozwiązanego już legalnie brevem Klemensa XIV, i nie chce wiedzieć, że Towarzystwo w Prusiech, jako takie, egzystuje.

Rezultat zabiegów Fryderyka w Rzymie uwieńczony był ostatecznie powodzeniem. Wprawdzie Fryderyk, rozpoczynając rokowanie, był postawił dezyderaty szersze, bezwzględniejsze, domagając się niejako odwołania kasacyjnego breve na rzecz „swoich“ Jezuitów, jednakże nie ulega wątpliwości, że był to zwykły w tego rodzaju negocjacyach manewr, kiedy stawia się większe fikcyjne żądania, by osiągnąć mniejsze, a istotne. W rzeczy samej jest jasnym, że na utrzymaniu Towarzystwa Jezuitów, jako takiego, podług zasad kanonicznych i reguły św. Ignacego bardzo mało zależało Fryderykowi. Zależało mu natomiast nie na Towarzystwie Jezuitów, lecz na samych Jezuitach pod jakąkolwiek bądź formą i powłoką, a tego celu ostatecznie dopiął.

Za podstawę dalszego postępowania przyjął list kardynała Rezzonico do Strachwitza z dn. 2 grudnia 1775 r. Dotychczasowy *nexus societatis*, na mocy którego Jezuita tworzyli własną korporację zakonną, przestał więc nadal istnieć. Natomiast stworzono z Jezuitów korporację księży świeckich dla celów szkolnych, zwanych *Priester des königlichen Schulinstituts—Presbyteri instituti regii scholastici*. Dobra ich przeszły w zarząd państwa. Szkolnictwo, w którym główny stanowili personel, podporządkowano ścisłej kontroli rządu, przy równoczesnem usunięciu wszelkiej ingerencji biskupa wrocławskiego. Na czele przekształconych w ten sposób Jezuitów, którym kazano zmienić suknię zakonną, stanął obecnie minister Carner. W takim stanie przetrwali Jezuita na Ślązku do 26 lipca 1800 r.

Tyle, co do Jezuitów na Ślązku. W innych dyecezyach pozwolił Fryderyk na ogłoszenie Klemensowego breve i sekularyzację zakonu na stopie śląskiej dopiero w kilka lat później. Nastąpiło to kolejno, nasamprzód w dyecezyi chełmińskiej, gdzie „nieporównany“—jak go nazywa nuncyusz—biskup Bayer w myśl jego próśb i nalegań pierwszy wystarał się o pozwolenie króla na

¹⁾ Rezzonico do Strachwitza 2/XII 1775 r.

sekularyzację podległych mu Jezuitów i ogłosił im kasacyjne brewe w styczniu 1780 r. Śladem Bayera poszedł, nie bez ociągania się, powodowany sympatją dla Jezuitów biskup Krasicki i za pośrednictwem swego generalnego wikaryusza Karola von Zehmen przeprowadził w czerwcu 1780 r. sekularyzację zakonu w swojej diecezji ¹⁾.

Sekularyzowanych w ten sposób Jezuitów w zaborze pruskim, zwanym, jak wiadomo, Prusami Zachodnimi, polecił Fryderyk zorganizować podobnie jak na Ślązku dla celów szkolnych. Dokonali tego prezydent regencyi Prus Zachodnich hr. Finckenstein, dyrektor kamery Korckwitz pospołu z koadytorem chełmińskim, hr. Hohenzollernem, łącząc eks-Jezuitów w instytut szkolny. W dniu 1-go czerwca 1781 r. wydali oni „Ogólny regulamin dla katolickich gimnazyów Prus Zachodnich, powołanych na miejsce dawnych kolegiów Jezuickich“ — zatwierdzony w następstwie przez Fryderyka.

Jednakże mimo wszystko i w następstwie nie przestawał Fryderyk uporczywie twierdzić, że Jezuici pozostali tem, czem byli i kazał to powszechnie głosić. „Ależ to fałszywa pogłoska—pisał—która pochodzi z nieporozumienia. Trzymam się układu (*Varrangement*), zawartego z papieżem i zachowam w mojem państwie tych zakonników, chociaż może przedsięweźmie się pewne zmiany w ich *exterieur*.“ ²⁾ Nie były to, jak się okazało, tylko „pewne“ zmiany, ale dla życia zakonu, jego związku, oraz organizacyi wewnętrznej zasadniczo druzgocące ciosy. Zdawali sobie z tego dobrze sprawę Jezuici pruscy. A jeżeli Fryderyk starał się w nich wmówić, że działa dla ich dobra, to czynił to z obawy, by mu się nie rozlecieli i nie zostawili go z jego szkołami i uniwersytetem wrocławskim na lodzie. Dowodem dwulicowości Fryderyka w tej mierze, a zarazem chęci przechytrzenia o. o. Jezuitów—oczywista bez powodzenia—był list do Jezuity Reinacha, w którym nakazywał w sposób tajemniczy milczeć i nie „trąbić“ po świecie o tem wszystkim, czego dokonał już dla Jezuitów i o tem, co jeszcze na ich korzyść przedsięweźmie. Wieść o tem nie powinna dojść do Rzymu, ani też na dwory burbońskie. „Przedewszystkiem jednakże należy oszczędzać papieża.“

Te ostatnie słowa, tak znamienne w ustach Fryderyka, obliczone na uspokojenie Jezuitów, miały zarazem wzbudzić przeko-

¹⁾ Ehrenberg, Italienische Beiträge z. Gesch. d. Prov. Ostpreussen str. 139, Archetti do Pallaviciniego 2/II 1780.

²⁾ Lehmann l. c. V, 120.

nanie, że papież Pius VI na skutek interwencji króla poczynił specjalnie dla Jezuitów pruskich daleko idące ulgi i tem samem odstąpił od postanowień swego poprzednika Klemensa XIV. Była to najzwyczajsza mistyfikacya, gdyż opinia Piusa VI i kuryi ujęta wyraźnie w liście kardynała Rezzonico do biskupa Strachwitza z dn. 2/XII 1775 r., a streszczająca się w sekularyzacyi, równej kasacie, nie pozostawiała pod tym względem żadnych wątpliwości.

W ten sposób wyczerpaliśmy w najogólniejszym zarysie najważniejsze punkty tego dość powikłanego epizodu Jezuitów pruskich. Zatrzymaliśmy się nad nim nieco dłużej. Ma on bowiem zasadnicze znaczenie ze względu na analogiczne stanowisko papieża i kuryi wobec zachowanych przez Katarzynę II Jezuitów na Białej Rusi w Połocku. Jak wiadomo, kurya po wielokroć w imieniu papieża uznała za nielegalny tamtejszy ich związek, oraz najwyraźniej potępiła nadużycie władzy i zaufania ze strony biskupa Siestrzencewicza, gdy ten na rozkaz Katarzyny wydał w r. 1779 reskrypt, pozwalający Jezuitom na otwarcie nowicyatu w Połocku i tym sposobem uratował ich od bezpośredniego niebezpieczeństwa, grożącego zakonowi przez wymarcie.

MACIEJ LORET.

ROZMAITOŚCI.

NIEZNANA ODEZWA ADAMA MICKIEWICZA

w sprawie Szkoły Polskiej na Batignolles.

W zeszytcie styczniowym „Biblioteki Warszawskiej“ za r. b. p. Helena Romer-Ochenkowska w barwnem i żywo odczucem słowie skreśliła zawiązek i dzieje do ostatnich niemal czasów Szkoły Batiniolskiej w Paryżu.

W niniejszej notatce pozwolę sobie na podstawie nieznanego dokumentu przedstawić jeden moment z działalności w tej szkole Adama Mickiewicza, o którym p. Ochenkowska w treściwej pracy swojej mimochodem tylko wspomniała. Wypadnie mi zaś potrącić o niektóre wydarzenia, już czytelnikowi znane, lecz przypomnienie ich jest konieczne dla objaśnienia nieznaney odezwy Mickiewicza.

W ciągłej trosce o sprawę wychowania zarówno tych, którzy wskutek wypadków listopadowych nie zdążyli ukończyć nauk rozpoczętych w kraju, jako też zrodzonego na tułactwie młodego pokolenia, zawiązało się w Paryżu 22 maja 1841 r. „Towarzystwo wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich.“ Z zezwolenia ministra oświecenia założyło szkołę polską i odezwało się do rodaków o pomoc, dla prowadzenia tej instytucyi niezbędną.

Jakoż dzięki poparciu rodaków już w r. 1842 Towarzystwo umieściło naprzód 18, a potem 27 uczniów w instytucyi francuskiej w Châtillon-sous-Bagneux, gdzie stanowili osobny oddział polski, pod bezpośrednim nadzorem nauczyciela Polaka, i gdzie prócz wspólnych całemu zakładowi nauk, uczyli się nadto języka, historii i geografii polskiej. Z dniem 1 stycznia 1843 r. powstaje

już wyłączna szkoła polska, przeniesiona do Paryża, na ulicę Fos-sé-Saint-Jacques № 13, a w drugiej połowie następnego roku na przedmieście Batignolles.

Obudziwszy tym sposobem dalsze dla siebie zajęcie, szkoła dzięki ponownemu poparciu rodaków, przyjaciół Polski we Francyi i stałej zapomocy rządu francuskiego, coraz pomyślniej rozwijać się poczęła. W roku np. 1846 47 liczyła już 150 uczniów, z których 120 było internów.

Wypadki jednak 1848 r. odbiły się niekorzystnie na losach tej oświatowej placówki polskiej na obczyźnie, gdy składki z kraju płynąć przestały, a rząd francuski dodatkowego wsparcia odmówił. Dochody szkoły ograniczały się wówczas sumą 45,000 franków stałej zapomogi rządowej, gdy wydatki roczne przewyższały 80,000 fr. Cały ciężar prowadzenia zakładu spoczywał w rękach jednego prawie Aloizego Biernackiego, ówczesnego wice-prezesa rady szkolnej, ¹⁾ gdyż inni jej członkowie, jak: Dwernicki i Szejde oraz Jan Ledóchowski wyjechali bądź do Francyi, bądź do Galicyi lub w Poznańskie. Wtedy to prawdziwym opiekunem szkoły stał się dr. Seweryn Gałęzowski, niegdyś profesor uniwersytetu wileńskiego. W Meksyku spędził on pierwsze lata wychodźstwa, a na wiadomość o rewolucyi lutowej powrócił do Europy i osiadł w Paryżu. Po klęsce 1848 i 49 r. porzucił praktykę lekarską i z niestygnącym zapałem czas, siły a po części i mienie swe poświęcił dla podtrzymania i rozwoju szkoły polskiej.

Pragnąc ją dźwignąć na nowo rada na początku roku szkolnego 1850 — 51 odezwała się do patriotyizmu i szczodrobliwości zamożniejszych rodaków w kraju i zagranicą. Te usiłowania nie pozostały bez skutku. Poczęły napływać ofiary tak znaczne, że dozwoliły przystąpić do kupna, przebudowy i powiększenia własnego już domu. Wydatek na ten cel uskuteczniiony wynosił 264,827 franków. ²⁾

Nie wchodząc w dalsze szczegóły, dotyczące dziejów szkoły na Batignolles, co przekroczyłoby zakres i cel tej notatki, pragnę tylko, jak już wspomniałem, zaznaczyć współudział w niej Adama Mickiewicza.

Instytucye emigracyjne zrozumiały to dobrze, jak wielkiej wagi i pożytku były udział Mickiewicza w ich pracach. Za przy-

¹⁾ Urodzony w województwie kaliskiem, poseł na sejm od 1829 r., minister skarbu w 1831 roku.

²⁾ Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Rok 1866. Szkoła Polska na Batignolles, str. XXVIII i n.

kładem więc Towarzystwa Historycznego i szkoła na Batignolles zapragnęła, by twórca „Pana Tadeusza“ zasiadł w jej radzie. Z relacyi ustnej Ildefonsa Kosiłowskiego, byłego długoletniego sekretarza tego zakładu, opowiada Władysław Mickiewicz w swej cennej książce o ojcu, że poeta długo wahał się należeć do rady szkolnej. Długie starania czynił w tym kierunku Eustachy Januszkiewicz, a gdy Mickiewicz zgodził się, Biernacki, prezes rady, wezwał go urzędownie d. 2 lutego, by do zarządu szkoły należeć zechciał.¹⁾

Długie wahanie się Mickiewicza pochodziło z tej przyczyny, że obawiał się ciągłych zatargów i zwadliwości emigracyi, które i w radzie szkoły mogły znaleźć swój wyraz. Poczował się jednak do obowiązku czuwania nad młodzieżą—i dlatego wstąpiwszy do zarządu wziął wnet sprawę szkoły do serca i oddał jej zaraz wielką przysługę, zaznajamiając Gałęzowskiego z ks. Napoleonem. Zaproszony na opiekuna szkoły, książę godność tę przyjął i postarał się, by jej przywrócono na nowo dodatkowe wsparcie rządu francuskiego.

D. 2 kwietnia Ksawery Godebski podaje się do dymisyi, jako wice-prezes rady, w tem przekonaniu, że Adam Mickiewicz będzie na tem stanowisku dla szkoły korzystniejszym. Rada uznaje słuszność tego wniosku, a na prośbę wszystkich członków Mickiewicz ten urząd przyjmuje.

I odtąd poeta biorąc żywy udział w działalności szkoły, przewodniczy na posiedzeniach rady i na egzaminach, a na uroczystości rozdania nagród natchnionemi słowy przemawia do uczącej się młodzieży.

Po zgonie Biernackiego, który nastąpił d. 8 września 1853 r., zamierzono powołać Mickiewicza na prezesa rady szkolnej. Nie przyjął jednak tej godności, ustępując zaszczytnego miejsca Sewerynowi Gałęzowskiemu, gdyż widział w nim człowieka, dającego największą dla rozwoju i pożytku zakładu rękojmię. Gałęzowski objął też prezesostwo, które tak chlubnie do końca życia swego spełniał, i jemu też szkoła dalszy swój pomysłny rozwój zawdzięcza.

Radę szkolną stanowili wówczas oprócz Mickiewicza: Antoni Hłuszniewicz, Teofil Januszewicz, Eustachy Januszkiewicz, Józef i Władysław Ordegowie, Karol Sienkiewicz, Ludwik Wołowski,

¹⁾ Władysław Mickiewicz: *Zywot Adama Mickiewicza*. Poznań, 1895. T. IV, 348 i n.

Feliks Wrotnowski i Bohdan Zaleski. O skutecznym wyborze prezesa Mickiewicz zawiadomił emigrację odezwą w języku polskim i francuskim.

Dzięki uprzejmym i gorliwym poszukiwaniom p. Władysława Strzembosza, sekretarza Biblioteki Polskiej w Paryżu, wiadomo mi, że w archiwach szkoły znajdują się dwie publikacje z podpisem Mickiewicza. Jedna, drukowana po polsku i po francusku, jest odezwą rady szkolnej z d. 20 kwietnia 1853 r. „O stanie ówczesnym i urzędzeniu szkoły.“ Odezwę tę podpisali między innymi w imieniu rady szkolnej Aloizy Biernacki, jako prezes, zaś Adam Mickiewicz, jako wice-prezes. *)

Druga publikacja w archiwum szkoły przechowana, jest litografowana ćwiartką ulotną, również w języku polskim i francuskim, zawiadamiającą o wyborze Gałęzowskiego. Przedruk jej znajdujemy we wspomnianym dziele Władysława Mickiewicza.

Lecz oprócz litografowanej kartki istnieje w posiadaniu p. Antoniego Rembélińskiego w Warszawie polski rękopis tej odezwy treści następującej:

Szkoła Narodowa Polska. Rada szkoły 56, Boulevard des Batignolles, 56. Paris. № 977.

Wice-Prezes Rady Szkoły Narodowej Polskiej ma zaszczyt donieść Szanownemu Panu, że też Rada na posiedzeniu swoim d. 11 b. m. obrała jednomyślnie Prezesem swoim na miejsce ś. p. A. Biernackiego p. Doktora Seweryna Gałęzowskiego, byłego Profesora Uniwersytetu Wileńskiego, jednego z Naczelnych Chirurgów Szpitalów Wojskowych Warszawy w ciągu powstania narodowego 1831 r. — a Podskarzim Szkoły — jednego ze swoich Członków, p. Teofila Januszewicza, b. Prezesa Województwa Sandomierskiego.

Batignolles, dnia 20 Listopada 1854 r.

Adam Mickiewicz, Wice Prezes.

W przedruku, podanym przez Wł. Mickiewicza, odezwa rozpoczyna się od słów: „Batignolles, dnia 4 listopada 1854 r.,” a na końcu przed podpisem wice-prezesa dodano: „Do tych więc ziomek odnosić się należy odtąd we wszystkich interesach dotyczących się ich urzędu.“ Zresztą tekst rękopiśmienny nieróżni się niczem od litografowanej kartki podanej w przedruku z datą 4-o zamiast

*) Druk ulotny L. Martineta w Paryżu. 4 str. w dwie kolumny, pierwsza po polsku, druga po francusku.

24-o listopada. Jest to zapewne niedopatrzona pomyłka w druku, gdyż Gałęzowskiego obrano prezesem d. 11 t. m., więc zawiadomienie o tym wyborze Mickiewicz podpisał 20, a do litografii podano prawdopodobnie datę o kilka dni późniejszą.

Ciekawszą od poprzedniej jest jeszcze jedna odezwa, znajdująca się w zbiorach p. Edwarda Neprosa w Warszawie, opatrzona między innymi i podpisem Mickiewicza. Należy ona do prawdziwych rzadkości, gdyż nie znajdujemy jej powtórzonej w druku, a powtórnego egzemplarza niema ani w archiwach szkolnych na Batignolles, ani w Bibliotece Polskiej w Paryżu:

Rada Szkoły Narodowej Polskiej № 501. Szanowny Panie!

Szkoła Polska na Batignolles pod Paryżem, poświęcona wychowaniu dzieci Wychodźców Polskich, liczy dzisiaj 270 uczniów, z których wszyscy prawie, bo tylko z wyjątkiem 32-ch, stołują się w Szkole, a 205 znajduje w niej nadto mieszkanie i wszelkie opatrzenie.

Wydatki Szkoły w ostatnich trzech latach wynosiły od 115,000 do 120,000 fr. rocznie, chociaż liczba uczniów nie była jeszcze tak znaczną i już Szkoła nie ponosiła ciężaru opłaty domu, w którym jest pomieszczona.

W tym roku, z powodu niezwykłego podrożenia wszystkich produktów i nieco powiększonej liczby uczniów, której przez wzgląd na znaczną ilość sierót, pozbawionych wszelkiej opieki, niepodobna było uniknąć, przewidywać musimy, że koszty ogólnego utrzymania Szkoły bardzo się znacznie powiększą. Tymczasem źródła przychodów niespodziewanie do tego stopnia się zmniejszyły, że rzeczywiście o przyszłość naszego Zakładu lękać się musimy, w chwili właśnie, kiedy ten nareszcie zdawał się już dosięgać ostatniego szczybla rozwinięcia swojego, i kiedy młodzież, w nim wychowująca się, prowadzeniem się swoim i świetnym odznaczeniem w naukach, jak to wypadki z egzaminów roku upłynionego pokazały, prawdziwą chlubę i Szkole, i w ogóle imieniu wi polskiemu przynosić zaczęła.

Dotychczasowe przychody Szkoły pochodziły z następujących źródeł:

Pomoc Rządowa stała	45,000 fr.
Zasiłek Rządowy dodatkowy.	23,000 „
Miasto Paryż ofiaruje rocznie	1,000 „
Z opłaty pewnej części kosztów przez Rodziców lub opiekunów wpływa około	25,000 „
Ogółem	94,000 fr.

Resztę pokrywały dary dobroczynne Rodaków możniejszych, z kraju przybywających lub zamieszkałych w Paryżu, które mniej więcej dochodziły dwudziestu kilku tysięcy franków.

Dzisiaj, z powodu wypadków politycznych, przyjazd Rodaków z kraju został utrudniony, a przez to samo jeżeli niezupełnie się zatamowało, przynajmniej nadzwyczajnie zmniejszyło to źródło. Do tego nieszczęście chciało, że Rząd Francuzki, w ostatnim czasie tyle hojny dla tej Szkoły, zapewne z powodu wypadków wojennych, nanowo zagroził jej zmniejszeniem swojej pomocy, ograniczając ją do 45,000 fr. tylko, będących stałym pierwiastkowym Szkoły zasiłkiem.

To tak znaczne, a zarazem tak nagłe i nieprzewidziane zmniejszenie dochodów, do których istnienie Szkoły jest przywiązane, we wszystkich obudziło trwogę o przyszłość Zakładu, który może będzie najpiękniejszym pomnikiem, jaki Emigracja Polska zostawi po sobie na ziemi francuzkiej i na który może kiedyś z dumą będą spoglądać Ci, co jakąś cegiełkę dołożyli do jego wzniesienia.

W takim stanie rzeczy nie widzimy innego środka zaradzenia grożącemu niebezpieczeństwu, jak w odwołaniu się do patriotyzmu i szczodrobliwości Rodaków zamieszkałych w kraju i stąd to w imieniu reszty naszych Kolegów składających opiekuńczą Radę tej Szkoły, i przez usta tych kilkuset sierot polskich ośmielamy się udać do Ciebie, Szanowny Panie, z prośbą, abyś i sam, o ile będziesz mógł, chciał nam przyjść w pomoc i abyś się razem zajął zbieraniem składek na rzecz naszej Szkoły, między przyjaciółmi i znajomymi swoimi.

Znane nam Twoje, Szanowny Panie, szlachetne serce i patriotyczne uczucia, nie pozwalają ani na chwilę powątpiewać, że się zechcesz podjąć tego prawdziwie Obywatelskiego trudu, a przez to samo niedozwolisz, aby to jedyne dzisiaj schronienie naukowe młodego naszego sieroctwa miało upaść w chwili, kiedy może niedługo wybije godzina wyswobodzenia naszego i położy koniec tyloletniemu tułactwu tak starego, jak i szczególnie tego dorastającego, wśród obcych zrodzonego pokolenia, na którym ta jedyne tylko dotąd ciąży wina, (że są zrodzeni z)¹⁾ Ojców, co kochali swoją Ojczyznę, za Nią walczyli i tułactwem swoim chcieli być żyjącą protestacją przeciw nieprawości i ujarzmieniu.

¹⁾ Rękopis uszkodzony.

Racz przyjąć Szanowny Panie zapewnienie wysokiego szacunku i poważania, z jakimi dla Niego pozostają w imieniu Rady Szkoły Narodowej ¹⁾ Polskiej.

Wice-Prezes, Adam Mickiewicz. Prezes, S. Gałęzowski. Teofil Januszewicz, Podskarbi. J. Ordega, Członek Rady. Stanisław Poniński, Członek Rady. ²⁾

Odezwa ta jest bez daty i nawet przy poszukiwaniach w szkole ścisły dzień jej wydania ustalić się nie da. Można więc oznaczyć tylko przybliżony czas jej napisania. Że zaś Gałęzowski był obrany prezesem 11 listopada 1854 r., a Mickiewicz wziął udział w posiedzeniu rady poraz ostatni d. 10 sierpnia roku następnego, wyjechawszy na Wschód d. 11 września, więc czas wydania odezwy mógłby przypaść między temi dwiema datami, najprawdopodobniej na wiosnę 1855 roku, analogicznie do odezwy z 1853 r. o stanie i urządzeniu szkoły. Wątpić nawet należy, by mogła wyjść później, bo już 14 sierpnia 1855 r. pojawiła się nowa odezwa, podpisana tylko przez Gałęzowskiego. Trudno więc przypuścić, by między jedną a drugą odezwą nie zachowano pewnego dłuższego okresu czasu. I numery odezwy mogą być pewną w określeniu czasu wskazówką. Odezwa z 20 listopada nosi № 977, co w cyfrze przeciętnej oznaczałoby około 90 czynności biurowych, załatwionych w przeciągu miesiąca. Tym sposobem odezwa druga z № 501 przypadaćby mogła w maju. Za wiosną wreszcie wspomnianego roku przemawia i ustęp odezwy o ówczesnych wypadkach politycznych, co stosuje się zapewne do toczącej się wtedy wojny krymskiej.

Obie odezwy pisane są jedną obcą ręką, zapewne któregoś z urzędników szkoły, na papierze listowym, rozmiaru $21\frac{1}{2} \times 27$ ctn. Kto zaś jest rzeczywistym ich autorem, określić jest trudno. O wyborze Gałęzowskiego powiada Władysław Mickiewicz, że poeta „uwiadomił emigracyę w polskim i francuskim języku.“ Wnosićby więc z tych słów należało, że odezwę tę napisał.

Sprawy szkoły Mickiewicz żywo brał do serca, a w czasie, gdy był jej był zagrożony, rada szkoły unyśliła zwrócić się o pomoc do zamożnych i wybitnych rodaków. Takiego aktu nie można było uważać za zwykłą czynność kancelaryjną, którąby sekretarz lub którykolwiek z członków mógł załatwić.

¹⁾ Rękopis uszkodzony.

²⁾ B. oficer w 6-ym pułku strzelców konnych wojska polskiego.

Może więc o skreślenie tej odezwy rada uprosiła swego vice prezesa, który nie uchylił się od tego czynu w chwili grożącego szkole niebezpieczeństwa — i może jemu z liczby osób, na odezwie podpisanych, należałoby przypisać jej ton gorący, zwłaszcza w ustępach końcowych. Wobec jednak braku autografu stanowczo tego twierdzić nie można. Był to może akt zbiorowy, praktykowany w tego rodzaju czynnościach. W każdym zaś razie podpis poety oznacza jego współautorstwo w odezwie i jest poniekąd jednym więcej objawem gorącego umiłowania drogich interesów kraju, oraz szlachejnych w tym kierunku usiłowań. Odezwa nadto jest ciekawym i nieznanym przyczynkiem do dziejów szkoły batignolskiej.

LEOPOLD MÉYET.

D Y S K U S Y A.

Redakcja „Bibl. Warsz.“ otrzymała od p. Aleksandra Kraushara następujące uwagi:

W sprawozdaniu z dziełka Jarzembskiego z r. 1643, wydanego staraniem Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości (*Bibl. Warsz.* Czerwiec. 1909 r.) p. Chlebowski nie odstępuje od błędnych twierdzeń, wygłoszonych raz już w *Kuryerze Warsz.* odnośnie do zakwestyonowanego istnienia placu Zamkowego w Warszawie, pomimo wyjaśnienia, podanego przezemnie w temże piśmie (z 31 maja 1909 r.), iż wbrew zdaniu recenzenta, plac Zamkowy nie powstał jakoby dopiero w roku 1818 po zburzeniu bramy krakowskiej, lecz, że istniał już za czasów Władysława IV.

Z uwagi, że kalendarze i przewodniki po Warszawie, na które się p. Chlebowski, jako na dowód, twierdzenie moje obalający, powołuje, nie mogą być miarodajnymi, mniemam, że decydującym dowodem starożytnego istnienia placu zamkowego na parę wieków przed rokiem 1818, mogą być jedynie dawne plany Warszawy, oraz informacye Weinerta na dokumentach źródłowych oparte.

Na planie Warszawy z czasów Augusta II, oraz na planach Tirre Gayla z r. 1762, Zannoniego z r. 1772, wreszcie na planie Bacha z roku 1880 (posiadam je w zbiorze własnym) istnieje już plac Zamkowy, na którym wznosi się kolumna Zygmunta, w znacznej od murów i budowli miejskich odległości.

Burzenie tych ostatnich budowli, zarządzone i ostatecznie wprowadzone w wykonanie z rozkazu Władysława IV, rozpoczęto już za Batorego, o czem świadczą dokumenty przytoczone w *Starożytnościach* Wejnerta, (Tom VI str. 255 i nast.)

Nie powstał zatem plac Zamkowy, jakoby dopiero w roku 1818, gdyż miejscowość ta była i przedtem najruchliwszem środowiskiem życia miejskiego, na którym odbywały się uroczyste wjazdy senatorów i rycerstwa na zamek, w czasie odprawianych tam sejmów. „Tu się przesuwały—pisze Wejnert—pochody tryumfów, różnych holdów, poselstw i smutnych uroczystości kraju. Tu wreszcie rozpoczynał się wyjazd na pole elekcyi i kończył powrót z obranym królem (str. 254).

W przedmowie do wydania dziełka Jarzembkiego wyjaśniłem, że Władysławowi IV zawdzięcza Warszawa *rozszerzenie i upiększenie* placu Zamkowego. P. Chlebowski, pragnąc osłabić świadectwo powołane przezemnie w tej mierze na podstawie informacji, zaczerpniętej w monografii Kwiatkowskiego, stara się ów dowód zwrócić przeciw mnie, twierdząc, że „fakt ów świadczy wymownie o braku wolnego miejsca w okolicy Zamku...”

Z uwagi, że zakwestyonowany przez p. Chlebowskiego ustęp przedmowy mojej miał właśnie na celu stwierdzenie korzystnej zmiany, jaka odnośnie do obszaru placu Zamkowego zaszła była za Władysława IV, z uwagi nadto, że p. Chlebowski przeoczył widocznie, ustęp przytoczony przez p. Korotyńskiego w *Słowniku geograficznym* (T. XIII str. 37) w słowach: „Władysław IV skupił i zburzył przedzamkowe budowle, otwierając wolny dostęp do zamku od bramy krakowskiej i miejsce na pomnik swego ojca,“ mniemam, że tak upornie bronione twierdzenie sprawozdawcy jest bezpodstawnem i zarzut mi uczyniony—gołosłownym.

Niemniejszej wartości jest twierdzenie p. Chlebowskiego, jakoby kolumna zygmontowska, ze względu niby na brak placu przed zamkiem, wzniesioną była za bramą krakowską, za murami otaczającymi starą Warszawę i zamek królewski. Dla odparcia takiego twierdzenia, dostatecznie powołać się choćby na wykonaną z natury w końcu XVII wieku rycinę rylca Anny z Ponia-towskich Tyszkiewiczowej. (Jest w zbiorach Towarzystwa Opieki N. Z. P.). Na owej rycinie, jak zresztą, na wymienionych powyżej planach Warszawy, brama krakowska zamyka otwartą obecnie drogę do Zjazdu, a *przed nią* wznosi się kolumna Zygmunta. Trudno przypuścić, aby Władysław IV wybrał na nią miejsce *za dawnym murem miejskim*. Miejsce to było „między zamkiem a bramą krakowską“ (Wejnert VI, 261).

Tyle tylko uważam za potrzebne przytoczyć dla odparcia zarzutów bezzasadnych p. Chlebowskiego.

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Powyższe wywody przesłał mi p. Bron. Chlebowskiemu, który komunikuje nam odpowiedź następującą:

Chętniebym się wstrzymał od odpowiedzi na argumentację p. Kr., gdyż udowodnienie bezzasadności jego hipotezy o powstaniu placu Zamkowego za Władysława IV, jest dla historii Warszawy równie bezcelowem, jak stwierdzenie świadectwami dziejowymi, iż odsiecz Wiednia nie mogła się odbyć za czasów Łokietka.

Jeżeli więc powoływałem się, ku zgorszeniu p. Kr., na kalendarze i przewodniki po Warszawie, w kwestyi daty powstania placu, którego początek pamiętał niejeden starszy mieszkaniec Warszawy, z pokolenia wymierającego w drugiej połowie w. XIX, a więc za młodszych lat p. Kr. — to czyniłem to z tych samych pobudek, z jakich nieświadomego daty i znaczenia bitwy grunwaldzkiej odesłałbym nie do Długosza lecz do popularnych podręczników historii polskiej.

Ponieważ jednak p. Kr., jako autor wielu obszernych opracowań o pałacach i budowlach warszawskich, a przytem przewodniczący Sekcyi starej Warszawy w Tow. opieki nad zabytkami przeszłości, stanowi powagę w zakresie przeszłości naszego miasta, wśród inteligencji warszawskiej nieświadomej całkiem dziejów dawnej stolicy, przeto uważam za konieczne roztrząszenie wartości naukowej dowodów, jakimi p. Kr. chce stwierdzić realność swej wyobraźni, niepozwalającej mu odczytywać i rozumieć należycie zarówno planów miasta, jak dokumentów piśmiennych, a nawet rozpraw Wajnerta.

Pan Kr. powołuje się, gołosłownie, na posiadane we własnych zbiorach plany Warszawy z lat: 1762, 1772 i 1808, mające jakoby stwierdzać istnienie placu Zamkowego z kolumną Zygmunta, stojącą w znacznej odległości od murów i budowli miejskich, których burzenie już miał rozpocząć Batory. Otóż rozporządzenie Batorego, przedrukowane w książce Wajnerta, niema żadnego związku z placem Zamkowym i burzeniem murów miejskich, lecz wywołane zostało wymaganiami obronności i całości tych murów. Ponieważ wraz ze wzrostem miasta zaczęło się wytwarzać na Krakowskim Przedmieściu, przed Bernardynami targowisko, które przetrwało do końca w. XVIII, przeto kupcy i kramarze zaczęli budować tuż pod murem miejskim domki i kramy, uszkadzając przez to mury i utrudniając do nich dostęp, a ułatwiając w razie napadu nieprzyjaciół opanowanie miasta. Te motywy wymienia jedynie rozkaz królewski z r. 1580, wywołany skargami Magistratu starej Warszawy, ponoszącej szkody z powodu wytworzenia się targowiska konkurencyjnego na obszarze przyległym miastu, a niepodpadającym pod jego jurysdykcję. Gdy następnie Władysław IV zamierzył uczcić ojca wzniesieniem kolumny, to nie mogąc znaleźć w pobliżu zamku wolnego placu, wywłaszczył, mimo protestu duchowieństwa, domki na placach klasztoru Bernardynek i zburzywszy je, wznosił na tem miejscu pomnik, w odległości zaledwie „ośmiu łokci od murów obronnych starej Warszawy, zaś od bramy Krakowskiej 10kci kor. 40“ (Wajnert, t. VI, 254). Urzędowy akt opisu pomnika, przedrukowany przez Wajnerta (ib. 303) ma nadpis: „Opisanie statuy króla Zygmunta P. N. M. na Krakowskim Przedmieściu za Bramą Krakowską.“

Gdyby p. Kr. uważniej przeczytał rozprawkę Wajnerta, to musiałby się rozstać ze swymi domysłami, które nie pozwalają mu „przypuszczać aby Władysław IV wybrał miejsce za dawnym murem miejskim.“ Zdawałoby się, że p. Kr. pisząc wstęp do przedruku „Gościńca“ Jarzębskiego, powinienby znać dodany do tego przedruku ciekawy, bo najstarszy, plan Warszawy z r. 1655 wykonany przez kwatermistrza króla szwedzkiego, hr. Dahlbergha. Otóż plan ten oznacza miejsce pomnika Zygmunta za murami Warszawy i naucza o rozmieszczeniu ulic i budowli w otoczeniu zamku królewskiego. Ponieważ jednak

„wytwór“ wyobraźni p. Kr. jest piękniejszym od rzeczywistości, o jakiej świadczą plany i dokumenty współczesne, jaką odtworzył wiernie Wajnert w swej rozprawie, a za nim rozliczne Kalendarze i Przewodniki, przeto szan. historyk Warszawy zamyka oczy na marną prawdę, ażeby nie rozstać się z illuzyjną wizją wielkiego placu Zamkowego, zapoczątkowanego w umyśle Batorego, a urzeczywistnionego („rozszerzonego i upiększzonego“) przez Władysława IV.

BRON. CHLEBOWSKI.

Na tem dyskusję w powyższej kwestyi między pp. Kr. i Chl. zamykamy.

PIŚMIENNICTWO.

D-R WŁODZIMIERZ BUGIEL. *Nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia, Józef Struś, (1510 — 1568). Jego żywot i pisma. Odbitka z „Notwin Lekarskich.”* Poznań, 1909. Drukarnia „Dziennika Poznańskiego.” Str. 35 i 1 tablica.

— *Józef Struś.* Wykład wygłoszony 17 kwietnia na posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu. Poznań, 1909. Str. 16.

Do historii medycyny w Polsce przybywa w pracy d-ra Bugiela przyczynek niepośledniej wartości. Niesłusznie zapomniana postać uczonego polskiego z XVI wieku, człowieka istotnej wiedzy i rzetelnego patryotyzmu, zasługiwała oddawna na obszerne opracowanie monograficzne. Nadchodząca w roku przysłym czterechsetna rocznica urodzin Strusia dała asumpt do żywszego zainteresowania się żywotem i dziełami naszego najznakomitszego lekarza w dobie Renesansu. D-r Bugiel, oddawna pracujący nad życiorysem Strusia, już przed kilku laty ogłosił jego biografię w języku francuskim („Un célèbre médecin polonais au XVI siècle, J. Strussius.” Paris, 1901), obecnie wydane po polsku studium zawiera nowe przyczynki źródłowe.

Józef Struś (właściwie Strusiek) urodził się w Poznaniu w 1510 r. z ojca Mikołaja, grzebieniarza z zawodu. Po ukończeniu liceum Jana Lubrańskiego udał się do Krakowa, gdzie dzięki poparciu prymasa Jana Łaskiego wstąpił na uniwersytet i chlubnie w r. 1531 ukończył studia na wydziale filozoficznym i lekarskim. Mając zaledwie 21 lat, został Struś magistrem; na niezłomowaną pracowitość młodego uczonego i wybitne jego zdolności zwrócił uwagę wszechwładny sekretarz królewski, biskup Jan Choński, i dopomógł Strusiewi do wyjazdu za granicę. Niebawem widzimy Strusia na katedrze medycyny teoretycznej w uniwersy-

tecie padewskim. Był widocznie zdolnym niepospolicie, skoro mimo cudzoziemskiego pochodzenia i młodego wieku wyuesiony został na tak wysoką godność naukową. Po dziesięciu latach profesury, wiedziony tęsknotą do kraju ojczystego, opuścił Struś Padwę mimo usilnych prób i nalegań senatu weneckiego. Wykształcił we Włoszech wielu uczniów, między innymi słynnych lekarzy Cattivacciego i Rogana.

Wróciwszy do Polski, został Struś lekarzem Andrzeja Górki, generała Wielkopolski, zamieszkałego w Poznaniu; niebawem wszakże powołany został na dwór królewski, do chorej córki Zygmunta Starego, Izabeli, żony króla węgierskiego, Jana Zapolyi. Wyleczywszy dostojną pacjentkę, udał się Struś w charakterze jej przybocznego medyka do Budy. Niedługo jednak bawił Struś w stolicy węgierskiej, sława jego rozbrzmiewała szeroko, gdy więc zaniemógł ciężko sułtan turecki Soliman II, wezwano Strusia do Konstantynopola. Uleczony sułtan hojnie obdarzył znakomitego lekarza i gorąco nalegał do pozostania w Carogrodzie. Struś atoli wrócił do Polski. Zapraszany na dwór hiszpański przez króla Filipa II, wolał pozostać w ojczyźnie, jako lekarz nadworny Zygmunta Augusta. Przenosząc zaciszne życie domowe nad przepych dworski wrócił Struś około roku 1555 do rodzinnego Poznania. Czczony i szanowany powszechnie, obrany został w r. 1557 burmistrzem. Umarł w Poznaniu w r. 1568.

Drugą część swej starannej pracy poświęcił autor rozbirowi dzieł Józefa Strusia. Oprócz wierszy i poematów łacińskich, oraz wzorowych przekładów dzieł znakomitego lekarza greckiego w starożytności Galena, pozostawił Struś pracę oryginalną wielkiej doniosłości p. t. *Ars sphygmica*, czyli sztuka badania pulsus. W poglądach swych na teorię pulsacyi Struś niejednokrotnie wyprzedza współczesnych sobie medyków i ważną tę gałąź wiedzy lekarskiej nowymi zasila spostrzeżeniami. Wielkie odkrycia w zakresie medycyny, dokonane w XIX wieku, imię Strusia zaćmiły, lecz w dziejach nauki mieć on będzie zawsze zaszczytną i piękną kartę.

Pisma Strusia obok wartości naukowej mają również niepoślednią literacką. Autor *Ars sphygmica* był jednym z najcelniejszych pisarzy polsko-łacińskich wieku Odrodzenia i z tego względu należy mu się poczesne miejsce w historii literatury naszej.

Studjum d-ra Bugiela, opracowane z wielką naukową ścisłością, przenika gorące umiłowanie osoby Strusia, jednego z tych synów mieszczańskich, którzy „swojem życiem i zasługami dowodzą, iż wszystkich warstw synowie mogą być wielkimi synami Polski.“

Przy końcu swej cennej pracy d-r Bugiel podaje szczegółową bibliografię dzieł dotyczących Strusia; spis ten, naogół bardzo sumienny i wyczerpujący, należy uzupełnić następującymi tytułami: „O J. Strusie,“ artykuł w *Rozrywkach dla dzieci* (Hofmanowej) z 1827 r.; „Struś, Polak, lekarz Solimana II“ w warszawskiej *Gazecie codziennej* z 1853 r., № 86; St. Negner, Józef Struś, lekarz poznański z XVI wieku. Chicago, 1895.

Wykład, wygłoszony przez d-ra Bugiela na uroczystym obchodzie, urządzonym ku czci Strusia przez Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, jest streszczeniem popularnem omówionej wyżej pracy.

H. M.

FELIKS KOPERA. *Notatki do historii sztuki i kultury w Polsce*. Uzupełniona i poprawiona odbitka „Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych“ z lat 1904—1908. Kraków, 1909. Odbito w druckarni W. L. Anczyca i S-ki; str. 78 in 4-o z 17 tablicami i 21 figurami w tekście.

Kilkanaście luźnych notatek inwentaryzacyjnych o różnorodnych dziełach sztuki i zabytkach polskich lub Polski dotyczących tworzy wartościowy dla badaczy i interesujący dla szerszego ogółu album artystyczny.

Autor, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, przedstawił tu w doskonałych reprodukcjach i z wielką ścisłością opisał: sztuciec, ofiarowany Erazmowi z Roterdamu przez Erazina Ciołka, opata w Mogile (znajdujący się obecnie w Muzeum Narodowym w Bazylei); portal gotycki kościoła Minorytów w Ratybonie, ozdobiony orłem polskim (obecnie w Muzeum Narod. w Monachium); krucyfiks z XV wieku, prawdopodobnie dłuta Wita Stwosza, z Muzeum Narod. w Krakowie; płaskorzeźbę w złoconym brzozie, przedstawiającą portret dworzanina Zygmunta Augusta, Andrzeja Bobołę, w kościele katedralnym św. Jana w Warszawie. Interesujące uwagi zawiera notatka o słynnym krucyfiksie, t. zw. krucyfiksie królowej Jadwigi w katedrze na Wawelu. Tradycya jeszcze z początkiem XVII w. wiązała zabytek ten z królową Jadwigą i stąd jego nazwa; krzyż powyższy należy do uprzywilejowanych cudownych ołtarzy. W przewodniku po kościołach krakowskich, wydanym w 1603 r., czytamy, „że wolna od mękczyścowych zostaje ta dusza, za którą się przy ołtarzu tym żałobna msza odprawi.“ Taki przywilej wyrobił w XVI w. dla krucy-

fiksu kardynał Radziwiłł. Zdaniem d-ra Koperę krzyż pochodzi z drugiej połowy XIV stulecia.

Cenny materiał do historii majoliki zawierają notaty o kafkach w Polsce. Autor rozpatruje kilkanaście rodzajów kafli, znalezionych na ziemiach polskich, a więc w Krakowie i okolicach, Gdańsku, Kownie, Kołozy pod Grodnem, Trokach i in.; do najciekawszych należą kafle z herbami z XVI w. oraz kafel z portretem Zygmunta Starego, wykopany w Pilźnie w Galicyi.

Rzeźby sali królewskiego sądu Kazimierza Wielkiego, czyli t. zw. „sali hetmańskiej“ w Rynku krakowskim, ocenia dr. Koperę z punktu ich artystycznej wartości w dłuższej notatce, będącej cennym uzupełnieniem prac prof. Franciszka Piekosińskiego i Wł. Łuszczkiewicza; rozprawkę ozdabiają staranne reprodukcje t. zw. zworników z sali hetmańskiej.

Ważnym przyczynkiem do dziejów naszego przemysłu na początku ubiegłego wieku jest ogłoszony przez d-ra Koperę akt założenia słynnej niegdyś fabryki porcelany i fajansu w Baranówce na Wołyniu. Dokument powyższy spisany został w dn. 10 sierpnia 1803 r. pomiędzy właścicielami Baranówki Józefą z ks. Lubomirskich Walewską i mężem jej Adamem Kolumna Walewskim a Michałem de Mezer, fabrykantem. Na mocy tego aktu Walewscy wydzierżawili Mezerowi i jego sukcesorom plac i dom w Baranówce na wieczne czasy, „t. j. przez cały ciąg trwania tej fabryki... w Baranówce... za opłatą roczną do skarbu Walewskich złt. polsk. pięćdziesiąt.“ W innych punktach umowy Walewscy obowiązują się na swój koszt „dostawić materiałów w drzewie i cegle na zawód pierwszy fabryki, jako i cieśli dziesięciu, tudzież mularzy ośmiu,“ nadto zapewniają przedsiębiorcy znaczne ułatwienia i ulgi w nabywaniu materiałów budowlanych i t. p. W punkcie 6-ym kontraktu czytamy: „Chłopców dwunastu do fabryki W. P. Michałowi Mezerowi JJWW. Walewscy oddać przyrzekają i tych pod żadnym pretextem od teyże fabryki w Baranówce będącej odrywać nie będą mocni, prawo jednak dziedziców względem tychże poddanych jako i ich dzieci sobie zachowując.“ Następny punkt głosi, że „poddanych z dóbr JJWW. Walewskich za wiedzą skarbu pozwolonych i do niey usposobionych od teyże fabryki nie odbierać, którzy jednak za siebie równie jak i w punkcie szóstym wymienieni, podatki monarchiczne opłacać lub fabryka przez czas bytności ich w teyże fabryce opłacać ma.“

Opisy monet rzymskich, znalezionych na ziemiach polskich, oraz zabytków kościelnych, przeważnie architektonicznych, w Gdo-

wie, Rzeszowie, Bolesławiu, Przeczycy i Tyńcu—kończą zajmujące notatki artystyczno-kulturalne d-ra Kopery.

H. M.

LEOPOLD STAFF. *Igrzysko*. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego we Lwowie, Warszawa, E. Wende i Sp., 1909.

Utalentowany poeta, autor „Snów o potędze,” „Dnia duszy” i poematu filozoficznego p. t. „Mistrz Twardowski,” nie pierwszy raz występuje na niwie dramatycznej.

Czy utwory te zdobyły sobie scenę? Inna to sprawa. Staff, marzyciel melancholijny, a rozczarowany, „śniący” o „potędze,” twórca „pieśni” o „czynie,” a od istotnej potęgi i realnego czynu jakże daleki, Staff, autor pięknych liryk, cyzelator formy, czyż posiada w dostatecznej mierze ów dar, tak różny częstokroć od talentu poetyckiego i od niego najzupełniej niezależny, nazywany nerwem scenicznym? Wszak plastyka teatralna zazwyczaj nie chodzi w parze z nastrojowością liryczną, a i teatr sam—to autonomiczna zgoła dziedzina twórczości literackiej. Oczywiście, nie wchodzi tu w rachubę takie wyjątkowe organizacje, jak Szekspir, Schiller lub Słowacki.

Rzadko więc kiedy poeta bywa mocnym dramaturgiem. Brzmi to, jak paradoks, ale o tem zapominać nie wolno, nawet kiedy chodzi o takie utwory, jak „Dziady,” „Balladyna,” „Irydion.”

Stwierdzić to można i na twórczości Staffa. Ani „Skarb,” ani „Godiwa,” mimo wszystkich swoich zalet, teatru polskiego nie zbogacą. Co urodziło się w wyobraźni twórcy poematem lub balladą, to, mimo zewnętrznej szaty dramatycznej (dIALOG), nigdy dramatem nie będzie, a na deskach scenicznych wieść będzie żywot sztuczny, krótkotrwały.

Te uwagi raz jeszcze nasunęły się nam na myśl, gdy studiowaliśmy „Igrzysko” Staffa.

Przedewszystkiem zapoznajmy się z treścią dramatu.

Rzecz dzieje się w III w. po Chrystusie, za panowania cesarza Dyoklecyana, podczas ostatnich prześladowań chrześcijan. Miejsce akcji—Antinoa egipska, przez cesarza Hadryana wzniesiona, teraz bogata, strojna i—nudząca się, jak całe ówczesne *Imperium Romanum*.

Tło obyczajowe, podinalowane podobnie, jak w „Irydionie,” w „Rzymie za Nerona” Kraszewskiego lub w „Quo vadis.” Ten świat w upadku, w rozstroju, marzy smutnie tylko o tem, czem-

by zabić pustkę swej duszy. Niczego już nie pożąda, nic go nie cieszy, nic nawet nie zaciekawia.

Po kilku scenach, odtwarzających ogólny nastrój tego społeczeństwa, które stawało się coraz bardziej międzynarodowem, pstrym konglomeratem plemion i języków, spotykamy się z bohaterem. Jest nim Filemon, historyon, histryon znakomity, ulubieniec całego miasta, które namiętnie oklaskuje w teatrze świetne jego kreacje. Ma sławę, miłość ludzką, bogactwa—czegoż mu jeszcze brak?

Nie jest jednak szczęśliwy, bo—niema celu w życiu, stracił wiarę w cobądź i w kogokolwiek, nic i nikogo nie kocha. Jest, jak Petroniusz Sienkiewicza, obrazem zgrzybiałego Rzymu.

Nagle—wiadomość, która potrąca silnie zwietrzałą imaginację aktora: jego dawny mistrz, Apoloniusz, dziś dyakon sekty chrześcijańskiej, uwięziony. Żadna siła nie odejmie go śmierci, chyba on sam, jeśli wyprze się błędów i złoży ofiarę bogom. Tak wyrok słyszy Filemon z ust prefekta Ariana, do którego na próżno wstawiał się za nieszczęśliwym, a podobno już chwiejącym się w swym harczie starcem. Gdybyż go skłonić do ustępstwa!

Ale nie! Inna myśl owładnęła aktora. Ocali Apoloniusza, a zarazem uczyni coś takiego, czego jeszcze nie było, zajmie swą myśl, zapali fantazyę, zapomni o pustce serdecznej w duszy...

Nową rolę zagra zdziwionemu światu!

I oto w akcji drugim jesteśmy świadkami, jak Filemon schodzi do ciemnicy Apoloniusza. Plan prosty, wykonanie nie-trudne; chodzi tylko o zamianę odzieży: dyakon uchodzi z więzienia w przebraniu historyona, Filemon bierze na siebie maskę i ubiór skazańca. Czy po to, by ponieść śmierć za starego przyjaciela? O nie! Do takich poświęceń nie jest zdolny. Stanie nazajutrz przed ludem w roli chrześcijańskiego starca, olśni, oczaruje, porwie słuchaczy, a potem—zrzuci maskę, a wielbiący go Arian i lud zachwycony przebaczą winę. Co za tryumf sztuki aktorskiej! co za niesłychane wzruszenie artystyczne!

Z taką to myślą wstępuje Filemon w progi świątyni. Nie poznaje go lud, obrzuca błotem i obelgami. Ale oto zaczyna grać. Gra świetnie, roznamiętnia tłum, ale zarazem rozżarza i własną duszę. Przestaje być aktorem, wzrusza się szczerze i głęboko, czuje jakiś potężny wiew, przebiegający pustynią jego duszy, rozjaśnia mu się serce blaskiem wielkim, oślepiającym. Jest innym człowiekiem, czuje, że żyje, kocha, pragnie...

Ale chwila podniecenia szybko mija. Zapada kurtyna. Widzowie klaszczą, oczarowani niezwykłym widowiskiem. Trzeba opuścić scenę, zrzucić koturny, powrócić do dawnego życia...

Powrócić? i po tej chwili, tak pięknej, tak wzniosłej, znowu nie mieć przed sobą „niczego więcej, prócz pustki i mroku?“ Za nic, o, za nic!

Raczej umrzeć. Znalazła się pod ręką trucizna. „Kto nieuleczalnie był mały w życiu, niechaj dumny będzie chociażby w śmierci.“

I z okrzykiem: „Ach, tak trzeba było żyć! żyć! żyć!“—umiera wielki artysta.

Qualis artifex pereo!—mógłby zawołać z Neronem, z którym ma jedną cechę wspólną, znamię epok i społeczeństw przeżytych: kabotynizm. Mógłby, jak tamten, nad morzem płomieni, śpiewać przy lutni o pożarze Troi. I ten właśnie kabotynizm, posunięty *ad absurdum*, do zaprzeczenia samego siebie, wywołuje wielką, wzruszającą szlachetnie chwilę szczerości. I tę chwilę histryon przypłaca życiem.

Bogactwo tła i akcesoryów, podniosłość treści i stylu, szlachetna potoczystość wiersza—oto cechy dodatnie „Igrzyska.“ Pragnęlibyśmy może więcej pogłębienia charakterów, dość ogólnikowo zaznaczonych, nietylko może Filemona, ile np. zbyt bladego Apoloniusza, Ariana i wielu innych.

Załączony, jako aneks, przedruk afisza teatru lwowskiego z dn. 1 marca r. b. świadczy, że Staff stanął z „Igrzyskiem“ przed rampą teatralną. Czy zyskał trwałe powodzenie—nie wiemy.

Ale wątpić o tem należy. „Igrzysko“ dramatem nie jest. Zaciekawia, olśniewa, ale nie wzrusza, łez nikomu nie wyciśnie. Brak mu nietylko nerwu scenicznego, ale i czegoś więcej jeszcze: jest chłodny, retoryczny, może tylko w założeniu (przecież to tylko „igrzysko!“), a może i w wykonaniu.

A biada dramaturgowi, który od początku do końca sztuki pozostawia widza najzupełniej obojętnym na rozgrywające się na scenie wypadki!

Wtedy bowiem nie pomoże piękna, nawet najpiękniejsza szata poetycka utworu.

HENRYK GALLE.

KĘTRZYŃSKI STANISŁAW. *O Królestwie Wielkopolskiem.* Warszawa, 1909, str. 25.

Uczonych polskich, pracujących na niwie nauk społecznych, jest u nas dotąd tak niewielu, iż rzadko się zdarza, by osób parę badało te same kwestye lub nawet interesowało się temi samemi

zagadnieniami. Rezultat tego jest taki, iż polemiczne dyskusje na tematy naukowe są u nas rzadkością, że sprawiają nawet sensację. Tymczasem łatwo zrozumieć, jakie poważna polemika ma znaczenie dla nauki. Z jednej strony zmusza ona uczonych do samokrytycyzmu, do pogłębienia swych badań, z drugiej strony nierzadko przysparza im twórczych idei. Po wielu latach ciszy pierwszy poważniejszy spór naukowy rozegrał się w roku 1906 na łamach kwartalnika naukowego. Chodziło wtedy o „Historję Ustroju Polski w zarysie,“ w której prof. Kutrzeba dał syntetyczny pogląd na dzieje społeczne naszej ojczyzny, napisane z niezwykłym znanstwem i talentem literackim. Książka Kutrzeby obiegła szybko Polskę, znalazła się w ręku nauczycieli, słuchaczy uniwersytetu i poważniejszych samouków, doczekała się kilku tłumaczeń na języki obce i, co jest dla autora może największym zaszczytem, wywołała polemikę, w której udział wzięły najtęższe siły polskie. Najpierwszym poważnym oponentem Kutrzeby był zasłużony prof. Balcer; poczem grono walczących powiększyło się: prof. Krzyżanowski zamierza w obszernym wywodzie poprzeć prof. Balcera, dr. Stanisław Kętrzyński zaczął świeżo kruszyć kopię w obronie niektórych tez prof. Kutrzeby. Główną osią polemiki w jej stadyum obecnem jest tak zwana „Sprawa Królestwa Wielkopolskiego.“ Prof. Kutrzeba w swej „Historji ustroju“ przeprowadził zasadę, że Królestwo, ufundowane przez Przemysława, nie było dalszym ciągiem monarchii Chrobrego, gdyż formalnie obejmowało nie całą Polskę, lecz jedynie Wielkopolskę. „Król Łokietek, czy Kazimierz jest więc królem w Wielkopolsce, księciem krakowsko-sandomierskim w Małopolsce, łęczyckim w ziemi Łęczyckiej.“ Tego twierdzenia nie chciał żadną miarą uznać prof. Balcer, uważając, że zarówno Łokietek, jak i Kazimierz, królowali całej Polsce. Dr. Stanisław Kętrzyński w świeżo wydanem studyum „Królestwo Wielkopolskie“ poparł prof. Kutrzebę niezbiteni, zdaje się, dowodami. Przytacza więc dr. K. cały szereg dokumentów z XIV wieku, w których nomenklatura „Regnum Poloniae,“ użyta jest w znaczeniu Królestwa Wielkopolskiego, powołuje się nadto na świadectwo takich badaczy, jak Lelewel, Caro, Potkański, z młodszych zaś historyków Kamieniecki i Kłodziński. Szereg swych i prof. Kutrzeby sprzymierzeńców mógłby dr. K. powiększyć jeszcze. Można było przytoczyć miarodajne zdanie prof. Ulanowskiego, który na posiedzeniu Komisji historycznej krakowskiej Akademii Umiejętności w dniu 30 maja 1891 r. odbytem, powiedział wyraźnie: „Państwo Polskie w tej postaci, jak utworzyło się za Łokietka, jest federacją kilku odrębnych

organizmów politycznych, między którymi „Regnum Poloniae,” t. j. Wielkopolska, stanowi odrębną całość w przeciwstawieniu do księstw: krakowskiego, sandomierskiego, sieradzkiego, łęczyckiego i kujawskiego. Sensulatrici „Regnum Poloniae,” to całe terytorium, nad którym panuje monarcha, którego głównym tytułem jest rex Poloniae; sensustrictiori jest to Wielkopolska, to jest ziemia poznańska, gnieźnieńska i kaliska.“¹⁾

Sprawa Królestwa Wielkopolskiego jest ściśle połączona z inną, ważniejszą bodaj jeszcze, mianowicie z kwestyą, czy państwo polskie w wieku XIV było państwem jednolitem, czy też unią księstw ją składających. Otóż federacyjności państwa polskiego zamierza dr. K. dowieść w oddzielnem studyum. I niewątpimy, iż na tem polu nie zabraknie dr. K. sprzymierzeńców, wszak federacyjności państwa polskiego dowodzili ludzie tej miary co prof. Ulanowski i prof. Bobrzyński (Dzieje 189—190), Karejew (Sejm 67) i t. d.

IGNACY BARANOWSKI.

Dr. SEMKOWICZ WŁADYSŁAW. *Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskim.* 8-o, str. 83. Lwów 1909.

Studia porównawcze nad prawem słowiańskim, których świetnym rzecznikiem jest prof. Balcer, wywarły wpływ ożywczy na historyografię polską. Zmniejszyła się ilość zjawisk, uważanych dotąd za specyficznie polskie, natomiast wystąpiły na jaw cechy właściwe całemu światu słowiańskiemu. Wobec nowych horyzontów, jakie się rozwarły pod wpływem studyów porównawczych, zjawiała się potrzeba rewizji wielu dawnych teoryj historycznych. Jedną z takich rewizyj właśnie przeprowadził dr. Wł. Semkowicz w swem studyum o włodykach. Dotąd o włodykach mieliśmy jedną tylko świetną wprawdzie pracę prof. Podkańskiego, teraz dr. Semkowicz uczynił nowy krok naprzód w sprawie wyjaśnienia genezy tego ze wszech miar ciekawego odłamu rycerstwa polskiego. Według dr. S. prawne i społeczne położenie włodyków nie różniło się wielce od stanowiska odpowiednich warstw szlachty niższej, jakie istniały u innych narodów słowiańskich. Włodyków nie można absolutnie zaliczyć do chłopów; do-

¹⁾ Sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiejętności, rok 1891, str. 39.

tychczas utrzymywano, że władcy płacili dziesięcinę w sposób nieszlachecki i nie posiadali herbów, ale zdaniem dr. S. właśnie pod tym względem byli w błędzie dotychczasowi badacze z prof. Podkańskim na czele. Na czemże więc polegała różnica między włodykami a szlachtą? Oto poprostu, odpowiada dr. Semkowicz, nazwa włodyków była mianem tych rodzin rycerskich, które nie uzyskały dostępu do urzędów i przez to nie weszły do stanu szlacheckiego, lecz utworzyły odrębną grupę rycerstwa. Za wlekką zasługę autora uważać należy wykrycie całego szeregu gniazd włodyczych w ziemi krakowskiej. Okazuje się, że wszystkie siedliska włodyków leżały w pobliżu grodów lub na pograniczach. Na pytanie, co się stało w wieku XV z włodykami, odpowiada Semkowicz w sposób podobny, jak Podkański: władcy zleli się częściowo z chłopami, a częściowo ze szlachtą, przyczem bez ceremonii podszywali się pod cudze herby, wystawiając fałszywych, przekupionych świadków. Jakkolwiek rozprawa Semkowicza posunęła sprawę włodyków ogromnie naprzód, nie można jej uważać za ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi. Być może, że władcy przedstawia się w innym świetle, skoro będą opublikowane nowe źródła, przedewszystkiem mazowieckie. Może wtedy wyjdzie na jaw fakt, że władcy mieli inne uzbrojenie niż szlachta, równie archaiczne, jak ich nazwa; może dowiemy się wtedy czegoś bardziej konkretnego o tych strategicznych i gospodarczych przyczynach, które położyły kres włodyczemu rycerstwu.

I. B.

Kronika miesięczna.

Po Wystawie Częstochowskiej.—Początek roku szkolnego i wyjazd młodzieży zagranicę.—Projekt uzupełnienia Muzeum narodowego działami przyrodniczym, archeologicznym i etnograficznym.

Ogólne wrażenie dodatnie, jakie wywarła w całym kraju, a nawet poza jego granicami, Wystawa Częstochowska, sprawiło, że opinia polska zainteresowała się żywiej kwestyą wystawy powszechnej w Warszawie.

Pokaz częstochowski, aczkolwiek przekroczył znacznie zamiary pierwotne i urósł do znaczenia doniosłego wypadku w dziedzinie ekonomicznych i kulturalnych naszych usiłowań, to jednak nie mógł objąć i nie objął całokształtu naszego życia gospodarczego, wszystkich objawów naszej wytwórczości przemysłowej i artystycznej i wszystkich gałęzi naszego handlu.

To, co zgromadziła w Częstochowie energia komitetu i dobra wola wystawców, stwierdzało niewątpliwie, że kraj, nawet w tych warunkach niepomysłnych, w jakich znajduje się obecnie, posiada pewną żywotność i mniej lub więcej jasno wytknięte drogi rozwoju na przyszłość.

Wystawa Jasnogórska posiadała jednak poważne luki, które prędzej czy później w przedsięwzięciu, obliczonym na większą skalę, należy uzupełnić nie dla kogo innego, ale dla nas samych, ażebyśmy dokładnie i wszechstronnie mogli poznać stan ekonomiczny kraju, jego zasoby i bogactwa, oraz jego wytrwałość w dążeniu do postępu. Egzaminem takim dla Królestwa Polskiego byłaby dopiero Wielka wystawa krajowa.

Projekt jej urządzenia nie jest nowy. Wystąpił z nim jeszcze przed rewolucyą redaktor ówczesnej *Gazety Polskiej*, ś. p. Jan Gadomski. Wielki przemysł przyjął wówczas projekt ten przy-

chylnie i żądał tylko kilkoletniego terminu na przygotowanie się do odpowiedniego wystąpienia. Aliści wybuchła wojna japońska, a w ślad za nią nastąpił szereg wstrząśnień rewolucyjnych, zatomowanie normalnego życia w kraju, ostra walka pomiędzy pracą a kapitałem, strejki pamiętne i lokauty, wreszcie długotrwała anarchia, której posiew do tej chwili nie zaprzestał jeszcze wydawać owoców. Oczywiście, cała sprawa musiała pójść w odwłokę i zdawało się, że nieprędko nadejdzie chwila, odpowiednia do ponownego jej postawienia na porządku dziennym. Dopiero, jak powiedzieliśmy wyżej, Wystawa Częstochowska ośmieliła ludzi do rewizyi dawnego projektu i przystosowania go do warunków chwili obecnej.

A warunki te są już inne, niż były dawniej. Choćby to jedno, że krajowi przybyła w okresie, jaki nas dzieli od ankiety Gadomskiego, wielka instytucya w postaci Centralnego Towarzystwa rolniczego, które jedno mogłoby dzisiaj wziąć na siebie zorganizowanie całego działu rolniczego na przyszłej wystawie—każe przedewszystkiem zastanowić się nad tem, czy instytucya, na której barki zostałby taki ciężar włożony, mogłaby go podźwignąć i czy niema ona przed sobą zadań bliższych, pilniejszych i większą posiadających wagę?

Otóż nie ulega wątpliwości, że Towarzystwo rolnicze, dzięki swej organizacyi, obejmującej cały kraj, gdyby zechciało wyłącznie poświęcić się przygotowaniom do wystawy powszechnej, mogłoby podołać wypływającym stąd zadaniom i obowiązkom. Ale—w tej chwili ma ono przed sobą kilka jeszcze lat pracy już rozpoczętej i to pracy takiej, której zaniechać nie może, a która właściwie jest pracą przygotowawczą dla Wielkiej wystawy krajowej. Mamy tu na myśli owe drobne wystawy prowincjonalne, powiatowe, których Towarzystwo urządziło już cały szereg z nie małym pożytkiem dla sprawy dokładnego poznania poszczególnych części kraju i dla szczepienia zasad postępu tam, gdzie nie dociera on ani drogą wiedzy książkowej, ani drogą wiedzy nabytej praktycznie, a dotrzeć może tylko metodą poglądową.

Otóż Towarzystwo rolnicze nie wcześniej, jak po ukończeniu tego „pochodu wystawowego“ wzdłuż i wszerz kraju, po przygotowaniu drobnego rolnika do zrozumienia istotnych celów i istotnej wartości pokazów rolniczych, będzie mogło zająć się sprawą wystawy powszechnej.

Żadną miarą nie może to jednak nastąpić wcześniej, jak za lat kilka i dlatego do poważnej dyskusyi nie mogą wchodzić żadne bliższe terminy.

Dotychczas wyłoniły się dwa lata, upatrzone na lata wystawowe: rok 1912 i 1915. Oświadczylibyśmy się raczej za terminem drugim, naprzód dlatego, że jest dalszym, a więc daje większą rękojmię lepszego przygotowania się kraju do wystawy, powtóre, że w r. 1915 przypada setna rocznica utworzenia na Kongresie wiedeńskim Królestwa Polskiego, rocznica, posiadająca niewątpliwe znaczenie w historii rozwoju ekonomicznego naszego kraju, który stopniowe przeobrażanie się swoje z rolniczego na rolniczo-przemysłowy rozpoczął w dobie konstytucyjnej, w dobie, kiedy na czele rządów stali ludzie, ogarniający wszystkie potrzeby ekonomiczne wyczerpanego długimi wojnami Królestwa i umiejący je zaspokajać. Wprawdzie nie trwało to długo, bo już od upadku powstania styczniowego zaczęło się tamowanie życia narodowego u nas we wszystkich jego dziedzinach, a więc i w dziedzinie gospodarczej, zaczęło się stopniowe dezorganizowanie i unicestwienie odrębnych instytucyj polskich, zakończone przemianowaniem Banku Polskiego, który tyle położył zasług dla rozwoju naszego przemysłu i handlu, na „Warszawski Kantor Banku Państwa,“ to jednak—pomimo to wszystko—życie ekonomiczne kraju w okresie 1815—1915 da się połączyć w pewną całość na tle jednej zasadniczej linii rozwojowej, której początek wyłania się z zamierzeń Lubeckiego, a ciąg dalszy widnieje we wszystkich usiłowaniach obywatelskich, zmierzających w najcięższych nawet warunkach do zapewnienia narodowi większego dobrobytu, a co za tem idzie, możliwości wznoszenia się na wyższy poziom życia kulturalnego.

Od r. 1915 dzieli nas zresztą tylko 5 lat. Nie jest to wcale dużo, a w każdym razie nie za dużo na przygotowanie się do wystawy, zakrojonej szeroko i mającej mieć istotne znaczenie dla kraju.

Przez te lat 5, o ile nie zakłócą ich wypadki nieprzewidziane w postaci zawsze możliwej wojny, jako koniecznego epilogu „opartego na bagnietach pokoju europejskiego,“ lub w postaci powikłań wewnętrznych w państwie,—przemysł polski i handel mogą zagoić niejedno z dzisiejszych swoich niedomagań, wywołanych niedawnym przesileniem i wówczas staną one do popisu o wiele silniejsze, niż obecnie.

Nie możemy zapomnieć również, że bardzo niedawno weszliśmy dopiero w okres ożywionej pracy na polu kooperacyi i że praca ta potrzebuje także czasu, aby mogła wydać owoce, tym zaś owocom niewątpliwie należeć się będzie jedno z poczesniejszych miejsc na wystawie krajowej, one bowiem świadczyć będą najwymowniej o naszej przyszłości ekonomicznej, o zwycięskim

pochodzie tej walki, jaki naród, świadomy swoich potrzeb, rozpoczęła z dzisiejszemi formami pośrednictwa kredytowego i spożywczego, wyzyskującemi najuboższe warstwy ludu wiejskiego i wiejskiego.

I to jest także wzgląd bardzo ważny, przemawiający za dalszym terminem wystawy, która powinna dać nam szczegółowy obraz stanu i rozwoju spółek włościańskich i kółek rolniczych, sklepików wiejskich, kas oszczędnościowych i pożyczkowych i wogóle kooperacyi we wszelkich kierunkach.

Nadto, rozejrzawszy się w ogólnych warunkach chwili obecnej, łatwo dojdziemy do wniosku, że pośpiech w urządzaniu wystawy nie jest pożądany.

Wprawdzie nie może być dwóch zdań co do tego, że wielka wystawa jest nam potrzebna i to potrzebna nieodzownie, jako bodziec do dalszej pracy, jako źródło otuchy i sposób poznania własnych sił, ale—dla nikogo nie jest tajemnicą, że przedsięwzięcie takie, o ile ma przynieść korzyść istotną, wymagać będzie znacznego nakładu pieniężnego i pochłonie ogromnie dużo energii i sił ludzkich.

Obecnie kraj jest materialnie wyczerpany, a tysiączne potrzeby wołają nieustannie o zaspokojenie, gdy tymczasem ofiarność publiczna płynie coraz węższym strumieniem. Nie łatwą też rzeczą byłoby w tej chwili stworzyć wielki kapitał gwarancyjny dla wystawy, kapitał, bez którego nie możnaby rozpocząć nawet najskromniejszych prac przygotowawczych. Za lat kilka zaś niewątpliwie ogólne warunki polepszą się o tyle, że sprawa odrazu pomyślniejszy weźmie obrót, zwłaszcza, że czynnikiem, który wówczas wejdzie już w grę, będzie rada miejska Warszawy samorządnej, rada, która z samej racyi swego istnienia musi zainteresować się wystawą i poprzeć ją materialnie, dla Warszawy bowiem, jako dla miasta, powszechna wystawa krajowa może stanowić epokę w rozwoju.

Naprzód samo uporządkowanie Powiśla i Saskiej kępy, tych dwóch terenów, połączonych przez budujący się obecnie most trzeci, a jedynie wskazanych na miejsce wystawy, mogłoby mieć zasadnicze znaczenie dla przyszłości miasta.

Po tem ruch pieniężny, jaki wywołują zawsze wielkie wystawy w wielkich miastach, przyczyniłby się w szeregu lat następujących do ożywienia w dziedzinie budowlanej, przemysłowej i handlowej.

Wreszcie, ewentualne wycieczki na wystawę przemysłowców i kupców zagranicznych sprzyjałyby zadzierzgnięciu niejednego

węzła trwalszych stosunków z krajami i narodami, z których wyższego rozwoju gospodarczego bez ujmny dla siebie możemy korzystać. Ze stosunków zaś takich może się wyłonić w przyszłości to, co właściwie stanowi przeznaczenie Warszawy—mianowicie uczynienie z niej ośrodka, w którym koncentrowałyby się nicy, wiążące zachód ze wschodem, stworzenie tu wielkiego rynku, na którym spotykałyby się z sobą „dwa światy,“ jak to przepowiedział niegdyś Karol Lesseps.

Nie zapuszczając się jednak w dziedzinę przepowiedni i przypuszczeń na daleką metę, widzimy w wystawie krajowej cały szereg doraźnych korzyści dla Warszawy i kraju, a wśród nich są nietylko korzyści materialne. Już samo znaczenie pedagogiczne wystawy dla pokolenia, które weźmie w niej udział, które zapozna się naocznie z wynikami pracy w kraju i spostrzeże jednocześnie braki, jakie niewątpliwie na jaw wyjdą—posiada wartość dużą i niezaprzeczoną. Z jednej strony spłynie na to pokolenie otucha i wiara we własne siły, z drugiej—obudzi się w niem inicjatywa i dążność do zapełnienia luk, przynajmniej najdotkliwszych.

Korzyści te przyniosła już w pewnej mierze wystawa częstochowska, o ileż większe może tedy przynieść powszechna wystawa krajowa, ogarniająca wszystkie dziedziny naszego życia, urządzona według dokładnie opracowanego planu i pouczająca w każdym swoim szczególe.

Nie jeden też trwały nabytek może pozostać po niej dla miasta. Podobnie jak w Częstochowie pozostać mają na placu wystawowym: muzeum higieniczne, pawilon przemysłu ludowego i wzorowa zagroda włościańska—w Warszawie po wielkiej wystawie krajowej pozostałyby niewątpliwie zbiory, które mogłyby stanowić cenny materiał dla przyszłego muzeum miejskiego, lub dla specjalnie założonego muzeum społeczno-ekonomicznego, które mogłyby się stać instytucją wielkiego pożytku naukowego i praktycznego, w dziedzinie, w której jesteśmy bardzo upośledzeni.

Pomijając jednak te wszystkie korzyści, ze szczególnym naciskiem chcemy tu podkreślić moment, jaki stanowiłaby wystawa w ułożeniu się na przyszłość stosunku prowincyi do Warszawy.

Przykład wystawy kościuszkowskiej we Lwowie w r. 1894, a potem świeży przykład wystawy Częstochowskiej, przez którą w ciągu dwóch miesięcy przewinął się wedle obliczeń przybliżonych bez mała milion ludzi, świadczą wymownie o tej wielkiej roli,

jaką dobrze zorganizowane wystawy odgrywają w życiu narodowym.

Spotykają się tu przedstawiciele rozmaitych dzielnic, rozmaitych gałęzi pracy, rozmaitych aspiracyj. Następuje wzajemne poznanie się, wzajemna wymiana zdań. Wola jednostkowa znajduje tu nietylko zachętę do pracy, ale i poparcie zbiorowości. Potrzeby kraju stają się bardziej zrozumiałe i z większą siłą narzucają się świadomości obywatelskiej. Stąd rodzi się zapoczątkowanie wielu spraw, które mają na widoku dobro ogólne. W taki sposób w Galicyi zrodził się na wystawie lwowskiej prąd, zdążający ku uprzemysłowieniu kraju i jeżeli dziś nie bez pewnego podziwu i uznania przyglądamy się działalności tantejszej *Ligi przemysłowej*, która to działalność ogarnia zwoła cały kraj i wciąga do współpracownictwa nawet pogrążonych w głębokim śnie mieszkańców małych miasteczek — to ogromna w tem jest zasługa roku 1894.

Nam, jako społeczeństwu, braknie również w niejednym wypadku harmonijnego współdziałania prowincyi, której tętno życia jest o wiele słabsze od tętna Warszawy. Nad wytworzeniem tej harmonii, która jedynie zdecydować może o szybkim postępie kraju, bo będzie on szedł normalnie naprzód tylko wówczas, gdy intelektualna inicjatywa Warszawy znajdzie szybki oddźwięk i wykonanie praktyczne w kraju — powinniśmy pracować. Że zaś niewątpliwie pracę tę ułatwiłaby w znacznej mierze wystawa krajowa, stwarzając chwilowy, ale doniosły łącznik pomiędzy ludźmi i rzeczami, więc projekt jej urządzenia w niedalekiej przyszłości wydaje nam się ze wszech miar godnym zastanowienia i poparcia.

*

*

*

Początek roku szkolnego, podobnie jak lat poprzednich, wysunął na porządek dzienny troskę o młodzież. Część jej, uczęszczająca do szkół średnich, znalazła się i nadal w prywatnej szkole polskiej, spełniającej coraz lepiej swoje zadania i wkraczającej na tory zdrowego, normalnego rozwoju pod hasłem wyęźnionej pracy naukowej i wychowawczej, wolnej od fermentów, jakie się

zakradły do niej w okresie silnego podniecenia politycznego i nastrojów rewolucyjnych. Dziś można już twierdzić śmiało, iż średnia szkoła polska przetrwała zwycięsko okres prób i doświadczeń i wychodzi z niego dobrze przygotowana do dalszego istnienia. Ciężkie są jej zadania i niepomysłne warunki, w których się rozwija, tembardziej jednak podkreślić należy, że mimo skąpych środków materyalnych, mimo tego, że opiera ona byt swój wyłącznie na dochodach z wpisów, co przy ubóstwie społeczeństwa nie stanowi ani zbyt pewnych, ani zbyt obfitych źródeł utrzymania, stara się ona w możliwie jaknajszerszych granicach zastąpić tańszą szkołą rządową i przygotować młodzież jaknajlepiej do studiów wyższych.

Studia te ogromna większość młodzieży, która z patentem szkoły prywatnej niema prawa wstępu na uniwersytety rosyjskie, odbywa za granicą, częściowo w Galicyi, częściowo zaś we Francyi, w Szwajcaryi, w Niemczech i w Anglii.

I w tym więc roku nowa fala „wychodźców z konieczności“ odpływa za kordon.

O tych, którzy jadą na studia do Krakowa lub Lwowa, społeczeństwo niema potrzeby się troszczyć. Młodzież nasza jest tam u siebie, w środowisku rodzimem, w warunkach, sprzyjających bardzo pracy naukowej i obudzeniu ducha obywatelskiego. Zgoła inaczej przedstawia się jednak wyjazd tych, co jadą szukać światła do krajów obcych. Tam już nietylko sama egzystencja o wiele jest trudniejsza, ale istnieją nadto tysiączne przeszkody, które młodzieńca, niedość jeszcze dojrzałego, nie posiadającego dość hartu i woli, wytrącić mogą z równej kolei, oderwać go od nauki i wciągnąć albo w wir życia politycznego, albo w atmosferę kawiarnianego próżniactwa, które w następstwie wykołaja nawet zdolne jednostki i odbiera im możność pracy pożytecznej.

Istnieją wprawdzie we wszystkich niemal większych ogniskach naukowych Europy zachodniej polskie stowarzyszenia studenckie, które, obok pomocy materyalnej, mają także za cel mieć swoim członkom pomoc moralną, chronić ich przed daremną stratą czasu, dostarczać informacyj w zakresie studiów i dbać o to, ażeby te studia odrazu przybrały charakter właściwy, aby nie rozpraszały się na szczegóły, lecz zmierzały po jasno wytkniętej drodze do obranego celu — wszystkie jednak stowarzyszenia tego rodzaju mają jeden wspólny brak — brak środków materyalnych, które, jak tego uczy doświadczenie, okazują się niezbędne nawet do spełniania owych zadań moralnych.

Tymczasem jednym z najpoważniejszych czynników, wywołujących bądź wykolejenie, bądź opóźnienie w studiach młodzi-ży, kształcącej się za granicą, jest ubóstwo, graniczące czasem z nędzą, która w imię ambicyi w najcięższych chwilach usuwa się nawet z pod kontroli koleżeńskiej.

Młdzież nasza w niewielu tylko wypadkach wyjeżdża za granicę z odpowiedniem uposażeniem. Większość jej—to synowie i córki rodziców niezamożnych, którzy z trudem zdobywają się ledwie na jakie takie zasiłki dla dzieci. Cała zaś rachuba na pomyslnie ukończenie studiów jest tu oparta na tem, że „jakoś to będzie,” przyczem wchodzą tu w grę reminiscencye o tych, którzy własnymi siłami przebijali się przez uniwersytet i dochodzili do stanowisk.

Niestety, należy to już do przeszłości. Nadto było to w kraju i było w okresie, kiedy „korepetytor“ był specyficznym wytworem stosunków, wytworzonych u nas przez politykę szkolną Apuchtina, nie znajdującą aprobaty nawet u generał-gubernatora Hurki.

Cóż więc dopiero mówić o zagranicy, gdzie dla studenta, zwłaszcza obcego, nie znającego ani języka w stopniu zadowalającym, ani stosunków miejscowych, znalezienie pracy dodatkowej, nie odrywającej go zanađto od nauki, jest zjawiskiem niezniernie rzadkiem. Liczyć na to, znaczy to samo, co budować zamki na lodzie. A przecież niejeden wyjeżdża w świat w tem przekonaniu, że jednak szczęście go nie opuści.

Nadzieje te oczywiście zawodzą i wówczas rozpoczyna się walka z nędzą. Stypendyów posiadamy wogóle mało, stypendyów zaś zagranicznych, poza fundacją Rapperswylską, nie posiadamy wcale. Skąd więc oczekiwać ma młdzież pomocy? Pozostają jej tylko stowarzyszenia koleżeńskie, które nie mogą zaspokoić wszystkich żądań i wszystkich potrzeb.

I tak powstaje tło, na którym rozgrywają się później dramaty i tragedye młodego życia, zakończone bądź ucieczką pod sztandary anarchii i doktryn rewolucyjnych, bądź wykolejeniem moralnem i pasorzytniczem bytowaniem na kieszeniach „rodaków“ zamożniejszych, których los pozwoli spotkać na drodze.

Wypadki tego rodzaju nie są bynajmniej regułą, ale już to samo, że są, że mówi się o nich głośno i że każdy ze swoich wspomnień zagranicznych może przytoczyć niejeden fakt podobny, każą w chwili, gdy cały zastęp młodziży wybiera się za granicę, przypomnieć jej, że do uniwersytetów obcych mogą jechać tylko ci, którzy posiadają zapewnione środki na spokojny kilko-

letni pobyt za granicą. Kto zaś środków takich niema, lepiej uczyni, obierając sobie Lwów lub Kraków za miejsce studyów, gdzie nauka jest o wiele tańsza, a pomoc łatwiejsza. Niejednemu, zresztą, na początek wystarczą najzupełniej Wyższe Kursy naukowe w Warszawie, rozwijające się tak pomyślnie i postawione zupełnie na poziomie uniwersyteckim.

*

*

*

Wiadomo, że Muzeum Narodowe ma być przeniesione na Wawel, gdzie otrzyma obszerne, odpowiadające swoim celom pomieszczenie. Otóż z tej racji Towarzystwo im. Kopernika wystąpiło do Sejmu galicyjskiego z propozycją, aby kraj objął z tą chwilą zarząd Muzeum i uzupełnił je działami przyrodniczym, archeologicznym i etnograficznym, tworząc w ten sposób obok pamiątek historycznych cenny zbiór naukowy.

Towarzystwo, wychodząc z założenia, że Muzeum Narodowe nie może uwzględniać tylko przedmiotów sztuki narodowej i zażytków przeszłości, ale zarazem winno być dokładnym obrazem teraźniejszości ojczyzny, tak motywuje swój pogląd:

Ojczyzna — mówi odezwa, wystosowana do Wydziału krajowego we Lwowie — to nietylko szczupła garstka artystów słowa lub pendzla, nietylko zastęp ludzi, którzy w dziejach naszych odegrali ważniejszą rolę. Ojczyzna — to także ta ziemia, na której żyjemy i od której skarbów czy ubóstwa zawisliśmy w życiu naszym, to nasze pola, stępy i lasy, nasze rzeki i góry, cały nasz kraj z jego szatą roślinną i zwierzęcą, to także ten lud, który od wieków nasz kraj zamieszkuje, to owe rzesze bezimienne, które stanowią potęgę narodu. Zebrać okazy i dokumenty, ilustrujące naocznie ziemię ojczystą i życie narodowe, przedstawić nam wreszcie stan naszej ojczyzny w dobie obecnej i w dawnej przeszłości, pobudzać do studyów i poszukiwań we wszystkich owych kierunkach—oto doniosłe zadanie przyszłego Muzeum Narodowego. Muzeum powinno zatem obejmować następujące działy: 1) dział przyrodniczy, dający możliwie wierny i wyczerpujący obraz przyrody ojczystej, a zatem zawierający wszystko, co się odnosi do geografii, klimatologii, geologii, do szaty roślinnej i świata zwierzę-

cego ziem polskich; 2) dział przedhistoryczny i dział etnologiczny, które zawierałyby wykopaliska i wszelkiego rodzaju zabytki przedhistorycznych, zamieszkujących niegdyś ziemie nasze ludzi, a także wszystko, co daje obraz zwyczajów, strojów i wogóle fizycznego i intelektualnego ustroju ludności obecnej; 3) dział historyczny, będący zbiorem pamiątek historycznych, wreszcie 4) dział sztuki narodowej, będący zbiorem wytwórczości artystycznej narodu.

I nie potrzeba szukać daleko przykładów takiej właśnie organizacji. Podobny zakres obejmuje muzeum czeskie w Pradze i węgierskie Muzeum Narodowe w Peszcie, nie mówiąc już o bogatych muzeach cesarskich w Wiedniu. U nas tym czasem nie jeszcze niema w tym zakresie.

Z miast polskich dotychczas jedyny Lwów posiada publiczne muzeum przyrodnicze, dzięki ofiarnej inicjatywie hr. W. Dzieduszyckiego. Kto zaś uda się do prastarej stolicy Wawelskiej, siedziby centralnych instytucyj naukowych i artystycznych Polski, nie znajdzie tam zbiorów publicznych, z którychby się mógł poinformować o ziemiach polskich i o ich przyrodzie—takie zbiory znajdzie raczej we Wrocławiu, w Berlinie, Wiedniu, nawet w Kijowie, ale nie w kraju! Wobec braku u nas muzeów przyrodniczych, jakie w innych krajach istnieją w każdym niemal większem mieście, społeczeństwo nasze poznaje właściwości swego kraju, *przyrodę jego*, nie z okazów natury, lecz raczej z opisów, napotykanych w literaturze poetyckiej i w podręcznikach naukowych, przeważnie w dodatku tłómaczonych z innych języków. Tak, jak obcy pierwsi zajęli się gruntownem badaniem geologicznem naszej ziemi i posiadli skarby w niej zawarte, jak obcy wykonali u nas badania hydrograficzne, tak i dzisiaj, nie posiadając odpowiednich zbiorów własnych, jakże często musimy udawać się do muzeów obcych...

Tu następuje pytanie, czem zapełnić polskie muzeum przyrodnicze, jeżeli kraj otworzy mu podwoje Wawelu.

Na to odpowiada Towarzystwo im. Kopernika słowami, pełnemi nadziei, ufne w to, że Akademia Umiejętności niewątpliwie odstąpi swoje zbiory dotychczasowe krajowi na rzecz Muzeum Narodowego, jeżeli otrzyma rękojmię odpowiedniego ich umieszczenia i opracowania. Nadto spodziewać się należy, że liczne mniejsze zbiory prywatne, rozproszone dzisiaj po kraju i nie spełniające swoich obowiązków naukowych wskutek niedostępności, zleją się z pewnością w przyszłym Muzeum.

Muzeum to, oprócz swoich celów idealnych, posiadałoby także duże znaczenie praktyczne, którego pomijać nie można. Agromom znajdzie tam naoczną naukę o właściwościach gleby, o naszych ziemiopłodach, o szkodnikach i chorobach roślinnych. Architekt i inżynier znajdą tam zestawienie krajowych materiałów budowlanych. Ten, kto się zajmuje górnictwem, leśnictwem lub rybołówstwem w krajach polskich, będzie mógł skorzystać ze środków naukowych, jakich nigdzie indziej nie znajdzie.

Olbrzymia przewaga zbiorów pochodzenia krajowego nadałaby temu muzeum charakter wybitnie krajoznawczy, którym wyróżni się ono z pośród innych znanych muzeów, ale, jednocześnie, powinny też tam znaleźć pomieszczenie okazy w obcych krajach zebrane z trudem przez naszych rodaków, rozrzuconych po całym globie ziemskim, po Sybirze i po Nowym Świecie. Będą one świadczyły o skuteczności pracy Polaków nawet na dalekiej obczyźnie, a równocześnie będą nam umożliwiały porównanie z naszymi formami krajowemi.

Tu trzeba się zastrzedz przeciw jednostronnemu, ciasnemu zapatrywaniu, jakoby wyłącznie punkt widzenia estetyczny miał być uwzględniany przy ocenie zabytków archeologicznych i etnologicznych. Zbiory te powinny dać o ile możności wierny obraz fizycznego ustroju ludu, w przeszłości i w teraźniejszości nasz kraj zamieszkującego, oraz całokształtu jego kultury, o ile odzwierciedla się ona w tego rodzaju okazach (sprzętach domowych, strojach i t. p.), powinny być tedy materiałem możliwie wszechstronnym do badań antropologicznych i etnologicznych.

Rozumie się samo przez się, że nie wystarczy nagromadzenie wszystkich owych zbiorów przyrodniczych i przedhistorycznych w salach wystawowych. Muszą być powołane do tego odpowiednie siły fachowe, którym powierzone będzie porządkowanie zbiorów, napływających ze wszystkich stron Polski; muszą być urządzone odpowiednie pracownie, umożliwiające fachowcom naukowe opracowywanie owych materiałów i wykonywanie badań w kierunku coraz to nowych zagadnień, nasuwających się w miarę postępu nauki.

Tak wygląda w zarysie projekt, który znalazł już na gruncie galicyjskim poparcie dość szerokie i ma wszelkie widoki urzeczywistnienia.

Oczywiście, nietylko dla Krakowa, jako dla głównego dzisiaj ośrodka nauki polskiej, ale dla całego kraju i dla całej Polski rozszerzenie Muzeum narodowego w tym kierunku posiadałoby doniosłe znaczenie kulturalne.

Idzie tylko o to, czy pomieszczenie, jakie otrzyma na Wawelu Muzeum narodowe, wystarczy do przeprowadzenia tych planów, szeroko zakrojonych, czy po uporządkowaniu zbiorów dotychczasowych, których część znaczna spoczywa w pakach, nie okaże się ono zaszczupłem na przyjęcie zbiorów dodatkowych, które również nie będą mogły zadowolić się dwoma lub trzema salami.

Muzeum narodowe w tej postaci, w jakiej istnieje obecnie, nie jest bynajmniej zbiorem zamkniętym. Nowe pamiątki i nowe okazy napływają do niego nieustannie. Całe mnóstwo rzeczy cennych, rzeczy, które bezwarunkowo powinny być tam, nie gdzieindziej, znajdują się jeszcze w posiadaniu prywatnem, jedynie dla tego, że posiadacze tych rzeczy wstrzymywali się z ich ofiarowaniem narodowi, do którego niezaprzeczenie należą wszelkie pamiątki przeszłości i który jest jedynym ich prawnym właścicielem, wstrzymywali się zaś dla tego, że w dzisiejszych ramach muzeum nie widzieli dla nich miejsca. Zarząd muzeum, wiedząc o tem, musi być przygotowany na ich przyjęcie w przyszłości, nie może więc ograniczyć się z góry określonym miejscem, ale powinien posiadać w rezerwie przynajmniej kilkanaście sal, przeznaczonych na bliższe i dalsze jutro.

Z tych względów sprawa w zasadzie bardzo pojętna i domagająca się szybkiego załatwienia, musi być jednak poddana gruntownemu zbadaniu i ocenie, zanim odpowiednia uchwała zapadnie, kto wie bowiem, czy i dla Muzeum narodowego i dla przyszłego Muzeum przyrodniczego nie byłoby rzeczą korzystniejszą, aby istniały one oddzielnie, zwłaszcza, że Muzeum przyrodnicze, o ile ma odpowiedzieć wszechstronnym swoim zadaniom, musi posiadać pracownię naukowe, urządzone odpowiednio i do urządzeń takich wymagające bardziej nowoczesnego gmachu.

Piękne, stare sale Wawelu doskonale nadają się wprawdzie na sale muzealne, z powagą jednak i nastrojem ich bezwarunkowo więcej licują pamiątki przeszłości narodowej, niż retorty chemiczne i tygle laboratoryjne.

Wiemy, że Galicya jest krajem biednym, który w tej chwili nie mógłby się zdobyć na postawienie takiego gmachu, jaki dźwignęli w Pradze Czesi na Vaclavském Naměstí dla swego muzeum. Niepodobna jednak w imię tej biedy wszystko sprowadzić na Wawel i odrazu zapełnić go szczelnie, zamykając do niego na przyszłość drogę tym projektom, które mogą się jeszcze wyłonić, a które również będą miały na widoku podniesienie chwały i zna-

czenia „narodowego kościoła pamiątek“ naszych, zgromadzonych na Wzgórzu Wawelskiem.

Popierając więc bez zastrzeżeń projekt utworzenia Muzeum przyrodniczego, nie taimy, że wolelibyśmy jednak widzieć je we własnym gmachu, poza obrębem Wawelu, a jeżeli na Wawelu — to tylko tymczasowo, do chwili, kiedy kraj będzie mógł wstawić do swego budżetu wydatek 2,000,000 koron, potrzebnych mniej więcej na budowę nowoczesnego gmachu dla zbiorów naukowych.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— DAS LITERARISCHE ECHO. Dwutygodnik dla miłośników literatury. Rok 11. Zeszyt 24. 15 września, 1909. Berlin. Stefan Zweig: Das neue Páthos; — Wilhelm Hegeler: Henrik Pontoppidan; — Heinrich Goebel: Norwegen und Danen; — Leonhart Adelt: Skandinavischer Nachwuchs; — Hermann Esswein: Neue Ibsen-Schriften; — Wolfgang Golther: Finnlands Volksdichtung; — Wilhelm Pocell: Aus und über Island; — Carl Michael Bellmann: Episteln und Lieder; — Echo der Zeitungen; — Echo des Auslands; — Kurze Anzeigen — Nachrichten; — Der Büchermarkt.

— EKONOMISTA. Rok IX. Tom II. Zeszyt III. Kwartał trzeci. Kwartalnik, poświęcony nauce i potrzebom życia, pod redakcją Stefana Dziewulskiego. Warszawa, 1909. Emil Gasparý: Z przeszłości przemysłowej klasy robotniczej na Górnym Ślązku (szkie historyczny); — Roman Rybarski: Gospodarka miasta Biecza w XVI i początkach XVII stulecia; — Edward Dutlinger: Trzylecie działalności naszych banków 1906 — 1908; — P. Lubowicz: Gubernia Kowieńska pod względem statystycznym; — Zofia Daszyńska-Golińska: Kronika ekonomiczna Galicji; — Kronika; — Rozbiory i sprawozdania; — Przegląd czasopism; — Bibliografia.

— HOMILETYKA, pismo miesięczne, zawiera: Dział kaznodziejski, teologiczno-pasterski, ascetyczny i społeczny, wraz z dodatkiem popularnym. Redaktor i wydawca Ks. Maryan Nassalski, magister teologii. Rok XII. Zeszyt VIII. Sierpień, 1909. Włocławek. Rozprawy. Obowiązek aktualny katolików francuskich. Mowa senatora Lamarzellego przy rozdzielaniu nagród w szkole Notre Dame de Bourbonne; — Jan Gerson: Rozprawa o obowiązku prowadzenia dziatwy do Chrystusa Pana; — Zabiegi innowierców; — Dział kaznodziejski: Kazania katechetyczne; — Kazania na niedziele — Kazania na uroczystości; — Przemówienia przygodne; — Liturgika; — Ascetyka; — Wiadomości teologiczno-pastoralne; — Bibliografia; — Dodatek popularny.

— KRONIKA DYECEZYI SANDOMIERSKIEJ. Sierpień, 1909. Encyklika J. Ś. Piusa X, Papieża, z powodu osmesetletniej rocznicy śmierci św. Anzelma, przełożył Ks. Wl. G.;— Ks. Al. B.: Opis historyczny kościoła w Odrowążu;— Galtterer S. J.: Kazania pięciominutowe;— Kb.: Zakończenie roku szkolnego w seminarjum dyecezyalnym i sprawozdanie z całego roku;— Ks. A. H.: O zdrowie dla kapłanów;— i: Kilka słów w sprawie nowej świątyni w Radomiu pod wezwaniem Matki Boskiej;— Tercyarstwo w dyecezyi sandomierskiej;— Z konsystorza dyecezyalnego;— Zmiany duchowienstwa;— Bibliografia;— Zawiadomienie o ogólnem zebraniu Tow. wzajemnej pomocy kapłanów dyecezyi sandomierskiej.

— KRYTYKA. Miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Kraków. Rocznik XI. Październik, 1909. Część pierwsza: Kataster narodowy w proporcjonalności;— St. Poraj: Poezya ludowa w Królestwie Polskiem;— Helena Kozicka: Religia w nauczaniu i wychowaniu;— Ludwik Kulczycki: Współczesny syndykalizm rewolucyjny;— Wl. Studnicki: Próby restytucji państwa polskiego od 1795—1815;— Junius: Współcześni politycy polscy. X.: Hr. Stanisław Badeni;— Przegląd: Junius: Z trzech zaborów;— H. O.: Ze spraw wychowania i oświaty;— Romuald Minkiewicz: Czyn hrca pana Józefa Podfilipskiego z Konopi;— Sprawozdania z nowych publikacyj. — Część druga: D-r Michał Janik: W rok jubileuszowy Juliusza Słowackiego. (Hold nauczycieli szkół średnich);— W. F.: Juliusza Słowackiego Lucyfer i pierwiastek lucyferyczny;— Romuald Minkiewicz: Z księgi „Nad morzem mojem.“ Nawroty fal. Dusza mędrca. Nokturn księżycowy. Cisza;— Savitri: Listy umarłych;— M. Rakowska: List angielski;— Jan Strzemięńczyk: Z cyklu „Orząc ruiny...“ Syn marnotrawny. Łotr konający;— Przegląd: Tadeusz Bezimienny: Ze sztuki i życia;— Z prasy artystyczno-literackiej;— Teatr krakowski;— Nowe powieści.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej, pod kierunkiem literackim J. K. Kochanowskiego. Rok 9. № 9. Wrzesień, 1909. Warszawa. Z powodu jubileuszu Słowackiego;— Krytyka: Biblioteka klasyków polskich (pod redakcją prof. Tadeusza Piniego);— Chrzanowski Poraj Wincenty: Uludy;— Czasopisma prawne i ekonomiczne (rocznik IX);— Dunin Karol: Prawa kobiet w nowym kodeksie cywilnym szwajcarskim;— Foerster Fr. W., D-r: Szkoła i charakter;— Fonard G., Ks.: Początki kościoła, św. Piotr i pierwsze lata chrześcijaństwa;— Gobineau J., hr.: Odrodzenie, sceny historyczne;— Gollenhofer Józef: Rewolucya krakowska 1848;— Gostomski Walery: Arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego „Wesele;“— Jaroszyński Tadeusz, D-r: Z psychologii i higieny wychowania;— Jaworski Józef, D-r: Najpilniejsze potrzeby zdrojowisk polskich, a Ciechocinka w szczególności;— Tenże: Zdrojowiska i uzdrowiska: Rabka, Zakopane, Szczawnica, Żegiestów, Krynica;— Konopacki Jan: Mgławice;— Koreywo Bolesław: Bard Polski, album poetów polskich;— Kraszewski Kajetan: Humoreski;— Kudelka Mieczysław: Poezye;— Kutrzeba Stanisław: Mężobójstwo w prawie polskim XIV i XV wieku;— Malinowski Feliks, D-r: Choroby weneryczne, tom I—Przymiot;— Nowości literackie;— Orłowski Stanisław, D-r: Cierpienia układu nerwowego;— Paciorkiewicz Maurycy: Bossnet i Tenebor;— Prohaska A.: Lauda Sejmikowe, tom I (A. G. Z., tom XX);— Siemiński

Józef, Dr.: Archiwum Jana Zamoyskiego, tom II, 1580—1582; — Sieroszewski Wacław: Małżeństwo. Być albo nie być. Tułaczę; — Syrokomla Władysław (Ludwik Kondratowicz): Ułaz. Kęs chleba; — Szlagowski Antoni, Ks.: Wstęp ogólny historyczno-krytyczny do Pisma św.; — Ślaski B.: Dawne przywileje cechu piwowarów miasta Warszawy; — Ujejski Józef, D-r: Juliusza Słowackiego „Kordyan;“ — „Wieczory polskie,“ rocznik dla starszej młodzieży; — Wójeck Jacob, Ks.: Postylla mniejsza; — Pod prasą; — Nekrologia; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

— PRAD. Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy. Komitet redakcyjny stanowią: Tadeusz Błażejewicz, Tadeusz Miśkiewicz, Adam Lach-Szymański. Warszawa, lipiec i sierpień, 1909. Józef Znitrowicz: Do źródeł natchnienia i mocy; — Z. Fedorowicz: Koło samokształcenia; — D-r Al. Woycieki: Robotnik polski; — Korespondencye: Wiece etyczny w Zakopanem; — Z Lozanny; — Z Dźwińska; — Sprawozdania i krytyki: W. Lutosławski: Religia w życiu narodowem; — D-r Roman Dybowski: O życiu akademickiem na uniwersytetach angielskich; — Zofia Wołowska: Katolicyzm a praca społeczna; — Książki nadesłane do redakcyi; — Przegląd czasopism; — Wychowanie panien w Anglii; — O Żydów w literaturze; — Z miesiąca: Wizyta czeska; — Zapomnienie; — Biegun północny, aeroplany i etyka; — Od redakcyi; — Informacye; — Kronika; — Notatki statystyczne; — Odpowiedzi redakcyi.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Tow. miłośników historii w Warszawie, pod redakcją J. K. Kochanowskiego. Tom IX. Zeszyt 1. Lipiec—Sierpień, 1909. Ludwik Gumplowicz: Socyologia a polityka; — Antoni Prochaska: Markward Salzbach (z dziejów Litwy 1384—1410); — Jan Ptaszycki: Ze studyów nad „Memoryałem“ Ostroroga; — Aleksander Kraushar: Poselstwo Dickensona do Zygmunta III, w sprawie książki uwłaczającej domowi Stuartów (1615); — Aleksander Jabłonowski: Zasiadlenie Ukrainy Kijowskiej; — Ign. Tad. Baranowski: Sądy Referendarskie; — Marcei Handelsman: Konstytucya 3-go maja 1791 r., a społeczna opinia we Francyi; — Inwentarz Zamku warszawskiego, sporządzony w roku 1769, podał do druku Kazimierz Marcinkowski (c. d.).

— PRZEGLĄD NARODOWY. Miesięcznik, poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, naukowym, społecznym, literackim i artystycznym, pod kierunkiem Zygmunta Balickiego. Rok II. Tom IV. № 8. Sierpień, 1909. Warszawa—Lwów. Zygmunt Balicki: Zachowanie typu narodowego; — Cezar Biernacki: Hołdy'pruskie, podług źródeł dziejowych; — Jerzy Gościcki: Reforma samorządu wiejskiego w Rosyi a gmina i gromada w Królestwie Polskiem; — Henryk Boguski: Juliusza Słowackiego „Testament mój“ (dok.); — A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich; — B. Wasutyński: Przegląd polityki zagranicznej; — Z prasy: Galicya Wschodnia a Zachodnia; — Spór o Wypiańskiego; — List Kopernika; — Kult tradycyj rodowych; — Bibliografia.

— PRZEGLĄD POLSKI. Pismo naukowe i literackie, wychodzi czterdziesty czwarty rok w Krakowie. Wydawca i odpowiedzialny redaktor Prof. D-r Jerzy hr. Mycielski. Tom 173. № 519. Zeszyt III. Wrzesień, 1909. Hr. Iwon Wojnowić: Trylogia Dubrownicka. Przekład z chorwackiego Heleny d'Aban-

court de Franqueville. Część III: „Na tarasie,“ dramat; — D-r Ernest Łuniński: Zajęcie Rzeczypospolitej Krakowskiej w r. 1836; — Stanisław Tarnowski: Julian Klaczko (c. d.); — Konrad Ostrowski: Listy z Francji: XV (dok.); — Kronika literacka: Ks. J. Warmiński: Kilka nowych kart z życia Andrzeja Frycza, zwanego Modrzewskim; — L. Caro: Kwestya obecnego u nas bojkotu wraz z dyskusją; — C. Stryjeński: Le dix huitième Siècle; — Riemann Festschrift (A. Chybiński): Über die polnische mehrstimmige Musik des XVI Jahrhunderts; — H. Opieński: Jacob Polonais et Jacobus Reys; — Z literatury powieściowej; — A. E. Balicki: Teatr Krakowski; — D-r Zdzisław Jachimecki: Opera w Krakowie; — * * *: Przegląd polityczny; — Stanisław Tarnowski: Feliks hr. Czacki. Wspomnienie pośmiertne.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Rok dwudziesty szósty. Zeszyt 9. Kraków. Wrzesień, 1909. Prof. Antoni Mazanowski: „Chłopi“ Reymonta; — Eliza Orzeszkowa: Z myśli wieczornych. Nad brzegiem Renu stali; — D-r Roman Dybowski: O najpopularniejszej książce angielskiej; — Ks. Karol Feliś T. J.: Geneza kultu relikwii św.; — Ks. Józef Sas T. J.: Z historyi misyi polskiej na Krymie. Misyja Ks. Piotra Borowskiego T. J. (1743—1747) (dok.); — Adam Słodor: Joanna Grudzińska. Epizod nocy belwederskiej, w jednym akcie; — Lucyan Rydel: Olimpia (dok.); — Przegląd piśmiennictwa: Z piśmiennictwa polskiego. Monsalvat. Rzecz o Adamie Mickiewiczu. Artur Górski (W. Gostomski); — Do genezy poematu Mikołaja Reya „Wizerunek żywota poczciwego człowieka.“ D-r Zbigniew Kniaziolucki. (D-r St. Dobrzycki); — Matejko. Stanisław Witkiewicz. (Leonard Lepszy); — Ks. I. Charszewski: Wtóra podróż do Ciemnogrodu; — Ks. I. Urban T. J.: Z powodu zamachu na katechizm; — Opis powiatu jasielskiego. Ks. Władysław Sarna (Ks. K. Konopka T. J.); — Z piśmiennictw obcych. Gerhardt Hauptmann. Naturalismus und das Drama. Von Sigismund Bytkowski. Beiträge zur Aestetik. (J. Hahn T. J.); — Welten morgen. Dramatisches Gedicht in drei Handlungen von Eduard Hlatky. (Ks. Ernest Matzel T. J.); — The Fourth Generation by Walter Besant. (Teresa Wodzicka); — Zapiski bibliograficzne; — Sprawozdania z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEWODNIK NAUKOWO-LITERACKI, dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Rok 36. Tom 36. Zeszyt IX. Wrzesień, 1909. Lwów. Odpowiedzialny redaktor Adam Krechowicki. Ks. Jan Sygański T. J.: Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów; — Fr. Rawita-Gawroński: Materyały do Historyi Polskiej XIX w. Działalność Emigracyi z r. 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego; — F. Hösiel: Fryderyka Chopina pierwsze lata w Paryżu (1831—1838), studyum biograficzne; — Antoni Karbowski: Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej; — Edward Webersfeld: Jaworów, monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna; — D-r Władysław Pilat: Z dziedziny socjologii.

— PRZEWODNIK OŚWIATOWY. Organ Tow. Szkoły Ludowej, poświęcony sprawom oświaty pozaszkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego, wychodzi w pierwszym tygodniu każdego miesiąca. Rok IX. № VII, VIII i IX. Lipiec, sierpień i wrzesień, 1909 r. Kraków. Inż. A. Łukaszewski: Gdzie leżą nasze kresy; — Z. Podgórski: Powiat jarosławski pod względem kulturalnym

i oświatowym; — D-r M. Stępowski: Niemieckie biblioteki ludowe w W. Księstwie Poznańskim; — Walne zgromadzenie Macierzy Ks. Cieszyńskiego; — Likwidacja Uniwersytetu dla wszystkich w Warszawie; — Dom ludowy T. S. L. w Kołomyi; — Kronika; — Dział sprawozdawczy T. S. L.; — Przegląd krytyczny literatury.

— REVUE DES DEUX MONDES. Dwutygodnik, wychodzący pierwszego i piętnastego każdego miesiąca. Tom 53. 15 września, 1909. Paryż. Au couchant de la monarchie (1). III. Turgot au contrôle général; — La guerre des Farines, par M. le marquis de Ségur, de l'Académie française; — La croisée de chemins (2), quatrième partie, par M. Henry Bordeaux; — Le prince de Bülow. II. La politique extérieure, par M. André Tardieu; — Une amie de Sainte Beuve; — Madame d'Arbouville, d'après sa correspondance inédite, par M. Léon Séché; — Les écoles d'Orient. II. Les écoles Musulmanes, par M. Louis Bertrand; — La politique de Jean Jacques Rousseau, par M. Emile Faguet, de l'Académie française; — L'achèvement à Flot du d'Orvilliers, par * * *; — Poésies, par M. Auguste Augellier; — Revues étrangères; — Le mariage du poète romantique Allemand, par M. T. de Wyzewa; — Essais et notices; — Un journaliste sous la révolution, par M. Raymond de Vogüé; — Chronique de la Quinzaine, Histoire politique, par M. François Charmes, de l'Académie française; — Bulletin Bibliographique.

— STER. Lipiec i sierpień, 1909. Pm.: Chwile zbratania; — Józef Müldner: Za waszą miłość; — S.: Oświadczenie kardynała; — R. Ziemkiewiczowa: Odpowiedźcie; — Z. Lipska: Pieśni życia; — M. Orsetti: Z powodu artykułu o napiwkach; — Emilia Hakebeilówna: O tymczasowości pracy zarobkowej kobiet; — K. Bujwidowa: O czem się nie mówi; — K. Ostachiewicz: Korespondencya z Wilna; — nap. (St. Poraj): W sprawie zjazdu młodzieży żeńskiej; — J.: Wystawa pracy kobiet w Kaliszu; — Przegląd prasy równouprawnienia; — Nowe pismo; — Książki nadesłane do redakcyi; — Odpowiedzi redakcyi; — Od administracyi; — Ogłoszenia; — Kazimiera Bujwidowa: U źródeł kwestyi kobiecej; — Dodatek powieściowy: Kobiety, które wezwanie dosłyszały.

— UNITAS. Sierpień i wrzesień, 1909. Ks. kan. B. Weimann: Ks. biskup Raczynski o dyecezyi poznańskiej w r. 1802; — M. Szuca: Próby filozofii monistycznej w Polsce; — Ks. J. Adamski: Życie bogomyślne i życie czynne; — Ks. dziekan Kotecki: Uwagi o naszych katechetach i kazaniach; — Ks. Jan Czaplewski: O chrzcie z wody (c. d.); — Ks. D-r F. Barda: Wiedza i wiara; — Ks. J. G.: Kler polski w archidyecezyalnym seminaryum w St. Frances (ad Milwaukee); — Zapiski, z teki pytań; — Rozporządzenia władz kościelnych; — Orzeczenia władz świeckich; — Nowe książki; — Wzmianki; — Zestawienia; — Czasopisma nadsyłane na zamianę.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

BOGDAŃSKI CZESŁAW, O. BR. M.: Szkice z dziejów humanizmu w XV stuleciu. Kraków.

GAWLIK MIECZYSLAW: Projekt unii rosyjsko-polskiej w drugiej połowie XVII wieku. Lwów.

GRABOWSKI AMBROŻY: Wspomnienia. Wydał Stanisław Estreicher. 2 tomy. Z ilustracjami. Kraków.

HELENIUSZ E.: Wspomnienia polskich czasów dawnych i późniejszych. 2 tomy. Lwów.

JABŁONOWSKI ALEKSANDER: Podlasie (Województwo). Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. Tom VI, cz. II. (Źródła dziejowe. Tom XVII. Część II.).

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea historyczne XXXIX. Z dni niedoli Karola Szajnochy.

— Miscellanea historyczne XXXIII. Spisek koronacyjny z roku 1829 w świetle prawdy historycznej. Kraków.

KURCZYUSZ ALEKSY: Zarys dziejów przedhistorycznych. Z 30 wizerunkami.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Berek Joselewicz i jego syn. Zarys historyczny. z ilustracjami w tekście.

MNEMON STANISLAS: La conspiration du Cardinal Alberoni. La Franc-Maçonnerie et Stanislas Poniatowski. (Fragment). Cracovie.

RĄDZIWIŃSKI Z. L.: O tożsamości tytułów książ i książę w dawnej Rzeczypospolitej. Lwów.

ROSTWOROWSKI MICHAŁ: Dyaryusz Sejmu. Z r. 1830 — 1831. Tom III. Od 19 kwietnia do 25 maja 1831. Kraków.

ŚLASKI B.: Dawne przywileje cechu piwowarów miasta Warszawy. Z pierwopisu wydał i objaśnienia dołączył ...

WAWRZENIECKI MARYAN: Krwawe widma. Ciekawe procesy, tortury i osobliwe egzekucje.

WSPOMNIENIA o rodzinie Żałuskich w XIX stuleciu. Kraków.

ANTROPOLOGIA. — ETNOGRAFIA. — ARCHEOLOGIA PRZEDHISTORYCZNA.

UBIORY ludu polskiego. Zeszyt II (z 6 tablicami i 22 rycinami w tekście). Kraków, 1909. Nakł. Ak. Um. Księg. Spółki Wyd. Polskiej. Tekst w zeszy-

cie I i II „Ubiorów ludu polskiego, Krakowskie“ napisał Włodzimierz Tetmajer. On też dostarczył obrazów do tych zeszytów i kierował stroną artystyczną wydawnictwa. 4-o, str. 20 + tabl. IX—XIV.

L E C Z N I C T W O.

BYCHOWSKI Z.: O niektórych wskazaniach do radykalnej i paliatywnej trepanacji w nowotworach mózgu. (Odbitka z „Gazety Lekarskiej.“)

FLATAU EDWARD: O nowotworach rdzenia. Napisał ...

PUŁAWSKI A., D-R: Co to są suchoty i jak się od nich uchronić? (Odczyt popularny.) Wydane z fund. doktora Chwieickowskiego. (Wydawnictwo imienia Staszycy).

SOK cytrynowy i kwasy roślinne, ich zalety a szkodliwość octu. Berlin.

WIŚNIEWSKI JULIUSZ, D-R: Dziesięciolecie ambulatoryum chorób skórnych i wenerycznych w Warszawskim Szpitalu Ewangelickim. (Odbitka z „Przeгляdu chorób skórnych i wenerycznych“.)

HISTORIA I TEORIA LITERATURY.

GRZYMAŁA-SIEDLECKI ADAM: Wypiański, cechy i elementy jego twórczości. Kraków.

HAHN WIKTOR, D-R: Szkice literackie o Juliuszu Słowackim. Brody.

KALLENBACH JÓZEF: O nieznanych utworach Adama Mickiewicza (1817—1820). Lwów.

MAZANOWSKI ANTONI: Klucz do symboliki „Anhellego.“ Kraków.

MÉYET LEOPOLD: Kiedy się urodził Juliusz Słowacki? Kilka uwag historyczno-prawnych o dacie urodzin poety. Z pięcioma rysunkami.

RAKOWIECKI TADEUSZ: Duma o hetmanie Stefana Żeromskiego.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ: List otwarty do pana Wilhelma Feldmana.

TRZPIS HENRYK: Estetyczno-krytyczne poglądy Słowackiego w Beniowskiu. Kraków.

JĘZYKOZNAWSTWO. — FILOLOGIA.

BOGUCKA C., NIEWIADOMSKA C. I WARNKÓWNA J.: Podręcznik do ćwiczeń ortograficznych i systematycznego dyktanda według pisowni Akademii Umiejętności w Krakowie. Z dodaniem uchwał Zjazdu Rejowskiego. Wyd. IX. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 215.

DISIÈRE LAURE, SWINARSKA HALINA: Nouveau recueil de prose et de poésie. 1-re partie. Varsovie, 1909. E. Wende et C-ie (T. Hiż et A. Turkuł) editeurs. 8-o, str. 207.

DISIÈRE LAURE, SWINARSKA HALINA: Nouveau recueil de prose et de poésie. Deuxième partie. V-me et VI-me Classes. Varsovie, 1909. E. Wende et C-ie (T. Hiż et A. Turkuł) editeurs. 8-o, str. 312.

ŁOŚ JAN: Stosunek zdania do innych typów morfologicznych. Kraków, 1909. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. Osobne odbicie z t. XLVI Rozpraw wydz. filolog. Ak. Um. w Krakowie. 8-o, str. 735.

SĘDZIMIR JAN O., PROF.: Język Słowackiego. Rzeszów, 1909. I-e rzeszowskie gimnazyum. 8-o, str. 22.

TELLIER GUSTAW: Mały tłumacz dla łatwiejszego porozumienia się polskich robotników ze swymi pracodawcami francuskimi ułożył ... nauczyciel jęz. francuskiego. (Ten sam tytuł po francusku.) Kraków, 1909. Nakł. pol. ludowego Tow. wychodźczego. 8-o, format mały, str. 76.

UŁASZYN HENRYK: Uwagi krytyczne z powodu nowych etymologij kobiety. Kraków, 1909. Nakł. Akad. Um., księg. Spółki Wyd. Pol. Materiały i prace komisji językowej Ak. Um. w Krakowie. Tom IV. Nadbitka, 8-o, format duży, str. 357—381.

FILOZOFIA. — PSYCHOLOGIA.

BRUNER LUDWIK, D-R PROF.: Ewolucya materji. Zarys nauki o promieniotwórczości. Kraków.

HÖFFDING HARALD, D-R: Dzieje filozofii nowożytnej od końca odrodzenia do naszych czasów. Tom II. Zeszyt II. Z upoważnienia autora przełożył Adam Mahrburg.

KURNATOWSKI JERZY: Moralność i życie. 1. Etyka indywidualna. 2. Etyka społeczna. 3. Etyka polityczna. (Nowości literackie. Tom XVIII.)

LUTOSŁAWSKI WINCENTY: Logika ogólna czyli teoria poznania i logika formalna. Opracował ... Londyn.

PLATON: Biesiada (Symposion). Dyalog o miłości. Przełożył z greckiego Stefan Okołów, pod redakcją Henryka Goldberga.

ZIELIŃSKI MARCIN, D-R: Zagadnienie uczucia. Kraków.

MATEMATYKA. — NAUKI PRZYRODNICZE.

CASSAGNE A.: Wykład praktyczny perspektywy. Tłómaczenie z ostatniego wydania francuskiego. Z 230 figurami geometrycznymi i 90 rysunkami w tekście. Zeszyt 3.

CHEŁPOWSKI F., D-R: Zbiory przyrodnicze Towarzystwa przyjaciół nauk, dla użytku zwiedzających je opisał ... Poznań, 1909. 8-o, format mały, str. 34.

GÓRKA STEFAN: O styczności na powierzchni wchrowatej rzędu trzeciego. (Ze stanowiska geometrii syntetycznej). Kraków, 1909. 8-o, str. 21.

GÓRKA STEFAN: Rozwój badań nad podstawami geometrii. Kraków, 1908. Nakładem fund. naukowego. 8-o, str. 30.

GUTWIŃSKI R.: Flora algarum montium Tatrensium. Accedunt tabulae duae. Auctore ... Cracoviae.

HOBORSKI A.: Całkowanie równania różniczkowego o cząstkowych pochodnych:
$$\frac{dv}{dt} = \frac{d^2v}{dx^2} + \frac{d^2v}{dv^2}$$

PASCAL ERNESTO: Ćwiczenia z rachunku różniczkowego i całkowego. (Esercizii critici di calcolo differenziale e integrale). Przełożył S. Dickstein. Warszawa, 1909. Wydawn. red. „Wiadomości Matematycznych.“ Gebethner i Wolff. 8-o, form. w., str. XV+226.

WITKOWSKI AUGUST: O zasadzie względności. Kraków.

PUBLICYSTYKA.

ADAMEK PIOTR: Kobieta w życiu zarobkowym. Przyczynek do kwestyi kobiecej. (Głosy na czasie 19). Poznań.

D'AZAMBUJA G.: Szczęście doczesne. Krótka teoria szczęścia. Przełożył z francuskiego Henryk Romanowski.

B. E.: „Dobra służąca,* czyli co powinnam wiedzieć o służbie i na służbie? Poradnik dla służących. Napisała ... Poznań.

BOJKO JAKÓB: Dwie dusze. Nowe wydanie. (Wydanie Imienia Jana Adamowicza).

DMOWSKI ROMAN: Niemcy, Rosya i kwestya polska. 4-ty tys. Lwów.

DOBRYŃSKI WŁADYSŁAW, D-R: O miastach przyszłości. (Gardencities). Z 11 rysunkami w tekście. Odbitka z №№ 5 i 6 „Zdrowia“ 1909 r.

FRIEDRICH T. M.: „I wielu fałszywych proroków powstanie i wielu zwiadą.“ Kilka słów o samozwańczych Maryawitach.

GNATOWSKI JAN, Ks.: W kwestyi żydowskiej. Przedruk z „Wiary.“

HOLEWIŃSKI JÓZEF: Miasto przyszłości. (Garden City) (Wyd. Kasy wzajemnej pomocy i przezorności dla osób pracujących na polu technicznym).

KOLANKOWSKI L., D-R: Kościół a cerkiew w Galicyi wschodniej. (Z mapą). Kraków.

KONOPKA ADAM: Pod sztandar! Lwów.

KU CZCI Stanisława Tarnowskiego. Opis uroczystości z dziennika „Czas.“ Kraków.

LEOPOLD ...SKI: Geneza warszawskiej delegacyi obywatelskiej i jej misya. Kraków.

LISIECKI A. Ks.: Kolportaż pożytecznych pism i książek. Referat wypowiedziany na zebraniu XX Patronów i Wicepatronów Związku Tow. Robotniczych dn. 1/3 1909 w Poznaniu. Poznań.

LUBECKI KAZIMIERZ, D-R: Chrześcijaństwo o dobroci dla zwierząt. Na podstawie dokumentów rzymskich. Napisał ... Kraków.

MARYAWICI w Lubelskiem i na Podlasiu. Lublin.

MICHALSKI EDWARD: Kredyt dla włościan. Włocławek.

MOHL ALEKSANDER: W pogoni za prawdą. Listy do akademika pożyteczne także i dla pań, słuchaczek wyższych kursów. Serya pierwsza. Wydanie 2 gie przejrzone i poprawione. Poznań.

PILTZ ERAZM: Russkaja politika w Polsce. Oczerk.

POLAK J., D-R: Polityka blizkiej przyszłości.

SEMPOŁOWSKA STEFANIA: Z dna nędzy. (Odbitka z Prawdy.)

SZECH ANTONI: Katolicyzm a polskość.

— O całość duszy ludzkiej.

SZYMAŃSKI JAN: Jeszcze o reformie działalności naszych abstynentów. (Odpowiedź prof. d-r B. Dybowskiemu). Kraków.

TULISZKOWSKI JÓZEF: Walka z pożarami. Dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów, wsi i osad. Napisał ...

TWARECKI LEON: Oszczędność groszowa. Jej znaczenie i sposoby.

VIATOR POLONUS: Kwestya polska wobec zbliżającego się konfliktu Austrii z Rosyą. Napisał ... (Materiały i myśli do kwestyi polskiej, tom I), Kraków.

WALEWSKA CECYLIA- Ruch kobiecy w Polsce. Część I—II. (Kobieta w życiu społecznem III—IV).

WÓYCICKI ALEKSANDER: Związek chłopski w Belgii i Holandyi. Wydanie drugie poprawione. (Z myśli społecznej IX).

WRÓBLEWSKI AUG.: O prostytutcy i handlu kobietami. Treść: Handel kobietami. O prostytutcy. Referat na zgromadzeniu ludowem. Konferencya w sprawie niesienia pomocy upadłym kobietom. Uchwały Kongresu Abolicyonistycznego w sprawie rajfurstwa. Paszport niewolnicy. Z historii zwalczania prostytutki w Szwajcaryi. Reglamentacya prostytutki w Warszawie. Dzieci warszawskie w szpitalu św. Łazarza dla chorób wenerycznych. Łabaj. Wilczy dół. O przytułkach dla upadłych kobiet.

ZAJĄCZKOWSKI HENRYK S. M. Papież—jubilat Pius X. Lwów.

T E C H N I K A.

BIEDRZYCKI STEFAN: Ochronniki niezbędne przy maszynach rolniczych. Warszawa, 1909. Z zapisu Wł. Pełowskiego, w zawiadywaniu Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. d-ra Mianowskiego. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 48.

CYBULSKI N. I DUNIN-BORKOWSKI J.: Wpływ błon i przegród na siły elektromotoryczne. Kraków, 1909. Nakł. Ak. Um., Spółka Wydaw. Polsk. 8-o, str. 30.

DOBORZYŃSKI STANISŁAW: Niektóre prawidła ogólne prowadzenia robót górniczych wywiadowczych. Dąbrowa, 1908. Odbitka z „Przeglądu Górniczo-Hutniczego.” 4-o, str. 29.

SKIBIŃSKI K., PROF.: Tyczenie tras, dróg, kolei żelaznych, kanałów spławnych, regulowanych rzek i t. d. Podręcznik dla inżynierów i geomeków. Cz. I opisowa; cz. II tabele. Lwów, 1909. Nakł. autora. Tom I, 8-o, str. 146; t. II, 8-o, format mały, str. 235.

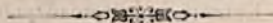
PRZEMYSŁ I HANDEL.

ROCZNIK przemysłu i handlu Galicyi 1909. Wydawca Juliusz Weiss. Lwów, 1909. 8-o, format duży, str. 272.

SPRAWOZDANIE Spółki handlowej członków Tow. rolniczego, stow. zarejestr. z ogr. poręką. Kraków, 1909. Nakł. Syndykatu tow. rolniczych w Krakowie. 8-o, format mały, str. 19.

— z czynności i publicznych posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie. Rocznik XIV, za r. 1907. Kraków, 1909. Nakł. Izby handl. przem. 8-o, str. 306.

— Zarządu uzupełniającej szkoły przemysłowej w Sokalu za rok szk. 1908/9. Sokal, 1909. Nakł. fund. szk. przem. Treść: Mucha Teofil: W miasteczku powiatowym. Obrazek z życia;—Kronika i statystyka zakładu. 8-o, str. 14.



A. H. I. H. U. S. T.